

AUTOR «RYCERZA BOSKIEGO WIATRU»

# William Barnaby Williams



## Pole śmierci

---

WYDAWNICTWO ADAMSKI I BIELIŃSKI

**Barnaby Williams**

# **Pole śmierci**

*(Killing Place)*

*Tłumaczył Grzegorz Gortat*

*Dla Anne Dewe mojej znakomitej agentki*

# *Spis treści*

Strona tytułowa

Dedykacja

1. Wegetarianie cuchną
2. Maj 1918 roku
3. 1918 rok
4. 1918 rok
5. Listopad 1918 roku
6. Berlin, grudzień 1918 roku
7. Monachium, maj 1920 roku
8. Zamek Werfenstein, Austria
9. Berlin, listopad 1931 roku
10. Lipieck, 30 stycznia 1933 roku
11. Berlin, maj 1933 roku
12. Karinhall nad Schönheide
13. Berlin
14. Berlin, czerwiec 1934 roku
15. Berlin, czerwiec 1936 roku
16. Berlin, listopad 1938 roku
17. Wrzesień 1940 roku
18. „Wilczy Szaniec”, Kętrzyn, wrzesień 1944 roku
19. Kwiecień 1945 roku

## *Wegetarianie cuchną.*

I nie można temu zaradzić. Nic nie pomoże, że rano włożą na siebie świeże ubrania i wypucują się mydłem. Zgniły zapach rozkładającej się kapusty dobywa się ze wszystkich porów ich ciał.

Rozmawiając z tobą, stają zbyt blisko i odór płynie w twoim kierunku (dziwnym trafem zawsze ustawiają się pod wiatr), drażniąc ci nozdrza. W ciągu lat w ich organizmach zdążyły się odłożyć na wpół strawione produkty uboczne po masach spaghetti z warzywami i innych smakołykach o niezmiennie brązowym kolorze, przyrządzonych z tartych orzechów i marchewki. Pory ich ciał rozszerzają się w desperackiej próbie pozbycia się zalegającego organizmu balastu i w rezultacie cały ten aromat spływa na ciebie. Otwierają usta, żeby coś powiedzieć, i roztaczają smród z zębów zepsutych przez te wszystkie słodkości, jakie w siebie wpychają. Oddają kał brudnożółtego koloru, podobny do szczurzego, tyle że bardziej śmierdzący.

Coś dziwnego dzieje się z ich skórą: jest jednocześnie gruba i zwiotczała, o konsystencji skórki chleba, która leżała na deszczu. Przeszępują nerwowo z nogi na nogę pod

naporem ogromnych ilości cuchnących gazów, zbierających się we wnętrznościach. Wypędza ich wreszcie nadmiar zjedzonej soczewicy, a kiedy już sobie pójdą, musisz otwierać okna.

Okna w domu mam teraz otwarte. Wszystkie pomieszczenia dają się łatwo przewietrzyć. Jest to stary wiejski dom z drewna, *völkisch*, jeśli wam to coś mówi (choć dzisiaj po niewielu można się tego spodziewać), ze smołowanym gontem i modrzewiową kalenicą. Ma też osłoniętą werandę, na której siadam czasem w bujanym fotelu i wypalam fajkę z pianki morskiej. Ktoś, kto by mnie zobaczył, pomyślałby, że jestem żywym odbiciem sędziwego wieśniaka o pogodnym spojrzeniu i długiej siwej brodzie. Nikt tu jednak nie zagląda, jako że mieszkam samotnie na stoku górskim, a jedynym gościem jest mój księgowy Willi; od czasu do czasu zawita jeszcze ktoś z jego rodziny.

Ale nie pokażą się już nigdy więcej. Tę właśnie wiadomość przyniósł mi młody policjant. Nie wiem, co teraz począć. Przez otwarte na oścież okna staram się wygnać wspomnienia, które nagle dopadły mnie razem z niemiłym zapachem. Wolałbym po stokroć, żeby policjant nie był wegetarianinem, bo to tylko pogarsza sprawę. Wegetariański smród składa się bowiem w dużej mierze na istotę całego problemu. Przez te wszystkie minione lata próbowałem o tym zapomnieć, ale w jednej chwili wszystko wróciło.

Może górski wiatr wiejący ze szczytów przyniesie ukojenie... Zawsze kochałem góry, czułem się szczęśliwy, gdy stałem na ich szczytach; wybiegając wzrokiem w niezmierną przestrzeń, wyobrażałem sobie, że jestem ptakiem. Jeśli Bóg istnieje, to chciałbym, żeby po mojej

śmierci zesłał mnie z powrotem na ziemię pod postacią ptaka. Wszak przez tak wiele lat starałem się do niego upodobnić.

Zakochałem się w moim górskim domu od pierwszego wejrzenia. Zaprojektował mi go Speer w kilku wolnych od pracy chwilach. Naszkicował pośpiesznie rysunek na grzbiecie koperty, kiedy męczył się nad projektowaniem jednego z kolejnych domostw dla *Führera*. Może zresztą chodziło o nowe biurko? Dom czy mebel – wszystkie były tego samego typu: mogły z powodzeniem służyć za garaż dla czołgu. Göring przerabiał domek myśliwski – kazał do niego dobudować przestronną salę jadalną, w której można by urządzać hulanki. Lubił mnie, bo razem przetrwaliśmy rok 1918 i ponieważ umiałem strzelać. Roku 1918 nie mógł przeżyć ten, kto nie potrafił względnie dobrze strzelać, a ja miałem istotnie nader pewne oko. Hermann, oczywiście, tak samo. Ludzie zwykle noszą w pamięci obraz marszałka Rzeszy z późniejszych lat, kiedy był już przeżartym narkotykami, grubym, bufoniastym kleptomaniem, paradującym w operetkowych mundurach własnego projektu. Ale w roku 1918, gdy jego życie nie było warte złamanego feniga, podobnie jak życie wszystkich tych, których domem stały się zimne, śmiertelne przestworza nad dymiącymi polami bitew, był równie zimnym i bezwzględny zabójcą jak każdy z nas – i doskonałym pilotem.

Polowałem kiedyś razem z Göringiem w należących do niego lasach i zabiłem szarżującego dzika; zwierzę obdarzone było takimi szablami, że mogłoby nimi przebić pancerną płytę. Mam je teraz przed oczami – ozdabiają nadal łeb dzika, zawieszony na tarczy na ścianie mojego

domu. Wciąż widzę, jak tocząc wściekłą pianę wypada z krzaków i wali prosto na mnie; strzeliłem do niego z tak bliskiej odległości, że dziabnął mnie w buty. Ależ on rwał się, żeby wyprać ze mnie wszystkie wnętrzności! Göring ogromnie cenił sobie męstwo. Wszak męstwo jest podstawą przetrwania najlepszych w ogniu walki. Rozkazał więc swojemu budowniczemu, który dobudowywał dla niego wspomnianą salę jadalną, aby ten z pozostałego drewna wznosił dla mnie stylowy wiejski domek. Göring wymarzył sobie salę na podobieństwo mitycznej Walhalli. Można w niej było ugościć niemal cały rząd Rzeszy z towarzyszącymi panienkami – co najpewniej miawało miejsce. I tak oto trafił mi się dom, za którego projekt i budowę nie zapłaciłem ani feniga. Tak właśnie wtedy bywało: Göring ukradł połowę arcydzieł sztuki europejskiej, a ja dostałem za darmo dom.

Jak musieliście się już zorientować, nie jestem leciwym rolnikiem, ale starym nazistą.

Policjant, który pozostawił po sobie dopiero teraz ustępujący odór rozkładającej się kapusty, nie nawiązał do tego ani jednym słowem. Oczywiście, dla młodych tu już tylko historia. Nie myślą pewnie nawet, że ktoś z tamtych czasów wciąż żyje. A ja żyję. Brałem udział w przegranej przez nas pierwszej wojnie światowej, razem z Hermannem i z samym Hitlerem. Zdarzyło mi się nawet spotkać *Führera*, kiedy jego życie również nie było warte złamanego feniga, prawdę mówiąc, uratowałem mu je. Wyobraźcie sobie tylko: cały świat wyglądałby zupełnie inaczej, gdybym patrzył wtedy w inną stronę.

Ale policjant także nie o tym zamierzał rozmawiać. Zjawił się, by mi oznajmić, że ani Willi, ani nikt z jego



rodziny nigdy już mnie nie odwiedzą.

Po wojnie, na której ludzie ginęli jak muchy, powinienem przywyknąć do zjawiska ludzkiej śmierci. Ale tak nie jest. Nie potrafię zrozumieć, po co ktoś miałby włamywać się nocą do domu Williego i zamordować go wraz z żoną i dziećmi, podrzynając im gardła i szlachtując niczym świnie. Dlaczego ktoś miałby to robić?

Przecież nie toczy się wojna.

Wraz z przyjściem policjanta wszystko wróciło. Zapach, mdła woń rozkładu. Te same jasnoniebieskie, nieco wytrzeszczone oczy, patrzące na człowieka nieobecny spojrzeniem. Widać było, że policjant spełnia swoją powinność – informuje starego człowieka o śmierci jego księgowego. Ale jednocześnie jego myśli krążyły wokół innych spraw, podobnie jak było to w przypadku *Führera*.

Policjant niczym się nie wyróżniał – ale przecież to samo można było rzec o *Führerze*. Powiedział mi to *Leutnant* Hoepfner, oficer piechoty, kiedy siedzieliśmy, łapiąc z trudem powietrze, w pokrytym błotem i posoką okopie i, patrząc jak brytyjski żołnierz krztusi się na śmierć, zastanawialiśmy się, czy przypuszczą na nas kolejny atak, bo zaczynało nam już brakować amunicji. Powiedział mi mianowicie, że wraz ze stopniem kaprała Hitler osiągnął szczyt swoich możliwości, bo był niezdolny do pełnienia wyższych stanowisk dowódczych.

Cóż, tak to z nim było, ale żeby się o tym przekonać, Adolf musiał rozpętać wojnę światową.

Ciekaw jestem, o czym myślał policjant, kiedy powiadał mi o śmierci Williego. Policjant był z wydziału dochodzeniowego i przekazał mi ze szczegółami, co zastał na miejscu zbrodni. Przyjechał do mnie małym

samochodem, ubrany po cywilnemu, z policyjną odznaką. Gestapo również nosiło cywilne ubrania, tylko że wszyscy dobrze je znali: skórzane płaszcze i zielone kapelusze z ulubioną przez nich borsuczą kitą. Policjant nosił dżinsy, tenisówki i szarą, połyskliwą, watowaną kurtkę. Gestapo nigdy by go do siebie nie przyjęło. Prędzej by go aresztowało.

Jak to czasy się zmieniają.

Zapach zniknął, ale wspomnienia pozostały. Muszę chyba podjąć się tego, czego dotychczas nie robiłem – przeleję wszystko na papier. Dobiegam już takiego wieku, że w przyszłym roku o tej porze mogę już być na tamtym świecie. Tak niewielu pozostało, którzy to wszystko pamiętają. Pamiętają, jak to się zaczęło. Hitler zniszczył pół świata, a przecież kiedy go ujrzałem pierwszy raz, był tylko małym facetem z wąsikiem, który, utyłany w błocie, tkwiąc w wąskim okopie zalanym do połowy wodą, krzyczał do mnie ponagłająco.

Byłem jeszcze bardziej ubłocony niż on – miałem ziemię nawet między zębami. Ale jak człowiek rozbije się w dwupłatowym *Fokkerze* na kompletnym odludziu, to błotna kąpiel jest najlepszym, czego może oczekiwać. W najgorszym razie sam zamienia się w błoto.

Tak to się wszystko zaczęło. Nie powinienem był w ogóle tam się znaleźć – powinienem być w tym czasie w drodze do Hildy, żeby przeżyć z nią upojną chwilę – może nawet trzy lub cztery. Teraz, kiedy jestem tak stary i mam cztery członki sztywne, a jeden miękki, trudno mi nawet wyobrazić sobie, że za moich młodych, szalonych dni było zupełnie inaczej.

Wszystkiemu zawinił Walter. Poprzedniej nocy upił się

i nazajutrz rano znaleziono go w rowie przygniecionego własnym samochodem. Po tym wydarzeniu stan osobowy naszej jednostki uległ jeszcze większemu uszczupleniu, Göring orzekł więc, że Hilda będzie musiała poczekać. Dlatego właśnie poleciałem *Fokkerem* Waltera i rozbiłem mu go, chociaż jemu akurat było to zupełnie obojętne.

Zatem dobrze. Atrament, pióro i papier.

*Maj 1918 roku*

Zapach kwitnących jabłoni przenikał do mojego namiotu. Czuję go nawet w ciemności – a może zaczynałem już sobie wyobrażać słodką woń perfum Hildy? *Jagdgeschwader*, nasz pułk myśliwski, został zakwaterowany w sadzie. Dochodziła trzecia rano i panowała jeszcze noc, ale ja byłem już na nogach – i to nie dlatego, że czekał mnie poranny patrol! Tak w każdym razie wówczas myślałem. Ubierałem się nadzwyczaj starannie, strojąc się w wyjściowy mundur. Mam swoje zdjęcie z tamtych lat: z trudem rozpoznaję spoglądającego na mnie przystojnego młodzieńca, ubranego w mundur bawarskiego kawalerzysty, zakończony wysokim kołnierzykiem. Szyję zdobi mi Krzyż Żelazny, na głowie mam hełm z błyszczącym szpikulcem. Zapinam swój długi, jasnoniebieski płaszcz ze złotymi guzikami i krwistoczerwonym kołnierzem. Dzielny ze mnie oficer, więc pierś przykrywa mi rząd medali. Wybieram się pewnie do Hildy – lubiła się mną popisywać. I – cud nad cudami – wracałem do niej za każdym razem i nie musiała szukać sobie nowego kawalera.

Mam wrażenie, że zdjęcie pochodzi z tamtego okresu. Poznają to po wyglądzie typowym dla wszystkich tych,

którym udało się przeżyć kolejny dzień: zapadnięte oczy wydają się większe, niż są w istocie; spod obwisłej skóry na szyi, dłoniach i nadgarstkach sterczą kości. Każdy z nas patrzy nieobecny wzrokiem gdzieś poza obiektyw aparatu fotograficznego. Czego tak wypatrujemy? Może swojej Hildy, Heidi albo Hanny?

Co do mnie, właśnie to jej zawsze wmawiałem. „Myślę o tobie, kochanie” – powtarzałem, co wywoływało u niej uśmiech szczęścia, gdyż cechowała ją ogromna próżność. Tyle że w rzeczywistości było inaczej: bo tak jak pozostałym pilotom, głowę zaprzętała mi tylko jedna myśl: czy będzie *triefenass oder trocken*, mokro czy sucho?

Nie mam na myśli pogody. W pytaniu chodziło o to, czy zginę w płomieniach, czy rozlecę się na kawałki.

Ale tamtego ranka, wdychając wpadający do namiotu zapach kwitnących jabłoni, byłem przepełniony szczęściem. Trzy dni przepustki! Trzy cudowne dni obcowania z pięknym ciałem Hildy! Gdyby ktoś zrobił mi wtedy zdjęcie, to uwieczniłby mnie zapewne, jak wesoło pogwizdując poprawiam Krzyż Żelazny i wcieram w ogolone policzki wodę kolońską.

Do namiotu wsunęła się czyjaś głowa i zobaczyłem ponuro uśmiechniętą twarz.

– Wypachniłeś się jak jakaś pieprzona dziwka – usłyszałem. To był Göring. Nie wystroił się dzisiaj: miał na sobie sięgające do łydek buty ocieplane baranim futrem, długi, czarny, skórzany płaszcz i szalik, a w ręku trzymał hełm. – Walter wpakował się pod własny samochód. W tej sytuacji brak ludzi jeszcze bardziej daje się nam we znaki. Podobno mają do nas przyjechać nowi, ale na razie polecisz za Waltera w pierwszym locie patrolowym.

– Tak jest.

Głowa zniknęła. W chwilę później zjawił się ordynans z sucharami i gorącą czekoladą.

Postanowiłem nie zdejmować galowego munduru, skoro tyle trudu kosztowało mnie wystrojenie się w niego. Ściągnąłem tylko wypolerowane oficerki i założyłem ciepłe baranki i skórzany płaszcz, nie przestając żuć sucharów i popijając je czekoladą. Człowiek nie ma innego wyjścia, chociaż strach skręca mu wnętrzności. Następnie przeszedłem do ustawionych w linii bojowej samolotów, gdzie, w zalegających wciąż ciemnościach, pozostali piloci przygotowywali się do startu. Mój *Fokker* stał w warsztacie, miałem więc polecieć maszyną Waltera.

Piloci jeden po drugim uruchamiali swoje dwupłatowce i powietrze wypełnił suchy kaszel silników *Mercedes* o mocy 180 koni mechanicznych. Ostre błyski płomieni z rur wydechowych przecięły ciemność, niczym ogień obrony przeciwlotniczej. Razem z innymi podkołowałem na stanowisko startowe. Göring odciągnął dźwignię gaźnika i za przykładem jego maszyny kolejne *Fokkery*, podskakując po ziemi, potoczyły się do przodu, poruszając sterami kierunku przed wzbiciem się w powietrze. Silniki nabrały pełnej mocy. Jeszcze jedno dotknięcie ziemi i wzbiliśmy się w górę, wzlatując w wiszące nad nami jasnobrunatne niebo.

Śmigła niosły maszyny coraz wyżej i wyżej, przybliżając nas do pułapu bojowego. Przebywanie na mniejszej wysokości nie było bezpieczne: skoro tylko zrobiło się widniej, obrona przeciwlotnicza zaczęła przeczesywać niebo w poszukiwaniu naszych samolotów. Ziemia pod nami przypominała czarny dywan, na którym rozbłyskiwały drobne, czerwonopomarańczowe ogniki,

sygnalizujące stanowiska karabinów maszynowych.

Zaraz potem wleciałem w deszczową chmurę i pole bitwy pode mną zasnuło się szarością. Wyostrzyłem wzrok, sprawdzając prędkościomierz, starając się przebić spojrzeniem przesycone wilgocią powietrze. Kontynuując bowiem stałe wznoszenie się w zbitej masie waty mogłem w każdej chwili wpaść na któregoś z kolegów, dając tym na dole barwny pokaz fajerwerków.

Faktycznie: *triefenass oder trocken*.

Dwa tysiące metrów. Nagle przez chmury przebiły się promienie słońca i szara mgła rozbłysła złotym odcieniem. Za kabiną przemknęły białe strzępiaste obłoczki i w jednej chwili wyskoczyłem na różowiejące niebo, pozostawiając w dole masyw chmury błyszczącej jak wyłożony perłami chodnik, połyskliwy i czysty.

Leciało nas jedenastu. W brzasku dnia lecące w szyku dwupłatowce o kanciastych kształtach kołysały się lekko, niczym statki poruszane łagodną falą. Słońce oświetlało poprzeczne czerwone pasy (za życia Richthofena [Baron Manfred von Richthofen (1892 1918), as lotnictwa niemieckiego w pierwszej wojnie światowej, któremu przypisuje się zestrzelenie 80 samolotów alianckich; dowodził *Jagdgeschwa* der I do 21.04.1918 r, kiedy to został zestrzelony przez Brytyjczyków. Po jego śmierci dowództwo nad jednostką objął Göring. Richthofen dla podkreślenia swej waleczności latał samolotem pomalowanym na czerwono, zyskując sobie miano „Czerwonego Rycerza Niemiec” i „Czerwonego Barona”] samoloty były całe pomalowane na czerwono) namalowane na ciemnoniebieskich kadłubach i osobiste godła pilotów (błyskawica, strzała, trupia czaszka ze skrzyżowanymi piszczelami i żelazo do wypalania pięt). Należeliśmy jeszcze do tej epoki, która wymagała, by nieprzyjaciół,

zanim zostanie zabity, wiedział, z czyjej ręki ginie.

Chmura odpłynęła, odsłaniając widok w dole. Omietliśmy wzrokiem niebo, wypatrując czujnie poprzez okulary nałożone na futrzane pilotki wolno poruszających się czarnych plamek na tle ziemi lub na tle chmury, gotowi w każdej chwili otworzyć gaz do dechy i dać nura przy akompaniamencie jazgotu linek, napięci jak struny, z zapartym tchem szykując się do walki.

Przemierzaliśmy niebo przez kłębiaste cumulusy, pnące się w górę niczym gigantyczne filary. Niebiańskie blanki, zamki i katedry, ożywione światłem, świetliście białe; potem, niby atlasowa haleczka dziewczyny, miękka i gładka, przybierająca odcień złota i różu, by w końcu wystrzelić tajemniczymi, fiołkoworóżowymi cieniami.

Nagle zaśmierdziało kordytem.

Wszyscy jak jeden mąż wykręcają szyje na wszystkie strony, wypatrując przyczyny pojawienia się w czystym, suchym powietrzu czarnego, smrodliwego, toksycznego dymu. Nasze własne pociski przeciwlotnicze? Kładąc samoloty to na jedno, to na drugie skrzydło, rozglądamy się uważnie. Przecież Anglicy i Francuzi używają nabojów z bezdymnym prochem.

Co to takiego? Niebo przecinają drobne skupiska pomarańczowych błysków: pociski obrony przeciwlotniczej. Ziemia w dole przypomina zmatowiałą, zielonożółtą mapę topograficzną, przeciętą nieregularną płataniną dróg. Ale w oddali widnieją dwie czarne linie, podobne do tych, jakie mogłoby nabazgrać dziecko trzymające w dłoni dwa ołówki. To linie okopów. Wojskowe umocnienia ciągną się od Morza Północnego po Szwajcarię. Druty kolczaste i trupy rozkładające się w zalanych wodą lejach, a ponad nimi



strzelający do siebie ci, którzy jeszcze pozostali przy życiu.

I my, wzbijający się coraz wyżej i wyżej, w poszukiwaniu żywych celów do uśmiercenia.

Obrazy pode mną przesuwiają się w rogach okularów jak slajdy w fotoplastykonie: poharatane drogi, wioski, narożnik lasu z częścią ocalałych drzew, posuwająca się wolno w stronę frontu kolumna dostawcza, końskie zaprzęgi ciągnące wozy z amunicją.

Połykujące złoto w dali. Cóż to takiego? Morze. A ciemny kontur za nim to Anglia. Miasta i lasy Anglii opromienia brzask budzącego się dnia. W łózkach leżą piękne dziewczyny. Z dołu napływa do nich zapach parzonej herbaty. Co jedzą Anglicy? Grzanki. Grzanki z gęstym dżemem pomarańczowym. Pięknotki w łózkach myślą o wstawaniu. Pod kołdrą jest ciepło, nie lodowate zimno jak tutaj, gdy wiatr wieje z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Zmusiłem się do powrotu do rzeczywistości. Sprawdziłem oba karabiny maszynowe, ich spusty, i obracające się, błyszczące hipnotycznie łopaty śmigła. Według wskazań wysokościomierza znajdowałem się na sześciu tysiącach metrów. Jak by to było u Anglików? Dwadzieścia tysięcy stóp. Łapałem z trudem rozrzedzone, zimne powietrze, niczym wyrzucony na brzeg pstrąg. Człowiek starał się oddychać jak mógł najgłębiej, ale wdychane powietrze było zbyt rzadkie i zimne. Ziąb na zewnątrz i zimno w tobie. Miało się wrażenie, że płuca zamieniły się w oblodzone balony.

A w łózkach leżą piękne dziewczyny. Jakże chętnie wsunąłbym się pod kołdrę i ogrzał. Czekalby je niezły szok: moje lodowate dłonie błędzące po ich piersiach i między

udami.

A to co? Poczulem nagły przypływ adrenaliny. Przy kabynie Göringa rozbłysnął i zaraz zgasł czerwony sygnał. Jego *Fokker* zmienił kierunek, a my błyskawicznie podążyliśmy za nim. Odziani w grube rękawicę, operowaliśmy drążkiem sterowym i dźwignią przepustnicy, wciskając pedały orczyka stopami podobnymi do lodowych brył, ale, nie bacząc na dokuczliwe zimno, patrzyliśmy przed siebie rozświetlonym wzrokiem, niczym sfora psów po podjęciu tropu: kanciaste myśliwce sunęły zwartym stadem, węsząc czujnie w poszukiwaniu ofiary.

Są! Tysiąc metrów pod nami, osiem czarnych krzyży. Samoloty myśliwskie nieprzyjaciela. Czekaliśmy niemal w nieskończoność, aż znalazły się w zasięgu lotu nurkowego. Göring odczekał jeszcze trochę, byśmy w chwili ataku mieli słońce za plecami. Dopiero wtedy pokiwał skrzydłami, co było dla każdego z nas sygnałem do wybrania sobie przeciwnika, i runął w dół. Promienie słoneczne padały złotymi refleksami na czerwone pasy jego *Fokkera*.

Wziąłem ostatni głęboki oddech, przesunąłem drążek sterowy i wcisnąłem orczyk. Ziemia w dole zaczęła nagle wirować. Pędziliśmy niczym jastrzęb spadający lotem błyskawicy na upatrzoną ofiarę. Opadając nurkowym lotem, rozproszyliśmy się na wszystkie strony. Linki jęczały pod naporem wiatru, silniki wyły, płaty trzęsły się. Trzysta kilometrów na godzinę. Stery zaczynały się usztywniać. Pod nami nieprzyjacielskie samoloty; na skrzydłach wymalowane kokardy przypominające tarcze strzelnicze. *S.E.5a* z RAF-u, Anglicy.

Dostrzegli nas i skręcili gwałtownie, niczym

przestraszone gołębie. Poczułem jak zawsze tę samą dziką radość. Tam, na ziemi, człowieka skręcało ze strachu, tu, w przestworzach, czuło się życie.

Rzuciłem się w wir walki. Drogę przecięła mi błyskawica: pilot zgięty nad przyrządami sterowniczymi, lufy karabinów maszynowych wypluwają pociski. Poczułem dym w nozdrzach i podciągnąłem maszynę, siadając mu na ogonie. Płaty skaczą to w lewo, to w prawo, świat wiruje jak dziecięcy bąk. Z jednego z naszych *Fokkerów* wystrzeliła szkarłatna smuga: Anglik ostrzeliwał go z obu luf. Namierzyłem *S.E.5a* w celowniku. Jedna, druga seria i nagle Anglik jakby się zachwiał, po czym wzbił się w górę potężnym skokiem, a ja za nim, wysoko w niebo, niby pstrąg złapany na haczyk, a później znowu w dół. Ujrzałem wysmarowany olejem brzuch brytyjskiej maszyny. *S.E.5a* zaczął pikować, potem przeszedł w korkociąg, błyskając odbijającymi się promieniami słońca. Wtem w moją stronę pomknęły pociski smugowe.

Wcisnąłem pedał orczyka do oporu na pełnej prędkości i prześlizgnąłem się po niebie poprzecinanym szkarłatnymi smugami. Odciągnąłem mocnym ruchem drążek sterowy, aż zrobiło mi się ciemno przed oczami i o mało nie urwało mi głowy. Z drugiej strony wirowego łuku pojawił się ciemny kształt brytyjskiego samolotu. Widziałem pałające wściekłością oczy pilota za szklami okularów. Obaj napięci do granic wytrzymałości, pędziliśmy z rykiem silników na trzęsących się maszynach i, chwytając z trudem powietrze, wirowaliśmy wokół siebie, próbując wycelować w przeciwnika lufy karabinów maszynowych, pochłonięci tylko jedną myślą: zabić lub samemu zginąć, równie bezlitośni jak anioły śmierci. W sam środek naszego

szalonego pojedynku wtargnęła niebiesko-czerwona błyskawica z toporem: Göring. Brytyjski samolot obrócił się bezwładnie na grzbiet, ciągnąc za sobą ogon dymu z silnika. Po chwili zbiornik oleju zapalił się i maszyna runęła w dół w aureoli świetlistej chwały, rozświetlając swym blaskiem obłok na niebie.

Nagle wokół mnie zrobiło się pusto.

Byłem sam. Biała chmura połyskiwała jak świeży śnieg. Zanurkowałem w nią i wokół zrobiło się szaro. Kiedy wypadłem z drugiej strony, poczułem, jak coś z potworną siłą uderza w samolot. *Fokker* zaczął się bujać jak liść na wietrze. Ziemia i niebo przyciągały mnie na przemian: biel i błoto, błękit i zieleń. Straciłem kontrolę nad maszyną. *Fokker* opadł nosem w dół i zaczął wirować. Pedaly orczyka nie reagowały na nacisk stóp. Wyłączyłem silnik i w nagłej ciszy usłyszałem szum wiatru i zawrodoenie linek. Lotki pracowały, podobnie jak stery wysokości. Wyprowadziłem samolot z lotu nurkowego, ale wciąż spadałem w dół, zataczając majestatyczne, spiralne kręgi. Dym! Poczułem w nozdrzach dym pożaru. Zacząłem jak szalony macać szeroki, skórzany pas, przytrzymujący mnie w fotelu. Nie chciałem spłonąć. Podobnie jak inni, dawno już podjąłem stosowną decyzję. Wolałem wyskoczyć i spędzić ostatnie kilka sekund lecąc w czystym powietrzu. Powietrze. Czyste powietrze... Nagle uświadomiłem sobie, że chwilę wcześniej przeleciałem przez dym pozostawiony przez inną maszynę. Szeroki słup ciągnął się za spadającym samolotem, znacząc jego drogę w dół. To ten samolot uderzył we mnie, kiedy wyskoczyłem z chmury. Kim był pilot? Jednym z naszych czy jednym z tamtych? Wiedziałem, że tego już nigdy się nie dowiem. Widziałem go pod sobą, jak spada

w koziółkującym samolocie, który po chwili zamienił się w roztrzaskany wrak i rozbłysnął ogniem, rozświetlając szarą, błotnistą ziemię. Ja będę następny. Linki zawodziły żalobną pieśń, wtórując moim wysiłkom o odzyskanie kontroli nad *Fokkerem*. Linie okopów... Znalazłem: czarne, biegnące nieregularnie po ziemi kreski. Słońce odbijało się w żółtozielonych, gnijących sadzawkach. Rześki, potężny strumień zaśmigłowy: tuż przy mnie wyskoczył ciemny kształt, okrywając cieniem moją kabinę. Anglik. *S.E.5a* o kwadratowym nosie; dostrzegłem kokardy na skrzydłach. Kładąc maszynę w ostrym skręcie, pilot spojrział na mnie poprzez karabin zamontowany na górnym skrzydle. Zestrzeli mnie czy nie? W 1918 roku wciąż jeszcze uchodziliśmy za dżentelmenów: samolot próbujący wylądować z wyłączonym silnikiem pozostawiany był swojemu losowi. Ale nawet w naszych własnych *Jasta* (eskadrach myśliwskich) byli tacy, którzy nie odmawiali sobie nadarzającej się okazji: piloci ciułający zestrzelenia, nowicjusze uganiający się za łatwą zdobyczą, nałogowi zabójcy. Sam byłem świadkiem takich scen.

*Fokker* kręcił się i spadał, coraz bliżej ziemi. Anglik podleciał do mnie. Minął mnie tak blisko, że widziałem jego biały szalik i ruch ręki, trącającej pilotkę w pożegnalnym geście.

Odleciał, a ja zostałem sam na sam z pojękującymi linkami i zapachem jego spalin.

Zbliżałem się do ziemi. Mogłem do pewnego stopnia sterować maszyną; pytanie tylko, gdzie się kierować. Błotnista ziemia najeżona zwojami drutów. Sadzawki. Sterczące kikuty drzew. Wzgórze. Łagodna pochyłość. Krąg; jeszcze jeden krąg. Krajobraz staje się coraz wyraźniejszy,

odslaniając całą swą ohydę. Nad wszystkim unosi się okropny fetor, jakby dobywał się z cuchnących moczarów. Jeszcze sto metrów. Próbuję sterować w kierunku wypatrzonej pochyłości. Ziemia wirując przybliżyła się do mnie, tak jakbym to ja tkwił nieruchomo, a ona podnosiła się, by we mnie uderzyć. Roztrzaskany wóz, zabity koń, ogołoczone pociskami drzewa wyciągające do mnie strzępiaste, kłujące palce, a ja w trzęsącym się samolocie za chwilę...

Maszyna zaryła w ziemię. Szeroki skórzany pas wbił mi się w brzuch, wypierając ze mnie cały zapas powietrza. Coś walnęło mnie w twarz – tablica przyrządów; poczułem na twarzy rozbite szkło i wrzącą ciecz. Z krzykiem szarpnąłem się do tyłu. Opadła na mnie mazią błota, a zaraz potem uderzył mnie w bark płat samolotu, który oderwał się od kadłuba. *Fokker* stanął na nosie i nagle zorientowałem się, że lecę w powietrzu: klapnąłem ciężko jak wyłowiona ryba obok jakiegoś bajorka. Wokół panował zupełny bezruch. Coś posykiwało i powietrze wypełniał okropny smród. Moje dłonie, które lepiej ode mnie wiedziały co robić, szukały nerwowo sprzączki pasa. Nogi i ramiona myślały za mnie. Nic nie widziałem: byłem ślepy. Wykręcając się energicznie i wyłamując blokujące mnie strzępy burt, wyswobodziłem się wreszcie z roztrzaskanego kadłuba. Osunąłem się prosto w błoto; czułem pod nogami grząski grunt. Nagle cały świat rozgorzał. Zbiornik paliwa eksplodował wokół mnie niczym bomba. Nogi same niosły mnie przed siebie, aż w końcu upadłem. Leżałem w zimnym grzęzawisku, nadal nic nie widząc. Hilda nie będzie chciała prowadzić za rękę niewidomego żołnierza.

Dotknąłem twarzy i poczułem obmacujące mnie zimne,

twarde pazury. Rękawice! Właśnie, rękawice. Zrzuciłem je i odzyskałem na powrót ręce. Twarz pokrywała mi zimna, mulista maź. Ależ to błoto, a nie krew z pokaleczonego ciała! Ale co z oczami? Dlaczego nie widziałem płonącego *Fokkera*, choć dzieliły mnie od niego zaledwie metry? Wymacałem dłońmi oczy. Co to takiego? Co mi się stało? Cóż to za twarde narośla?

Błysk światła. Niewyraźna plama światła, migająca przed okiem: przecież to mój własny palec! Ale dlaczego mogę go widzieć? Okulary! Przesunąłem je za czoło, na pokrytą szlamem głowę, i uderzył we mnie majestatyczny blask pożaru. Żyłem i nie straciłem wzroku! Klęczałem w błocie, ale byłem cały.

Płonący *Fokker* oświetlał pole walki. Nic się nie poruszało. Znajdowałem się na ohydny składowisku śmierdzącego mułu, z którego wystawały pordzewiałe, poskręcane druty zasieków i gnijące drewniane słupki.

W pobliżu dostrzegłem żołnierza, rozpoznałem po kociołkowatym hełmie, że to jeden z naszych. Klęczał za osłoną z worków z piaskiem, opierając przed sobą karabin wycelowany w nieprzyjaciela, gdziekolwiek ten by się krył w ponurym krajobrazie bitwy.

– Hej! – krzyknąłem.

Nie odwrócił się, nie przerywając ani na moment czuwania. Podniosłem się na nogi i ruszyłem, ślizgając się i zataczając z boku na bok, jak myśliwy brnący przez grzęzawisko o pierwszym brzasku dnia w oczekiwaniu na kaczkę. Lepka ziemia przywierała mi do butów. Upadłem obok żołnierza i klepnąłem go w ramię.

Moja dłoń zapadła się w jego ciało. Gnijące zwłoki opadły na worki z piaskiem i poczułem ohydny fetor uchodzących

gwałtownie gazów. Wyciągnąłem rękę, wyswobadzając się od trupa. Koło twarzy bzyczały mi żółtoniebieskie muchy. Z dziury w spodniach żołnierza wyłonił się szczur wielkości kota i gapił się na mnie bezczelnie, ciekawy, kto ośmiela się przeszkadzać mu w uczcie. Odczołgałem się, uciekając od przerażającego widoku i, nie wiem nawet kiedy, znalazłem się na nogach. Po jednej stronie miałem trupa, po drugiej trawionego płomieniami *Fokkera*. Wycofałem się na chwiejnych nogach i uciekłem. Buty miałem jak z ołowiu.

Ktoś trzaskał z bicia. Rozejrzałem się uważnie, ale nikogo nie zauważyłem. Mimo to niewidzialny bicz strzelał mi dalej w uszach. Ziemia wokół mnie była poprzecinana rowami i jamami. Z jednej z nich wyskoczył dziwaczny stwór i pociągnął mnie za sobą. Kiedy upadłem, wczołgał się tyłem do jamy, z której się wynurzył, wciągając mnie za but do środka. Niezdolny się zatrzymać, ześlizgnąłem się w dół i wylądowałem na plecach w dziurze wypełnionej wodą na wysokość pół metra.

Był to człowiek. Mężczyzna miał na sobie niemiłosiernie brudny, pokryty błotem mundur, na głowie kociołkowaty hełm. Twarz zdobił mu czarny wąsik. Jasnoniebieskie oczy patrzyły na mnie przenikliwie.

– Oj, panie oficerze – odezwał się z wyraźną dezaprobatą w głosie. – Nie jest to najlepsze miejsce na niedzielny spacer.

– Też tak sędzę – wysapałem.

Mężczyzna zaczął się oddalać, zgięty w pół jak pawian, przypominając bardziej zwierzę niż człowieka. Zdawszy sobie sprawę, że rzucony w to dzikie pustkowie, bez map i drogowskazów, mam w nim jedyne przewodniki, opadłem na czworaka i ruszyłem za nim, na wpół płynąc,



na wpół gramoląc się niczym pies. Zatrzymał się w miejscu przecięcia, się okopów, obłożonych gnijącymi workami z piaskiem, i obejrzał się na mnie niecierpliwie.

– *Komm, Herr Flieger* ponaglił. – Anglicy nadciągają, muszę powiedzieć dowódcy.

Przystanąłem na moment przy ścianie z worków i oparłem się o się o występ. Dopiero wtedy zorientowałem się, że dotykam czyjeś ręki: z ziemi wystawały skórzaste szpony i mankiet munduru. Odepchnąłem się i potoczyłem za swoim przewodnikiem, który poruszał się żwawo, zatrzymując się od czasu do czasu. W takich chwilach chwycił w nozdrza powietrze, niczym dzikie zwierzę, wachał niesiony z wiatrem fetor i nasłuchiwał dźwięków, które tylko on rozumiał. Domyśliłem się, że mam do czynienia z jednym z tych stworów, które rodziło pole bitwy. Dziwak najwyraźniej czuł się jak u siebie.

– Jesteśmy prawie w domu oznajmił, uśmiechając się do mnie.

W domu? Jak mógł wyglądać tutaj dom? Znajdowaliśmy się w okopie wypełnionym grząskim błotem, na które rzucono deski, by umożliwić przechodzenie. Ściany okopu były umocnione równo ułożonymi workami piasku, które tworzyły przedpiersie wystające ponad jego krawędź. Spiesznie przemierzaliśmy biegnący krótkimi zygzakami okop. Od butów odpadały mi bryły błota.

Żołnierze. Ludzie. Niektórzy pełnili wartę, inni zażywali odpoczynku w niewielkich wnękach w ścianach okopu. Oficer w stalowym hełmie na głowie spoglądał przez peryskop ponad ścianą okopu. Mój przewodnik podbiegł do niego i zaszalutował, po czym wyciągnął z głębi swego niechlujnego munduru meldunek.

– Proszę, panie poruczniku. Nadciągają. – Spojrzał na mnie z zadowoloną miną psa gończego, który przyniósł swemu panu ustrzeloną przez niego zdobycz. – Znalazłem go. To pilot. Rozbił się.

Teraz i oficer spojrział na mnie. Arystokratyczne brwi uniosły się.

– Jesteś od nas? – zapytał. – Czy może jesteś naszym wrogiem? Zalała mnie fala wściekłości.

– Nie potraficie rozpoznać oficera Pułku Kawalerii Księcia Bawarii? – wybuchnąłem. – Nie poznajecie pilota *Deutsche Luftstreitkmftel*.

Uśmiechnął się.

– Nie poznałbym następcy tronu ani nawet samego cesarza, gdyby stanął przede mną w takim stanie.

Idąc za jego przykładem, popatrzyłem na siebie. Tkwiłem w niewielkim, ale wciąż rosnącym bajorku tworzonym przez brudnożółte błocko, które powoli spływało ze mnie na ziemię.

„Ja, ja... – bąknąłem niewyraźnie. Wtem przyszło mi do głowy, że pod zwałami szlamu mam na sobie swój wyjściowy mundur. – Miałem awaryjne lądowanie – wyjaśniłem. – Nie wiedziałem, gdzie jestem, i ten oto żołnierz przyprowadził mnie aż tutaj.

– To ma pan szczęście. Kapral Hitler jest u nas łącznikiem i nikt lepiej od niego nie zna okopów.

Młody oficer pokręcił głową.

– Lada moment zjawią się Anglicy. Jak u was ze strzelaniem? Potrafi pan strzelać z karabinu?

– W cywilu lubiłem bawić się w myśliwego.

– Kapralu Hitler! Przynieście karabin dla...

– Wolff. Leutaant Wolff.

– *Leutnant* Hoepfner – przedstawił się.

Przystąpił do wydawania rozkazów. Mówił z szybkością karabinu maszynowego, a żołnierze biegali po okopie jak mrówki. Łącznik, który mnie przyprowadził, oddalił się i wrócił po chwili z karabinem i skórzanym pasem z ładownicami. Wcześniej ściągnąłem z siebie skórzany płaszcz i próbowałem teraz zdrapać oblepiające mnie błoto. Krzyż Żelazny kołysał mi się u szyi; na ten widok kapral uśmiechnął się do mnie z nagłym poczuciem wspólnoty i, odpiąwszy górny guzik, pokazał, że i on nosi takie samo odznaczenie. Zaraz potem udał się pośpiesznie na którąś z pozycji.

– Widzę, że dostał Krzyż Żelazny – zauważyłem. – To rzadkość, jak na kaprala.

– To dobry żołnierz, jeden z naszych najlepszych łączników. Zawsze dociera z meldunkami na miejsce – odparł Hoepfner, wypatrując przez peryskop. – Mam nadzieję, że nie puścili tego przeklętego gazu... Nie chcieliśmy awansować go na sierżanta, więc zamiast tego daliśmy mu odznaczenie. *Nein, min*. Wiatr wieje z innej strony, nie mogą puścić gazu. *Gottseidank*, jak ja nienawidzę gazu!

– Czego pan wypatruje? Nieprzyjaciel nadciąga?

– Zaraz sam się pan przekona – zapewnił z ponurym wyrazem twarzy. – Ale teraz patrzę, gdzie może być *Feldwebel* Neubach. Wyruszył przed świtem i jeszcze nie wrócił.

– Myśli pan, że zginął?

– Może nawet nie. Tam, na otwartej przestrzeni, trudno się w ciągu dnia poruszać z uwagi na snajperów. A niech to! Atakują!

Zostawił peryskop i wspiał się po małej drabinie, żeby wyrzeć ponad przedpiersie okopu. Spostrzegłem koło siebie drugą drabinę i poszedłem w jego ślady.

Kiedy wychyliłem głowę ponad okopem, dobiegł mnie daleki pomruk. Sto metrów ode mnie ponury horyzont przeistoczył się w dziwny mur toczącego się błota i szczątków, które wzbijały się wysoko i spadały żółtobrazową ścianą deszczu, ożywioną dodatkowo trudnymi do określenia obiektami, które jeszcze przed chwilą leżały zagrzebane w ziemi.

– Tam jest! – krzyknął Hoepner. – To Neubach!

Z przodu muru znajdowała się jakaś postać, która, zataczając się, ślizgając i padając, posuwała się z trudem w naszym kierunku. Mur gonił uciekiniera. Dopiero teraz dotarło do mnie, że dziwny mur zbliża się ku nam z przeraźliwym, dudniącym rykiem. Zdawał się rosnąć w oczach i był coraz bliżej, wyrzucając nie kończącą się czerwień błysków i rozświetlając fruujące strugi błota.

Oszalały, zataczający się uciekinier obejrzał się na goniące go ohydne monstrum. Nagle poślizgnął się i upadł, zawadziwszy o zalegające ziemię szczątki. Powstał szybko na nogi i biegł podwajając wysiłki, ale owo coś deptało mu już po piętach. Krzyknął, wydając z siebie potępieńczy jęk, bo dziwny stwór właśnie go dopadł.

W ułamku sekundy był już tylko rozpadającą się kukłą, która wzleciała w powietrze w słupie ognia, spadła w kawałkach i została wchłonięta przez mur. Stałem jak zahipnotyzowany na drabinie, patrząc na nadciągającego, olbrzymiego potwora. Poszarzało, słońce przemieniło się w zaćmioną kulę i po chwili zniknęło. Rozejrzałem się wokół: okop w dole był pusty. Ani żywej duszy.

Z dziury w ziemi wysunęła się czyjaś głowa. Poznałem kaprała, mojego przewodnika.

– W dół! – wrzasnął. – Właź tu.

– Dobrze, dobrze... – Poruszałem się wolno jak mucha w smole. Spadałem jakby w zwolnionym tempie, budząc echo, gdy dotknąłem nogami ziemi, i nagle zacząłem toczyć się po schodach, wpadłem przez zasłonę z płachty przeciwigazowej i wylądowałem bezwładną masą na dnie. Wszyscy już tam byli, oddychając ciężkim, gęstym od potu powietrzem. Patrzyli wybałuszony mi oczami, które wydawały się białe w świetle małych sztormowych lamp zawieszonych na ścianach. Karabiny, bagnety i granaty, szcęk metalu i potężniejący grzmot w górze, potem gwizd i narastający wrzask, i nagle cała podłoga podniosła mi się pod nogami, powietrze ze świstem uciekło mi z płuc, a w norze zaczęło brakować tlenu. Zerwałem się z podłogi, lecz wtem spadł na mnie z góry potok błota, piasku i kamieni.

Monstrum nadeszło. Opadło całym ciężarem na ziemię nad moją głową, przyduszając mnie do podłoża. Miałem piasek na szyi, w ustach i w oczach, tkwiłem cały w lepkim uścisku bezwładnej, twardej masy, tak że ledwo mogłem się poruszyć. Serce przeszły mi gwałtowny strach. Byłem stworzeniem przestworzy, a nie borsukiem żyjącym w ciemnościach – nie tak chciałem umierać. Ręce. Czyjeś ręce pochwyciły mnie i ciągnęły, windując do góry. Wyłoniłem się z ziemi niczym umarłak w dzień Sądu Ostatecznego. Cztery czy pięć par rąk wyciągnęły mnie z pułapki. Ryknęli śmiechem widząc, jak wynurzam się z morza wota, a ja dołączyłem do nich, śmiejąc się, jakbym postradał rozum. Któryś z nich wcisnął mi karabin w rękę.

Chwyciłem broń i trzymałem jak talizman.

Wejście do tunelu było niemal kompletnie zawałone. Żołnierze zaatakowali z impetem przeszkodę na podobieństwo kretów, odgarniając saperkami zwały ziemi, gruzu i kamieni, i nagle do środka wpadło cuchnące, cudowne powietrze. Chwyciłem i wepchnąłem pod płaszcz saperkę, która walała się w pobliżu. Hoepner stał u wejścia na schody, czekając i nasłuchując ryczącej lawiny odgłosów, błyskając bielą szeroko otwartych oczu. Czekał na coś, co wiedział, że nastąpi, podobnie jak wiedzieli o tym pozostali. Wcisnął gwizdek w usta i zamarł w oczekiwaniu.

– Już! – krzyknął i gwizdnął z całej siły. Po chwili był już na stopniach i biegł, gwizdząc przenikliwie jak nabierający prędkości pociąg. Cały oddział, ze mną w środku, ruszył pędem za nim, pokonując z głośnym tupotem schody, ślizgając się w mulistym błocie, by wyrwać się na światło dnia. Okop był do połowy zapadnięty. Podwyższona drewniana podłoga zniknęła pod kleistą mazią, w której brnęliśmy teraz, o mało nie gubiąc butów. Reszta oddziału rozpierzchła się, jakby wiedzieli, dokąd się kierować. Rozległ się terkot karabinu maszynowego. Wgramoliłem się na wysokość przedpiersia okopu – teraz, kiedy się zapadł, było to dużo łatwiejsze. Wokół świstały kule, za naszymi plecami przewalał się grzmot ognia zaporowego. Wydostałem się na górę i przypadłem do ziemi. Saperka wbiła mi się w brodę. Zakląłem na czym świat stoi.

Słońce oświetlało nacierających Anglików; mieli na sobie mundury koloru khaki, na głowach okrągłe płaskie hełmy. Nie cierpiałem widoku tych hełmów. Promienie słoneczne odbijały się w trzymanyh wysoko bagnetach. *Mauser* w moich dłoniach był niczym sztucer, z jakim w cywilu

wypuszczając się na polowania. Wziąłem na muszkę nacierającego na mnie żołnierza i wypaliłem. Poleciał do tyki, wypuszczając karabin z bagnetem. Zakręciło nim i zwałił się na grzbiet, jak mój pierwszy królik, którego zastrzeliłem w dzieciństwie z małego karabinka. Nagle poczułem taką samą jak wtedy, nieopisaną satysfakcję.

Nie posuwali się tyralierą, ale krótkimi skokami, szukając osłony w zdewastowanym krajobrazie. Jeden z atakujących przykucnął za wrakiem; wycelowałem w miejsce, z którego, jak sadiłem, wyłoni się, i czekałem niczym na zająca. Zbliżając się, wołali do siebie dziwacznie po angielsku, z zupełnie innym akcentem niż u pana Jacobsena, mojego nauczyciela angielskiego. Mój „zając” ruszył do biegu. Kiedy ściągnąłem spust, obrócił się dookoła osi, trafiony w nogę. Zatoczył łuk w powietrzu i runął bezwładnie, trzymając się za udo.

Byli blisko. Na tle słońca zamigotały małe czarne kulki. – Macie, poczęstujcie się nimi! – krzyknął któryś z Anglików.

Wcisnąłem głowę w piasek, słysząc świst metalu nad sobą. Zacząłem się gramolić z ziemi akurat w chwili, gdy jeden z Anglików rzucił się na mnie z bagnetem. Byłem jeszcze na czworakach. Skuliłem się i ostrze przemknęło mi nad plecami. Napastnik zawadził o mnie, zwałając mnie do tyłu, po czym sam upadł i zsunął się do okopu. W całym zamieszaniu obaj pogubiliśmy broń. Przyskoczył do mnie z rozcapierzonymi pazurami. Zwarliśmy się w walce, głucho warcząc i zaciskając zęby, wymierzając sobie ciosy. Próbował dźgnąć mnie w oko, zacisnąć rękę na krtani. Wbiłem się zębami w brudną zrogowaciałą skórę, usłyszałem wrzask bólu i zacząłem dźgać go jak oszalały po oczach, aż w końcu uwolniłem się i, czując w ręce saperkę,

nic niemal nie widząc przez warstwę błota i łyzy, zacząłem siec na oślepa w coś, co kwiczało i jęczało jak zarzynana świnia. Potem stałem, łapiąc z trudem oddech, wytrącony ciągle ze świadomości, słysząc jęki umierania. Kiedy wreszcie przetałem oczy, zobaczyłem okop zasłany trupami i ciałami dogorywających, pośród których gramoliły się sylwetki walczących jeszcze żołnierzy.

Nagle jeden z naszych runął na plecy pod naporem napastnika w płaskim hełmie, który, odwrócony do mnie tyłem, wznosił bagnet do ciosu. Moja saperka zatoczyła łuk w powietrzu i hełm przeleciał nad okopem, a jego właściciel zwałił się na swoją ofiarę. Zdzieliłem go drugi raz w głowę, aż trysnęła krew i mózg. Pochyliłem się i ściągnąłem go z naszego żołnierza. Okazał się nim kapral, mój przewodnik. Uśmiechnął się dziko przez warstwę posoki i błota, pokazując czerwone od krwi zęby, po czym chwycił karabin Anglika i odszedł na niepewnych nogach, z odkrytą głową.

Wtem zrobiło się cicho. Przeleciał ostatni pocisk z hukiem lokomotywy. Żołnierze obsadzili okop z obu stron i zaczęli walić z karabinów do „płaskich hełmów”. Zewsząd dobiegały jęki. Spojrzałem na saperkę: pokrywała ją nieokreślona krwista maź. W jednej chwili wszystko podeszło mi do gardła. Nachyliłem się i zwymiotowałem suchara z czekoladą prosto w błoto oblepiające mi nogi.

W brudnej brei coś się poruszyło; podobne do kłody, zwalone twarzą do ziemi, dusiło się w lepkiej mazi. Przykucnąłem i przewróciłem nieszczęśnika na plecy. Nie mogłem nawet poznać, czy to swój, czy nieprzyjaciel.

Dostrzegłem wystającą z błota butelkę; podniosłem ją i napiłem się cudownej czystej wody. Mężczyzna u moich stóp jedną ręką ślamazarnie obcierał twarz z brei. Podałem



mu butelkę. Jego przemoczony mundur zaczynał się nasączać krwią, która spływała cienkimi strużkami ze zlepionych włosów.

– Dzięki, kolego – powiedział po angielsku.

Nogi miałem jak z waty. Stojąc przy ścianie okopu poczułem, jak mi się uginają, i obsunąłem się powoli w kleistą maź, nie mogąc się zatrzymać. Anglik wyciągnął do mnie zakrwawioną rękę z butelką.

– *Danke* – wykrztusiłem.

Skądś dobiegał mnie głos Hoepnera wykrzykującego rozkazy. Z nieba doleciał warkot silników. Zobaczyłem nisko lecące *Fokkery*. Od jednego oderwała się bomba, ale zanim przebrzmiały echa jej wybuchu, rozterkotały się karabiny maszynowe. Zaraz potem *Fokker* skoczył do góry, błyskając we wczesnych promieniach słońca.

Ręka zeszywniała mi od ciągłego pisania, ale palce nie chciały wypuścić pióra. Zapisałem już tak wiele kartek w niebieskim notesie, oprawionym w sztywne tekturowe okładki. Minęło tyle lat, a zdawać by się mogło, że wszystko działo się dopiero wczoraj.

Okrągła butelka z atramentem znajdowała się w szufladzie biurka, przy którym siedziałem. Wyjąłem z niej korek i, zanurzwszy stalówkę, przycisnąłem tłoczek, żeby wypuścić powietrze i nabrać atramentu. Wytarłem stalówkę trzymaną specjalnie do tego celu szmatką i odłożyłem wszystko na bok, gotowe na następny dzień. Życie takie jak moje samo tego uczy; jako pilot wiedziałem, że aby marzyć o wyjściu cało ze starcia z wrogiem, muszę przy pierwszej nadarzającej się sposobności uzupełnić paliwo i amunicję. Poza tym trzeba wypracować sobie metodę. Skoro jesteś myśliwym, musisz poznać swoją ofiarę, zbliżyć się do niej

jak do brata. To zabiera długie godziny. Niektóre zasady są proste. Ptak na ziemi jest jak samolot: zawsze wzbije się w powietrze. Twój pies, tropiąc dzikiego ptaka, będzie starał się podejść do jego kryjówki pod wiatr. Chwyciwszy trop, dopada ptaka od takiej strony, by wypłoszyć go prosto na ciebie. Ptak wzlatuje do góry i reszta jest dziecinnie prosta – pieczony bażant mile urozmaici twój jadłospis.

Lubię dzikie króliki, i to z dwóch powodów: szarak wypadający jak strzała z kryjówki jest doskonałym sprawdzianem umiejętności strzeleckich, a uduszony z boczkiem i cebulą dostarcza niezapomnianych wrażeń smakowych. Cenię też sobie fretki za to, że uwielbiają polowanie na równi ze mną, chociaż zdecydowanie nie przepadam za ich mięsem. Dlatego właśnie, kiedy królik wyskakuje jak rakieta z nory, lepiej jest odczekać chwilę z oddaniem strzału, żeby upewnić się, czy tuż za nim nie biegnie fretka. Pasztet z królika i fretki nie jest potrawą dla smakoszy.

Zamknąłem notatnik: na dzisiaj dosyć pisania. Słońce za oknem zniżało się ku białym szczytom. Ogień na kominku zaczął przygasać, podszedłem więc i dorzuciłem trochę szczap. Sucha kora poddała się żarowi z paleniska; buchnął płomień i rozszedł się zapach palącej się jabłoni.

Usłyszałem silnik samochodu. Nie bywają u mnie goście. Wszyscy, których znalazłem, przenieśli się już na tamten świat. Taki ze mnie staruch... Wyjątek stanowił mój księgowy Willi, która zjawiał się u mnie regularnie, głównie chyba po to, by sprawdzić, czy jeszcze żyję. I proszę, ja wciąż żyję, a on nie – nie tak to powinno być.

Przeszedłem pokój po szerokich wypolerowanych deskach podłogi, którą kładł jeszcze budowniczy Göringa

tak wiele lat temu. Mam sztywne mięśnie i nie poruszam się tak, jak dawniej. Kiedy powłóczę nogami dotarłem do holu, rozległo się pukanie do drzwi. Kapuściany Oddech – poranny policjant.

– *ja?* – Nie przywykłem do gości. – Ma pan dla mnie jeszcze jakieś złe wieści?

Uśmiechnął się przepraszająco.

– Ależ nie, *Herr Wolff*. Po prostu kiedy już odjechałem, przypomniałem sobie pańskie słowa, że zmarły księgowy był jedyną osobą, która tu stale zaglądała. A pozwolę sobie powiedzieć, że od najbliższej wioski czy miasta dzieli pana wiele kilometrów.

– Zamieszkałem tu właśnie po to, by mi nikt nie przeszkadzał – odparłem poirytowany.

– Tak, rozumiem – zapewnił pośpiesznie, wydmuchując na mnie zapach na wpół strawionego chleba orzechowego. – Ale jak pan sobie radzi z zakupami, ze zdobywaniem jedzenia?

Zerknął na staromodny bakelitowy telefon stojący w holu. – Ma pan do kogo zadzwonić w razie potrzeby?

– Telefon nie działa – poinformowałem. – Kilka lat temu kazałem go odłączyć. Wydzwaniali tu ciągle różni tacy i zakłócali mi spokój, a to oferując ubezpieczenie, a to podwójne okna.

– To skąd pan wiedział, kiedy miał zjawić się księgowy?

– Przychodził, jak mu pasowało. Od paru lat nigdzie się stąd nie ruszałem. Jak pan widzi, osiągnąłem już sędziwy wiek.

– Gdyby pan zechciał, to mam w samochodzie trochę artykułów spożywczych. Jedną chwileczkę...

Wypadł jak fryga, poruszając się sprężysto w swoich

tenisówkach. Młodzi zwykle szybko chodzą. Po chwili był z powrotem z pudłem i wniósł je do holu.

– Musiałem zrobić zakupy – wyjaśnił – i kupiłem trochę więcej na wypadek, gdyby pan czegoś potrzebował. Proszę sobie wybrać, co panu się przyda.

Zajrzałem bez zbytniego entuzjazmu do środka. Tak jak się spodziewałem: ryż, przeróżne warzywa korzeniowe, razowy chleb, ziarna soczewicy w ilości wystarczającej, by skazać człowieka na wielogodzinny pobyt w latrynie, woda mineralna i wreszcie słoik z czymś brązowym, co – jak mogłem śmiało podejrzewać – miało być swoistym panaceum na wszystko. Ze zjadaczami marchewek jest zawsze tak samo: ich religijna bigoteria nie potrafi się ograniczyć zwyczajnie do owoców i warzyw. Rozwijają się jak zaraza, włączając do swego kanonu wodę czerpaną z położonych odpowiednio daleko i wysoko źródeł, w których – jak państwo Marchewkowicze sądzą – zwierzęta nie załatwiają swoich potrzeb fizjologicznych (a co z rybami?) i które są wolne od toksycznych zanieczyszczeń. Taką właśnie wodą popijają tabletki o wątpliwym pochodzeniu, skuteczności i rezultatach. Hitler był taki sam. Jego oddech cuchnął starą kapustą i na wpół strawionym spaghetti.

Nie zaprzeczam, na starość zrobiłem się nerwowy. Gdyby jednak przyszło mi kupować jedzenie dla kogoś dotkniętego wegetariańską przypadłością, to zachowałbym się jak należy, zaopatrując go w warzywa korzeniowe i torebkę soczewicy; na pewno nie narzucałbym się z ładnym kawałkiem soczystego steku. Ale co ze mną? Korzeniojad-policjant nie zadał sobie nawet trudu, by pomyśleć, że być może lubię steki. Albo, co bardziej

prawdopodobne, nie potrafił przemóc niechęci do skalania pudła specjalów mięsnym dodatkiem.

– Dziękuję – wyraziłem wdzięczność i wybrałem kilka cebul, pomidorów i trochę ryżu. – To mi się przyda do potrawy z kury, mojego ulubionego dania.

– Kura... – wydukał nieco przybity. – Tylko że nie kupiłem kury.

– Mam swoje – odparłem. Zdjąłem z wieszaka marynarkę i założyłem na siebie. – Może ma pan ochotę mi towarzyszyć?

Zatrzymaliśmy się w ogródku, który założyłem z tyłu domu. Wyjąłem z kieszeni nóż i ściałem główkę kapusty, po czym przeszliśmy do wybiegu dla drobiu.

– Lubi pan jajka? – spytałem. Spojrzał z zaskoczoną miną.

– Nie, nie jadam jajek.

– Chciałem dać panu kilka. Willi i jego żona chwalili sobie jajka ode mnie. A może pana małżonka lubi jajka?

– Nie jestem żonaty, *Herr Wolff*.

– Ach, nie...

Kury zobaczyły nas i kapustę, i zaczęły gdakać jak najęte.

– Są do pana podobne – oznajmiłem. – Też lubią kapustę.

– Otworzyłem drzwiczki i weszliśmy za druciane ogrodzenie. Policjant stanął niepewnie w swoich tenisówkach na ptasich odchodach. Za pomocą igły przewlekłem żyłkę przez główkę kapusty i powiesiłem ptakom do dziobania. Zbiły się w kupkę wokół smakołyku, wyrażając na swój kurzy sposób radość. Trudno je zaliczyć do ptasiej inteligencji.

– Po pana odejściu coś przyszło mi do głowy – zacząłem.

– Czy żona Williego i dziewczynki... zostały zgwałcone przez

mordercę?

– Nie, nie – pośpieszył z zapewnieniem. Sprawiał wrażenie zszokowanego samym pomysłem, co z kolei mnie wydało się dziwne.

– Próbowałem odpowiedzieć sobie na pytanie, po co ktoś miałby ich zabijać – ciągnąłem.

– Żyjemy w dziwnych czasach – westchnął.

– To prawda i dlatego tu mieszkam. Chciałbym dożyć swoich dni zgodnie z własnym życzeniem. – Popatrzyłem na kury i zmieniłem temat. – Trzeba was będzie niedługo przenieść do kurnika – zapowiedziałem. – Pan Lis czai się w pobliżu.

Wyszukałem w stadzie cętkowaną staruchę. Schwytałem ją i wetknąłem pod pachę, gdzie głośnym gdakaniem zaczęła się uzalać, że została oderwana od należnej jej porcji kapuścianego liścia. Wyprowadziłem policjanta na zewnątrz.

Przy szopie, niewidoczna od strony wybiegu, stoi stara ławka. Przysiadłem na niej. Wsadziłem kurę między nogi, chwyciłem jedną ręką szyję ptaka, a drugą łeb, i szybkim, zgrabnym ruchem przekręciłem go. Oczy miała nadal otwarte i nie było w nich ani odrobiny zaskoczenia. Leżała na moich kolanach, ciepła i nieruchoma. Podniosłem spojrzenie w samą porę, by dostrzec na twarzy policjanta dziwny wyraz determinacji.

– Myśli pan, że ma pan do tego prawo? – spytał. – Że wolno panu odbierać życie?

– Tak – zapewniłem bez wahania. – Przecież beze mnie w ogóle nie miałyby racji bytu. Tu, na wolnej przestrzeni, żyje im się całkiem nieźle. Są dobrze karmione, wolne od chorób, mają ciepło w nocy i ochronę przed drapieżnikami,

których ofiarami padłyby na wolności. Tu nie mają wrogów.

– Poza panem – wytknął. – Ich katem.

– Poza mną – przyznałem. – Ale ja daję im życie i w zamian one pozwalają mi żyć.

– Mógłby pan, tak jak ja, przejść na dietę bezmięsną.

– Niech pan się nie gniewa, ale wolałbym raczej umrzeć. Jem mięso, odkąd matka odstawiła mnie od piersi, co, na ile ją znałem, miało miejsce nader wcześnie. Alkohol zacząłem pić, kiedy tylko stałem się wystarczająco dorosły, i robię to dzień w dzień do tej pory. Mam ponad dziewięćdziesiątkę, a dam jeszcze radę wychylić setkę. Ale coś mi mówi, że po szokowej dawce buraków i kiszzonej kapusty wyciągnąłbym szybko nogi.

– Może sprawdzimy? – wtrącił w zamyśleniu.

– Co mianowicie?

– Czy da pan radę wypić setkę.

Przystąpiłem do skubania kury – pióra wrzucałem do starego worka. Słońce zachodziło, robiło się coraz chłodniej.

– To łagodna śmierć – podjąłem temat. – A jakże często bywa inaczej. Przez całe życie wiele razy stykałem się ze śmiercią i wiem, że kiedy przychodzi, to najlepiej, by stało się to szybko i bezboleśnie. Lis nie zaczyna od skręcenia ptaku łba, kruk zjada żywe jeszcze pisklęta. Choroby, zimno i głód zabijają powoli. Był czas, że chorowałem, marzłem i przymierałem głodem, i mogę pana zapewnić, że wtedy naprawdę się cierpi.

Odwrócił się i odszedł do samochodu. Już przy drzwiczkach pomachał do mnie ręką i uśmiechnął się tym swoim dziwnym uśmiechem.

– Odwiedzę pana w przyszłym tygodniu – zapowiedział na pożegnanie. – Przywiozę znowu trochę zapasów.

Odjechał dróżką biegnącą przez wąski most rozpięty nad parowem, którego korytem płynie porywista, spieniona rzeka. Wyglądało na to, że straciłem księgowego, a na jego miejsce pozyskałem gustującego w rzepie stróża porządku. Nie wydawało mi się to korzystną zamianą.

Słońce zaszło za daleki szczyt, posyłając złote promienie wchłaniane przez pokrywający górę mrok, który ścielił się nad starymi drewnianymi budynkami gospodarczymi. Wszedłem do domu, żeby sparzyć kurę.



## 1918 rok

Trawa była upstrzona kwiatami, wyrastającymi na jakieś pół metra, przecięta ścieżką, którą posuwaliśmy się z mozołem: ja, Anglik i dwaj kaprale. Wszyscy byliśmy szczęśliwi, że wyrwaliśmy się z labiryntu ziemianek i okopów.

Daleko na horyzoncie majaczyło kilka baraków, pełniących rolę miejsca postoju dla żołnierzy idących na front; inna sprawa, że żadnego nie zauważyliśmy. Doszliśmy do skrzyżowania dróg, gdzie mógłbym złapać okazję i dostać się do swojej *Jasia*. Linie telefoniczne były poprzecinane na skutek ognia zaporowego, Hoeppner wysłał więc z nami gońca, kaprala Hitlera, z jakimś ważnym meldunkiem. Drugi żołnierz, kapral Eisenmann, Żyd, celowniczy karabinu maszynowego, konwojował angielskiego jeńca na tyły. Oddychaliśmy wreszcie czystym powietrzem. Zdawało mi się, że słyszę głos ptaka. Nagle śpiew urwał się, a ja nadstawiłem ucha. Ptak usłyszał to, co ja: świst przelatującego pocisku dużego kalibru. Moi towarzysze wydawali się jednak zupełnie obojętni, stłumiłem zatem naturalny odruch rzucenia się do rowu.

Mieli rację. Pocisk przemknął z jękiem nad naszymi

głowami i w chwilę później między barakami uniósł się kłęb czarnego dymu, a następnie rozległ się silny odgłos detonacji.

– Pocisk węglowy – rzucił lakonicznie Anglik. Widziałem, co ma na myśli: dym wisiał nad ziemią jak chmura miazgi węglowej.

Kapral Hitler puścił się lekkim truchtem. – Może są ranni! – krzyknął.

– Albo trupy – dodał Eisenmann. Mimo to pośpieszyliśmy, na ile tylko pozwalały nam na to rany, uciążliwe błoto i ogólne zmęczenie.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, dym już się rozwiewał. Część jednego z baraków została zniszczona siłą wybuchu. Na ziemi przy stole leżał sierżant służby kwatermistrzowskiej, wciąż trzymając w ręku szklaneczkę. Z butelki obok niego wyciekła cała brandy. Wyglądał na pijanego, ale kiedy Eisenmann przewrócił go nogą na plecy z pogardą człowieka walki dla osobnika dekującego się na tyłach – ujrzeliśmy twarz trupa. Mam wrażenie, że każdy z nas, patrząc na niego, odczuł pewien rodzaj zadowolenia na myśl, że sprawiedliwość jednak dosięga tych, którzy próbują jej uniknąć.

Eisenmann zasalutował szyderczo i zaczął śpiewać, jakby wygrywał sygnał na trąbce:

Słuchajcie, ciury i majory: Dupek nie będzie więcej chory  
Bo zimny jest już z niego trup.

Wszyscy się uśmiechnęli, włącznie z Anglikiem, który sam podjął śpiew:

Jeśli szukasz starszego sierżanta To powiem ci, gdzie jest:  
Żłopie rum szeregowca Taki ma już gest.

Hitler, który słuchał z kwaśną miną śpiewki Anglika,

przystąpił do niego i uderzył go w twarz.

– Cicho! Nie zapominaj, że jesteś jeńcem.

– Czemu taki jesteś? – zdziwił się Anglik, bynajmniej nie zbity z tropu.

– Niech sobie śpiewa – włączył się Eisenmann. Przysunął sobie krzesło i usiadł.

– Wstawaj! – ryknął Hitler. – Nie pora na odpoczynek. Musimy przed zmrokiem wrócić do oddziału.

Popatrzyłem po ścianach pokoju. Kwatermistrz obwiesił go reprodukcjami dzieł Kirchnera z pięknymi, na wpół ubranymi dziewczętami w koronkowej bieliźnie, które odkrywały to, co miały najlepsze.

– Weźmy kilka obrazków – zaproponował Eisenmann. – jemu nie będą już potrzebne. A ty, Hitler, przestań się ciskać, zdążymy wrócić przed końcem wojny.

Hitler podszedł do drzwi.

– Ja znam swoją powinność! – rzucił głośno, kładąc nacisk na słowo „ja”. – Wy nie zapominajcie o swojej!

– Nic innego przecież nie robię – odrzekł Eisenmann znużonym głosem. – Czekam na kogoś, kto odbierze Anglika.

Hitler wypadł na zewnątrz i usłyszeliśmy, jak oddala się szybkim krokiem.

– Parszywa czarna owca – mruknął Eisenmann z pogardą. – Myśli, że wygramy tę wojnę...

Pocisk rozerwał również zaplecze kantyny i wokół leżały porozrzucone pudła.

Po co jechać z pustymi rękami? Moja dziewczyna mówi, że tam wśród nich wcina się rzepę i kartofle na śniadanie, obiad i kolację. – Przystąpił martwego kwatermistrza, ja i Anglik podążyliśmy za nim. – Niech pan tylko popatrzy. Niczego sobie tu nie żalowali.

W pudłach kryły się kandyzowane owoce, herbatniki oraz ozór i szynka w puszkach.

– A niech mnie! Ja też mogę? – zapalił się Anglik.

Jasne – zgodził się Eisenmann. – Po co wszystko ma trafić do panów oficerów?

W słowach Eisenmanna kryło się wiele prawdy. Wyszukałem solidne pudło i zacząłem szybko je wypełniać. Dlaczegoż by nie? Wyżsi oficerowie – tłuste, obślizgłe kanalie – żyli sobie wygodnie w wiejskich posiadłościach z dala od linii frontu, podczas gdy ja i mnie podobni marzliśmy wysoko w przestworzach, aż jakaś przypadkowa kula zamieniała nas w żywą pochodnię i spadaliśmy na ziemię, smażąc się. Do diabła, mogliby się ze mną i Hildą trochę podzielić.

Anglik był najwyraźniej tego samego zdania, bo zaczął sobie cicho podśpiewywać:

Jeśli szukasz generała, To powiem ci, gdzie jest. Widziałem go, a jakże, Jedynie od frontu wiele mil. Widziałem go, a jakże, Lecz wiele, wiele mil, za linią frontu był.

Eisenmann okazał się niezmiernie zaradny. Wyciągnął składany nóż z korkociągiem i z wprawą otworzył zieloną butelkę rieslinga. Pociągnął z niej zdrowo i posłał dalej. Zanim zapchałem pudło wiktuałami, wino bulgotało już w naszych żołądkach.

Eisenmann rzucił Anglikowi czekoladę i dużą okrągłą puszkę papierosów. Zapaliliśmy i ruszyliśmy w drogę. Podążaliśmy wolno do skrzyżowania, ciągnąc za sobą aromatyczną smugę dymu.

Anglik znowu zaczął cicho śpiewać, uderzając w melancholijną nutę. Przyłączyliśmy się do niego:

znaliśmy tę zwrotkę, nawet po angielsku.

*Jeśli szukasz starego batalionu,  
To powiem ci, gdzie są, gdzie wszyscy teraz są.  
Jeśli szukasz starego batalionu,  
To powiem ci, gdzie są.  
Wiszą na starym drucie kolczastym.  
Widziałem ich jak wiszą  
Na starym drucie kolczastym.*

Budzę się zawsze wcześniej. Właściwie ze snu wytrąca mnie reumatyzm. Nie sypiam już w łóżku: siadam w fotelu przy kominku i zapadam w drzemkę. Ale zanim wstanie świt, wyrrywają mnie ze snu bolące stawy, wspólnie z duchami, które podnoszą się do lotu. Czasem budzi mnie zapach: bywa, że jest to mieszanka pokrytego cellonem płótna, oleju i zgniecionej trawy; innym razem raptowny, chemiczny smród paliwa *T-stoff* – to wspomnienie jest młodsze o dwadzieścia pięć lat od pierwszego, chociaż mnie i tak się zdaje, że wszystko działo się wczoraj.

Kiedy dopisuje mi szczęście i powietrze jest przejrzyste czyste, widzę, jak niebo robi się brunatnoszare, potem niebieszczeje, a słońce wspina się nad szczyt wznoszącej się za mną góry i maluje swym blaskiem odległe zbocza w całym ich majestacie. O tej porze jestem już na dworze, wypuszczam kury z kurnika i zbieram jajka. Siadam na werandzie, zaopatrzony w mocną kawę i fajkę, i obserwuję jastrzębia, jak szybuje w powietrzu, opuszczając się w dół stoku. Przyglądam się, jak wypatrzywszy śniadanie daje gwałtownie nura, po czym odlatuje ze zdobyczą, by zjeść ją w gnieździe. Wiewiórki krzątają się wokół okalających dolinę drzew w poszukiwaniu orzechów. W panującej ciszy

słyszę szmer strumienia, który toczy korytem parowu wartkie lodowate wody. Dym fajki odpływa niesiony wiatrem, pobłyskując srebrem opada na łąkę, by zniknąć mi z oczu w miejscu, gdzie stok przechodzi w dolinę. Mieszkam tu niczym ptak, wysoko na skalnym występie.

Teraz, kiedy zacząłem spisywać wspomnienia, mam nowy cel. Wokół mnie rozpychają się, uśmiechają i dowcipkują przeróżne postacie, przypominając mi o swej obecności i o tym, że im również należy się uwiecznienie na kartach moich wspomnień. Są też inni, pochowani w ciemnych obrzeżach mojego umysłu, ubrani w mundury, gotowi wkroczyć w światło dnia, żebym mógł znowu ich ujrzeć. Nic z tego, niech sobie poczekają, teraz jestem ze swoimi kolegami. I pamiętam dokładnie Hildę, taką, jaka była wtenczas. To naprawdę przyjemne. Tamci mogą poczekać.

Widzę ich tak wyraźnie, jak tylko sobie życzę. Dziwne: znałem ich pięćdziesiąt, sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat temu, a mam ich przed oczami, jakby rozstali się ze mną zaledwie przed kilkoma minutami. I to ja, który nie pamięta nawet nazwiska poznanego dzień wcześniej człowieka. Weźmy na przykład tego policjanta roślinożercę: ledwie mogę sobie przypomnieć, jak wygląda, zapomniałem zupełnie, jak się nazywa, chociaż jestem pewny, że mi się przedstawił. To właśnie powiedziałem drugiemu policjantowi, który zjawił się, kiedy popijałem kawę i pykałem z fajki w świetle poranka.

Przyjechał innym samochodem: ten miał oznakowania informujące, że jego kierowca jest z jakiejś tam policji, i na dachu niebieskiego koguta. Jego wcześniejszy kolega – miłośnik soczewicy – przybył pojazdem bez oznakowań,

choć wyposażonym w niebieskiego koguta, którego przymocował pewnie za pomocą magnesu. Soczewicoid był jednak, o ile pamiętam, śledczym.

Policjant, który do mnie teraz zawitał, ubrany był w mundur, mimo iż wiek wskazywałyby raczej, że dopiero co wyskoczył z krótkich spodenek.

– *Hen Wolff?*

– Zgadza się.

Zdjął czapkę z daszkiem.

– Przynoszę złe wieści – zaczął z ociąganiem.

– Wiem już – przerwałem mu. – Chodzi o mojego księgowego, Williego.

– Tak... – Sprawiał wrażenie raczej zadowolonego, że nie musi przechodzić przez to wszystko. – Naprawdę nieprzyjemny obowiązek...

– Rozumiem, jak to jest, bo sam wypełniałem go aż nadto często.

– Kolega wspominał, że był u pana. Próbowałem się dodzwonić, ale...

– Telefon nie działa – dokończyłem za niego.

– Właśnie. Przygotowania do pogrzebu...

– Mam nadzieję, że ktoś się tym zajmuje?

– Tak, oczywiście. Pomyślałem, że będzie pan chciał przyjść, moglibyśmy więc podesłać samochód...

– Nie – odparłem cicho. – Nie wybieram się na pogrzeb. Może wyda się to panu dziwne, ale nie lubię pogrzebów. Jakiś czas temu przyrzekłem sobie, że nigdy już na żaden nie pójdę. Zbyt wiele ich widziałem w życiu. Ale poproszę pana o kupienie kwiatów w moim imieniu.

Wszedłem do domu i wyjąłem z biurka kilka banknotów. Kiedy wróciłem, żeby wręczyć mu pieniądze, stał i rozglądał

się wokół.

– Mieszka pan tu zupełnie sam? – Tak.

– Czy to bezpieczne?

– Komu zależałoby na tym, żeby mnie skrzywdzić?

– A jednak ktoś nie zawahał się skrzywdzić pańskiego księgowego i jego rodzinę – zauważył grobowym tonem. – Ma pan może jakieś sugestie co do motywu zbrodni?

– Owszem. To robota maniaka. Przeżyłem na tym świecie tyle lat... Żyłem w czasach, kiedy miliony ludzi umierały śmiercią, której nigdy by sobie nie wybrały. Wszyscy co do jednego zginęli za sprawą maniaków. Jeden, dosłownie jeden szaleniec, może zabić miliony, jeśli tylko dostanie się na pole śmierci.

Zmarszczył czoło.

– Pole śmierci? – powtórzył.

– Właśnie. Powiem panu coś: ja też zabijałem ludzi. Byłem pilotem w dwóch wojnach światowych. Tam, w górze, rozciąga się pole śmierci, na które trzeba się dostać, żeby zestrzelić przeciwnika. Chociaż w moim przypadku trzeba by raczej mówić o poletku śmierci. Mogłem zabić naraz jedną, dwie, co najwyżej dziesięć osób, jeśli była to załoga czterosilnikowego bombowca. Ale żeby wykończyć miliony ludzi, potrzeba prawdziwego szaleńca. Szaleńca, który stoi, jak my teraz, na szczycie góry, wznosząc się nad całą ludzkością, i rozdziela śmierć tym w dole, zawsze w najbardziej straszliwy sposób. Tak właśnie stracił życie biedny Willi, jego żona i dwie córeczki. Nie zginęli w wypadku samochodowym, ale z ręki maniaka.

– Tak – przytaknął cicho. – Zostali... straszliwie okaleczeni. Niektórych części ciała brakowało. Nie wiem, dlaczego to zrobiono, ani gdzie zniknęły...



Staliśmy przez kilka chwil bez słowa. W dolinie zawsze panuje niezwykła cisza. To prawdziwe odludzie, w końcu dlatego tu zamieszkałem. Zbocza są zbyt strome, żeby powstały na nich trasy zjazdowe dla narciarzy. Droga to właściwie ścieżka, która prowadzi jedynie do mojego wiejskiego domu, w którym nigdy nie mieszkał żaden wieśniak. Cóż, po 1933 roku nie mogłem raczej prosić Le Corbusiera czy Van der Roha o postawienie mi wspaniałej, delikatnej konstrukcji z białego szkła, stanowiącej przykład *Zweckmassigkeit und Sachlichkeit*. Tutejsze króliki stroją się na zimę w białe futra, żeby się lepiej ukryć ja powodowałem się tym samym.

– Muszę się już zbierać – orzekł policjant. – Mamy dodatkowa robotę: szukamy śladów Matki Natury.

Dziwny charakter tej uwagi oderwał mnie od przeszłości. Szukać śladów Matki Natury? Ujrzałem oczami wyobraźni surrealistyczny obrazek: policjanci w mundurach łążą po górach, podśpiewując sobie jak skauci, nad ich głowami przelatują ptaki, a spod stóp wyskakują im króliki.

– Szukacie Matki Natury? – powtórzyłem pytająco. Obrzucił mnie spojrzeniem i zrozumiał, że nie mam o niczym pojęcia.

– Nie ogląda pan telewizji? Wskazałem na pozbawiony anten budynek.

– Ach, to nie słyszał pan o działalności tej grupy... Krótko mówiąc, chodzi o ekologicznych terrorystów.

Milczałem w oczekiwaniu na dalsze wyjaśnienia.

– To grupa terrorystyczna przejęta, jak sami utrzymują, troską o stan środowiska naturalnego. Ich zdaniem technologie przemysłowe i rolne, dążą do państwa konsumpcyjnego i są odpowiedzialne za eksploatację

i zanieczyszczenie świata prowadzące do jego zagłady. Domagają się odejścia od państwa przemysłowego i powrotu do czasów wolnych od wojen, gdy ludzie żyli w harmonii ze zwierzętami i całą przyrodą.

– Ciekawe, jak by to miało wyglądać? – zamyśliłem się. – Jedno wiem: mogą sobie żądać, co im się żywnie podoba, i tak niczego to nie zmieni.

– To prawda – przytaknął. – Ale jak powiedziałem, to prawdziwi terroryści Nie należą do tych, co kładą się pod koła ciągników i wnoszą pieśni. W ubiegłym roku porwali *Hen Solmitza*, prezesa Solmitz Foods, potentata w dziedzinie produkcji żywności. Firma oplata swoją siecią cały glob – ma filie w Afryce, Ameryce Łacińskiej, na Dalekim Wschodzie. Terroryści żądali całko witego zniszczenia i rozwiązania przedsiębiorstwa.

– Ale domyślam się, że Solmitz Foods nadal działa?

– Jak najbardziej. Udziałowcy firmy nie podeszli z entuzjazmem do przedłożonych żądań.

– A co z Solmitzem? Został uwolniony?

– Można tak powiedzieć. Kiedy pewnego ranka robotnicy przyszli do pracy, zobaczyli kilka świń przywiązanych do bramy przetwórni, a przy nich liścik, że przyprowadziły ze sobą Solmitza. Ponieważ jednak nigdzie nie było śladu prezesa, komuś – nie pamiętam już komu – przyszło do głowy, by zabić jedną ze świń i rozplatać jej brzuch. W jej żołądku znaleziono porąbane szczątki Solmitza.

– Dzieci Matki Natury nie wyglądają na przyjemniaczków – zauważyłem.

– Otóż to. W ubiegłym tygodniu porwali sławnego kuchmistrza, właściciela restauracji. Z tym właśnie wiąże się nasze zadanie specjalne. Mam nadzieję, że tym razem

nie natrafimy na żadne świnie.

– Życzę zatem, żebyście ich złapali. Dziękuję za odwiedzin i za pomoc w przygotowaniu wiązanki.

Wszedł i po chwili w dół stoku spłynął smród spalin.

Wszedłem do domu, wyjąłem notatnik i pióro wypełnione atramentem, po czym otworzyłem okno osadzone w drewnianej ramie. W moim wiejskim domku żyje się całkiem wygodnie. Bardzo się do niego przywiązałem. Nikt dziś nie pamięta, że był to przykład czystego symbolizmu, nawet ja. Speer to wiedział, ale już nie żyje i o nim też już nikt nie pamięta.

*1918 rok*

Pudło ciążyło jak diabli. Do tego błoto na moim ubraniu stało się twarde niby pancerz. Kiedy wspinałem się po schodach, te chwiały się i trzeszczały, wzbijając w powietrze żółtobrunatne tumany kurzu; patrząc w dół widziałem skłębioną kurzawę, która ciągnęła się za mną niczym ogon dymu za lecącym ku zagładzie samolotem.

Doszedłem do szczytu schodów. Przez świetlik w dachu zaglądało słońce. Zapukałem do drzwi. Usłyszałem lekkie, pośpieszne kroki. Drzwi otworzyły się i ukazała się w nich drobna twarzączka okolona czupryną lśniących kruczoczarnych włosów. Ich właścicielka spojrzała na mnie z uwagą. Na głowie miała zawadiacko przekrzywiony, ciemnoczerwony beret, a na szyi elegancką, pasującą do nakrycia głowy, jedwabną apaszkę. Dostrzegłem niezdecydowanie w spojrzeniu niebieskich oczu.

– To ty, Hans?

Popatrzyłem na nią, przez sekundę równie niezdecydowany. Poznała mnie po głosie. Rozpromieniła się. Wyciągnęła ramiona do uścisku, ale zawahała się widząc, że to niemożliwe.

– Jesteś utyłany w błocie – odezwała się z powagą. – Co

ty robiłeś? – Wsunęła głowę w drzwi i krzyknęła: – Erna! Erna! Chodź tu, zobaczysz, jak wygląda błotny człowiek.

Zaraz też pojawiła się druga młoda dziewczyna i uśmiechnęła się na mój widok. Podobnie jak jej towarzyszka, była ubrana na ciemnoczerwone.

– Czy wasi rodzice wiedzą, że chodzicie tak ubrane?

– Rodzice! – wykrzyknęła Erna. – Moi rodzice nie żyją.

– Nie żyją? Co się stało?

– Nie dosłownie – odparła lekceważąco Hilda. – Po prostu dla nas umarli. Umarli, bo byli częścią całej tej zgniłej, zepsutej, prymitywnej kultury, która umiera wokół nas. Ale my stanowimy nowe życie.

– *Ja, ja* – przytaknąłem. – Całkiem możliwe. Ale jestem ciągle jedną bryłą błota.

– Trzeba będzie wejść z tym na dach i wytrzepać. Ściągaj ubranie.

– Tutaj? Zachichotała.

– W nowym świecie przestaną obowiązywać te staromodne konwenanse – wytłumaczyła mi. – Będziemy chlubić się swoim ciałem, a nie kryć je pod burżuazyjnym płaszczykiem wstydu.

– Można się będzie łatwo przeziębic – zauważyłem. Erna zachichotała.

– Wychodzę – oznajmiła. – Zostawiam cię, Hildo, żebyś mogła doczyścić błotnego człowieka.

Kiedy ruszyła w dół schodów, wziąłem pudło i wsunąłem za próg. – Może złapiemy katar, ale na pewno nie będziemy głodni i nie zaschnie nam w gardle – zażartowałem. – Przynoszę dary ze starego świata.

– Cudownie – odezwała się. – Mam już serdecznie dosyć ziemniaków.

– Zostawcie trochę dla mnie! – zawołała Erna, stukocząc wesoło obcasami po deskach schodów. – Mnie także przejadły się ziemniaki, nie mówiąc o rzepie.

Zdołałem jakoś wygramolić się ze skórzanego płaszcza. Był całkiem sztywny: postawiłem go na podłodze. Hilda przyjrzała mi się z osłupiałą miną.

– Przecież pod spodem też jesteś obłożony – wykrzyknęła. – Co ty robiłeś?

– Miałem kraksę.

– Kąpałeś się chyba w tym paskudztwie – narzekała. Zdjąłem i podałem jej Krzyż Żelazny.

– Zgadza się.

– Hans – jęknęła słabym głosem. – Ubranie masz całe we krwi. Przytaknąłem ze znużeniem. – Błoto jest również zmieszane z krwią.

Rozbiłem się na polu bitwy, w samym środku ataku Anglików. Musiałem walczyć.

Patrzyła w milczeniu, jak składam ubranie.

– Przygotuję ci wodę na kąpiel – zaproponowała.

Błoto przeniknęło aż do skóry, chociaż nie tworzyło zbitego pancerza. Wszedłem do mieszkania, zamknąłem drzwi i zaniósłem pudło na stół. Podobnie jak na podeście, w mieszkaniu był także świetlik; Hilda ustawiła pod nim dużą sztalugę, na której rozpięła pełen dramaturgii afisz. Widać było, że malując go nie żałowała czerwieni; z plakatu wyłaniało się coś, co wyglądało na części maszyn, a na tle wysokich fabrycznych kominów stali ludzie z zaciśniętymi pięściami. Otworzyłem pudło z wiktuałami i wyjąłem butelkę brandy, wlałem po trochu do dwóch szklaneczek: Rozszedł się cudowny, aromatyczny, mocny zapach.

– Nad czym pracujesz? – spytałem.

– Maluję przyszłość.

Wypiliśmy i łzy uderzyły nam do oczu. Kiedy znowu przejrzałem, przypatrzyłem się dokładniej malunkowi.

– Czy to, na czym stoją, to ciała? – zagadnąłem Hildę.

– To wyobrażenie starego porządku, który trzeba zgnieść, kompletnie wykorzenić.

– W tej chwili walczymy przeciwko Francuzom i Anglikom – zauważyłem.

– Mówię o starym porządku na całym świecie! – wykrzyknęła. – Który ma być zmieciony gwałtowną siłą historii!

– A co na to twój ojciec?

– Phi! On też zostanie zmieciony.

Spojrzała krytycznym, ale przychylnym okiem na swoje dzieło. Na dłoniach miała drobne czerwone plamki.

Malowidło było całkiem udane, inne niż wszystko, co dotychczas widziałem.

– Odeszłaś od martwej natury – zaryzykowałem.

– To wszystko przeszłość! – Zakręciła się na pięcie i w końcu rzuciła mi się w ramiona.

– Hans, wreszcie nadszedł ten moment! W Rosji potrzebowali tylko kilku dni, a teraz rewolucja przychodzi do nas! Zupełnie nowy świat, a my będzie my jego częścią! Nie mogę się doczekać, nie mogę się doczekać...

Z łazienki wydobywały się smugi pary. Hilda pchnęła mnie w tamtym kierunku.

– W twojej paczce ze sklepu generalskiego znalazłam sole kąpielowe, więc wsypałam ci trochę do kąpeli.

– Łapałem wszystko, co ładnie wyglądało – przyznałem. Usiadłem w ciepłej, pachnącej wodzie i zacząłem się myć, a Hilda polewała mnie wodą.

– Ale miałeś na sobie tego brudu! – dziwiła się. Dno dużej, ustawionej na łapkach, białej wanny zaczynało przywodzić na myśl muliste wody wolno płynącej, afrykańskiej rzeki.

Brandy szumiała nam w głowach. Przywarliśmy do siebie pod białą pościeli. Czułem jej ciepłe, prężne ciało o aksamitnej skórze. Moje ręce żyły własnym życiem, nie całkiem jeszcze wierząc, że nie trzymają twardych, zimnych narzędzi zabijania, że nie ściskają dźwigni przepustnicy ani drążka sterowego, karabinu, saperki czy pałki.

– Nie wracaj tam – poprosiła.

– Muszę.

– Wojna niedługo się skończy. Z rum wyłoni się nasz nowy świat, świeży w formie i wspaniały.

– Ty jesteś wspaniały.

– Mówię poważnie. – Wyswobodziła się z moich objęć.

– Ja też.

– Jeżeli cię zabiją, to nie będziesz mógł cieszyć się razem ze mną.

– Teraz przeżywam z tobą chwile radości.

– Nie wracaj – powtórzyła błagalnie i wzięła mnie za rękę.

– Przecież muszę. Nie mogę zdezerterować, jestem oficerem.

– Po tej wojnie nie będzie oficerów ani szeregowych.

– Ktoś musi dowodzić oddziałami.

– Nie wierzysz, że w nowym świecie nie będzie wojen? A dlaczego miały by wybuchać? Tyle ludzi już zginęło... Zostań ze mną. Za kogo chcesz walczyć? Za cesarza? Może za tego rzeźnika Ludendorffa?

– Nie... Ale widzisz, chłopcy codziennie wzbijają się



w powietrze i zawsze któryś nie wraca. Kiedy spotkam ich w nowym świecie, po skończeniu wojny – będą *może* bez nóg, ślepi, poparzeni albo w domach dla obłąkanych – i co im wtedy powiem? Że siedziałem w domu, czekając na przyjsie nowego świata, podczas gdy oni walczyli beze mnie?

Milczała.

– Nalej jeszcze brandy – poprosiła i wypuściła moje ręce z uścisku. Leżeliśmy w łóżku, zajadając kruchą, różową szynkę oraz pierś kurcząt w galarecie. Obieraliśmy przepiórcze jajka i smarowaliśmy miękkim, aromatycznym serem kruche biszkopty, które znajdowały się w cylindrycznym blaszanym pudełku oznakowanym herbem cesarza.

Smakowaliśmy bez pośpiechu czekoladę w kształcie motyli, popijając zielonozłotym winem.

– Hans – zawahała się. – Dlaczego mówiłeś o żołnierzach bez nóg, o ślepych, poparzonych albo o tych w domach dla obłąkanych?

– Bo taka jest rzeczywistość. Strzelamy do siebie z karabinów maszynowych, a kule fruwać całymi chmarami. Jak człowieka trafią, to jeszcze nie znaczy, że już po nim, chyba że wyzionie ducha w drodze na ziemię. Ale sześć, siedem kul w nogach to dosyć, żeby człowieka nieźle poharatać, choćby nawet zdołał wylądować.

– A poparzeni?

– *Verbmunt, ja.* Każdej walce towarzyszy dym, czarny, wijący się dym. Samolot bardzo łatwo się zapala. Kule z karabinów maszynowych dziurawią zbiorniki z paliwem, umieszczone w nosie maszyny, przed pilotem, gdzie również mieści się iskrownik, który daje iskrę do silnika. Od

iskry zapala się całe paliwo.

Lataliśmy na benzynie, chociaż nigdy nie używaliśmy takiej nazwy. Mówiliśmy raczej: Czarci Napar, Pomarańczowa Śmierć, Woda Wiedźm, Piekielny Płyn.

– Przy pikowaniu z prędkością dwustu kilometrów na godzinę powstaje duży podmuch powietrza i wyciekające z przestrzelonych zbiorników paliwo opryskuje pilota, wsiąkając w całe ubranie. Iskrownik jest wyłączony, więc jeśli pilot ma szczęście, maszyna i on sam stają po chwili w płomieniach. Jeśli nie ma szczęścia, płomienie mogą go ominąć.

Skrzywiła się. – Nie rozumiem.

– W momencie rozpoczęcia walki maszyna leci zwykle na dużej wysokości, trzeba więc jakieś dziesięć minut, żeby postawić ją na ziemi, zwłaszcza że sama jest poważnie uszkodzona. Te dziesięć minut to dla pilota dziesięć lat. Zdarza się, że puszczają mu nerwy, wpada w obłąd i kończy w wariatkowie.

– Nie ma żadnego sposobu, żeby pomóc pilotowi?

– Owszem, jest: można założyć spadochron. Tak właśnie postępują strzelcy w balonach obserwacyjnych. Kiedy balon zaczyna płonąć, wyskakują i spadają na dół na czasach spadochronów, niby na ogromnych parasolach.

– To dlaczego nie zabieracie ze sobą spadochronów?

– Bo nie wolno. Najwyższe dowództwo uważa, że to szkodzi morale wojska.

Nalałem jeszcze brandy. Wzięła moją szklaneczkę i palcem zaczęła rozprowadzać alkohol po piersiach.

– Dzisiaj możesz spijać ze mnie.

Nachyliłem się nad brandy i nad pięknym ciałem Hildy.

– Zawsze mnie tu znajdziesz – powiedziała prosto. – Ale

musisz też wracać dla mnie samej. Nadchodzi nowe, świat wolny od praw, najwyższego dowództwa, wojen. – Poruszyła się, żeby umożliwić mi spijanie alkoholu z drugiej piersi. – Chcę cię całego, Hans. Razem z nogami, z oczami. Nie spalonego i nie w domu wariatów.

Siedziałem przy swoim starym biurku, zatopiony we wspomnieniach, bardziej dla mnie rzeczywistych niż dzień dzisiejszy. Szperając w szufladzie natknąłem się na starą baretkę; wyjąłem ją i obejrzałem ze wszystkich stron. Nagle wróciła teraźniejszość: dotarł do mnie stłumiony głos silnika (jestem trochę przygłuchy) i smród spalin. Poczulem narastającą złość. Hilda odeszła, a było mi tak dobrze w jej towarzystwie. Kto ją przepędził? Dlaczego nie dadzą mi wreszcie spokoju?

Przesadziłbym mówiąc, że rzuciłem się do drzwi – ostatnimi laty posuwam się raczej noga za nogą – w każdym razie poruszałem się tak szybko, jak tylko mogłem. Znowu ten sam! fan Soczewicowy Dech! Łypnąłem na niego wściekłym okiem, a on na to rozpromienił się cały. Witaminy zjadły mu chyba wzrok.

– Właśnie przejeżdżałem, *Herr Wolff*, a ponieważ kupiłem doskonale ziemniaki – uprawiane na nawozach naturalnych – pomyślałem sobie, że powinienem panu trochę zostawić.

– Nie ma pan żadnych przestępców do łapania? – ryknąłem. – A czy ja w ogóle lubię ziemniaki – hodowane w sposób naturalny czy jakikolwiek inny? Otóż nie, nie lubię! Przed wielu laty powziąłem do nich ogromną niechęć i do dziś dnia nie przełknąłem nawet kawałka. Po jakie лихо prześladowuje mnie pan tymi parszywymi pyrami? Hm? Czekam na odpowiedź.

Patrzył na mnie i uśmiech odpływał mu z twarzy.

– Przykro mi, że nie lubi pan ziemniaków – wydusił z pewną godnością. – Ja za nimi przepadam, zwłaszcza za tymi z naturalnych upraw. Staram się panu jedynie pomóc. Jest pan starym człowiekiem, bez rodziny, która mogła by się panem opiekować. Jaki los pana czeka? Pomyślał pan o tym? Jako człowiek lubiący niezależność nie chciałby pan z pewnością spędzić reszty swoich dni w domu starców. Próbuję być tylko pomocny.

Gniew odpłynął, jak powietrze z przebitego balonika. Tak to już ze mną jest. Zrozumiałem, że pozwoliłem sobie na niegrzeczność względem gościa.

– Przepraszam – powiedziałem oficjalnie. – Nie chciałem być nieuprzejmy. Tuż przed pana przybyciem przywoływałem właśnie wspomnienia z przeszłości i przypominałem sobie, jak to było pod koniec wojny, kiedy z ziemniaków robiło się niemal wszystko, co jedliśmy i piliśmy. Robiliśmy z nich nawet kawę.

– Ach, tak? – zainteresował się. – Mówi pan o wojnie hitlerowskiej?

– Nie – sprostowałem. – Żyję już tyle lat, że brałem udział w obu wojnach światowych. Wspominałem akurat rok 1918; gdyby nie ziemniaki, czekałaby nas wszystkich głodowa śmierć. Nie znaczy to jednak, że je polubiłem. Ale proszę wejść, zaparzę kawę.

– Nie chciałbym zajmować czasu – sumitował się, ale dał krok do środka.

Obiegł wzrokiem duży pokój, najwyraźniej zafascynowany zgromadzonymi tu przedmiotami i urządzeniami. Pod jedną ze ścian stał duży stół warsztatowy z zawieszonymi na ścianie narzędziami, a na

stole znajdowały się przeróżne maszyny i narzędzia: mała tokarka, wiertarka pionowa, strugarka i frezarka, do tego słoiki z pokostem i klejem, stop lutowniczy, drut, cienka blacha, ukształtowane klocki i drewniane listwy.

– Jest pan inżynierem?

– Inżynierem, modelarzem, artystą: czym się da.

Schylił się, żeby przyjrzeć się bliżej na wpół skończonemu modelowi, po którym można już było poznać, co sobą przedstawia. Delikatna kratownica błyszczała w promieniach światła niczym pajęczna nić o świcie. Drobniutkie kulki lutu na złączach świeciły jak krople rosy.

– Jakiś samolocik? – zainteresował się policjant.

– *Fokker VII* – wyjaśniłem – Najlepszy samolot myśliwski, jakim dysponowaliśmy w 1918 roku. Latałem na takim.

– Złożył to pan z gotowego zestawu?

– Nie, na podstawie projektu, który sam sporządziłem. Pierwszy podobny model wykonałem w wieku trzynastu lat: był to *Antoimtte*, delikatny jak motyl. Wojna była wtedy zaledwie błyskiem w oku cesarza. Moi rodzice nie żyli, a ja mieszkałem z wujem. Zainteresowałem się modelarstwem i pozostałem wierny temu zajęciu.

– Tyle tu dziwnych rzeczy... – zaciekawiał się policjant. – Co to takiego? Nie wyglądają na modele...

– W czasie obu wojen – a zdarzało się, że i w międzywojniu – byłem pilotem. Zostałem wszakże również pewnego rodzaju wynalazcą. Jestem posiadaczem patentów i byłem zawsze zafascynowany techniką.

– Ma pan patenty? – dziwił się.

– Kilka by się uzbierało – zapewniłem. – Począwszy od dzbanka do kawy po samoostrzące się nożyczki.

Wybałuszył oczy na jeden z mechanizmów na stole. –

A to do czego służy?

– Niech pan zgadnie – zachęciłem. – Jak dotąd nikomu to się nie udało.

– No cóż, ma trzy cylindry w układzie gwiazdy -zaczął całkiem do rzeczy. – Może to jakiś miniaturowy silnik lotniczy? Ale w takim razie po co ta szpula i ta jakby łopata?

– Dobrze pan powiedział. Widzi pan, w czasie wojny sprzęt jest często porzucany, bo nie można go ruszyć: psuje się, zostaje zniszczony albo grzęźnie w błocie. To ogromne marnotrawstwo. Taki czołg, na przykład, jest ogromnie kosztownym i cennym sprzętem bojowym. Gdyby po awarii udało się go ruszyć, to można by go zreperować i ponownie użyć. Ale żeby ruszyć taki czołg, potrzebna jest wyciągarka i inny ciężki sprzęt. Chyba że ma się własną, przenośną wyciągarkę i własny napęd.

Skrzywił się, patrząc na mały silniczek.

– Przecież to maleństwo nie ruszy czołgu – stwierdził zdecydowanie.

– To prawda – przyznałem. – Chociaż zrobiłem egzemplarz niewiele większy od tego, który dawał radę czołgowi. W każdym razie ten, który pan widzi, pociągnie bez trudu pański samochód.

– Jest za mały.

Wziąłem silniczek do ręki: jest bardzo lekki, bo wykonany ze stopów używanych do produkcji samolotów.

– Zaraz to panu zademonstruję.

Wyszliśmy z domu. W odległości około dwudziestu metrów od maski samochodu policjanta przystanąłem i położyłem lemiesz na ziemi. Przypomina istotnie sprzęt do kopania okopów, tyle że jest osadzony na trzonku pod kątem prostym. Przycisnąłem lemiesz jedną nogą i bez

wysiłku wbiłem go w ziemię.

– Wchodzi nawet w najtwardszy grunt – wyjaśniłem. Przeszedłem z silniczkiem i całym osprzętem do samochodu, ciągnąc za sobą przezroczystą żyłkę. – To specjalna żyłka wędkarska – kontynuowałem. – Jest używana do połowów oceanicznych, utrzyma nawet marlina.

Przez ułamek sekundy marszczył z niedowierzaniem czoło, zaraz jednak mu przeszło.

– Ale jak pan to przymocowuje do samochodu? – zapytał.

– Można go przyczepić w dowolnym miejscu – odparłem, pokazując jak to zrobić. – Teraz trzeba tylko uruchomić.

Zakręciłem cylindrami i silnik zaczął pracować z przyjemnym warkotem. Urządzenie trzymało się samochodu, jakby było przyspawane. Wirujące pośrodku cylindry zlewały się w srebrną plamę. Szpuła zaczęła się obracać, naciągnęła żyłkę do oporu i, nie zmieniając ani na moment rytmicznego stukotu, obracała się dalej. Samochód ruszył do przodu.

– Jak to się trzyma samochodu? – nie przestawał się dziwić policjant.

– Elektromagnes napędzany przez silnik.

Samochód toczył się przed siebie. Kiedy dojechał do lemiesza, przekręciłem mały, ukryty przełącznik, który przerywał dopływ zasilania do świec zapłonowych, i zdjąłem całe urządzenie. Cylindry wirowały coraz wolniej, aż się zatrzymały.

– Na koniec wystarczy zrobić to – udzieliłem ostatnich instrukcji moje mu rozmówcy. Pociągnąłem do góry trzonek lemiesza i krzywik umocowany w jego drugim końcu gładko wypchnął szerokie ostrze z ziemi, równie łatwo, jakby

chodziło o wyrwanie marchewki. – Nawet na wpół wyćwiczona ekipa może przesunąć pojazd w ciągu godziny o dwa kilometry. Nie trzeba przy tym wyłączać silniczka, bo zaprojektowałem i taki model, w którym dla zapewnienia maksymalnej prędkości przesuwu pojazdu działają dwie wyciągarki. Co wcale nie znaczy, że mój pomysł wszedł w fazę produkcji.

– Dlaczego nie?

– Niemieckie czołgi za czasów drugiej wojny miały być narzędziem ulubionej przez Hitlera wojny błyskawicznej. Tak to wyglądało. Załogi miały rozkaz posuwania się wyłącznie do przodu. Po co komu sprzęt do ratowania uszkodzonych czołgów z pola walki, skoro wojna miała być jednym wielkim natarciem?

– Rozumiem – powiedział z namysłem w głosie. – Przywódca coś mówi, a wszyscy muszą słuchać.

– Przez długi czas wielu ludzi uważało Hitlera za nieomylnego. Widzieli w nim śpiącego cesarza-bohatera, odrodzonego Fryderyka Barbarosę, który przybył dla ratowania Niemiec, zesłanego przez Boga *Führera*, wybrańca historii.

Spojrzał na mnie z uwagą.

– A jaka była rzeczywistość? Pan widział to na własne oczy, prawda?

– Na koniec Hitler sam w to wszystko uwierzył i nam też powtarzał te bajki. Co do mnie, nigdy nie wierzyłem w ani jedno słowo.

– Jest wielu fałszywych proroków – zauważył.

– Wiem jak rodził się cały ten mit. Znałem Goebbelsa. Przeżyłem ideologie cesarzy: cesarza Wilhelma, cesarza Stalina, cesarza Hitlera. Im większy cesarz, tym więcej



zabija ludzi; a w końcu okazuje się, że wszystko nie było funta kłaków warte. Więcej prawdy można znaleźć w butelce dobrego wina aniżeli w którymkolwiek z nich. To właśnie powiedziałem pańskiemu koledze, który odwiedził mnie dzisiaj.

Spostrzegłem jego zaskoczoną minę.

– Mojemu koledze? – powtórzył.

– Mówię o pana koledze z policji, który przyjechał radiowozem, żeby mnie powiadomić o śmierci Williego.

– Aha... – Popatrzył na mnie jak lis, który podejrzewa, że człowiek ma gdzieś broń ukrytą w zasięgu ręki. – Widzę, że nie działamy wcale sprawniej od innych – dodał w formie usprawiedliwienia.

– Odpowiedziałem mu, że już wiem – ciągnąłem, kiedy zawróciliśmy w kierunku domu. – W każdym razie bardzo się śpieszył, bo dostał specjalne zadanie. Pana też zagonili?

– Do czego?

– Do szukania tych terrorystów. Jak on mówił, że się nazywają... Pamiętam doskonale numer seryjny ostatniego *Fokkera*, na którym latałem, a nie mogę sobie przypomnieć wydarzeń ostatniego poranka...

– Matka Natura – podpowiedział cicho.

– O właśnie, Matka Natura. Kim są ci dziwacy?

– To ekolodzy.

– Mordują ludzi – sprzeciwiłem się. – Czyż nie nakarmili świń zwłokami przemysłowca? Niezbyt to przyjemne.

– Stanowią zbrojne ramię szerszego ruchu, który nosi nazwę Dzieci Ziemi. Słyszał pan zapewne o IRA?

– Irlandzcy terroryści.

– Sami powiedzieliby raczej „bojownicy o wolność”, ale niech będzie. Otóż IRA to zbrojne ramię Sinn Fein,

ugrupowania politycznego.

– A, rozumiem: ci od Matki Natury wykonują mokrą robotę, a Dzieci Ziemi pokazują światu przyjemne oblicze. Ale tak czy inaczej, rzucenie człowieka świniom na pożarcie to czyn sprzeczny z przyjętymi normami.

– Są całkiem przeciwnego zdania. Zna pan może brytyjską operę „Mikado” autorstwa Gilberta i Sullivana? Występuje w niej postać o imieniu Poo Bah, czyli Jego Lordowska Mość Najwyższy Kat. Ma listę osób skazanych na zabicie. Ale każdą z nich czeka szczególny rodzaj śmierci. Najwyższy Kat bowiem kieruje się przekonaniem, że kara powinna odpowiadać popełnione mu przestępstwu.

– Zamordowany przemysłowiec zapewniał ludziom pracę i jedzenie. Czy to ma być przestępstwo?

– Zdaniem zwierząt, tak – podkreślił cicho. – Mówię teraz niejako w imieniu członków grupy... Według nich producenci żywności wyzyskują zwierzę ta, bo przecież tylko ludzie są stroną zyskującą. Zatem ci, którzy prowadzą taki wyzysk, muszą za to zapłacić w sposób adekwatny do popełnionego przestępstwa.

Pokiwałem głową.

– To mnie wcale nie dziwi – powiedziałem, kiedy wchodziliśmy z powrotem do domu. – Na tym świecie są ludzie zawsze gotowi uwierzyć w największe nawet dziwactwa. Właściwie im co kto dziwaczniejszego wymyśli, tym bardziej atrakcyjne to się wszystkim wydaje. Jeżeli ludzie dają się przekonać, że Adolf Hitler to Mesjasz albo że Jezus Chrystus umarł, trzeciego dnia zmartwychwstał i że został zesłany, by odpokutować za nasze grzechy, to znaczy, że potrafią uwierzyć dosłownie we wszystko. Urwałem, próbując sobie przypomnieć, co powiedział tamten drugi

policjant. – Aha, słyszałem, że jeszcze kogoś porwali. Tym razem jakiegoś właściciela restauracji, zgadza się?

– Niejakiego Haffnera uzupełnił, potakując głową. – Prowadzi restaurację dla smakoszy. Niedawno napisał książkę o przyrządzaniu dziczyzny na różne sposoby. – Obiegł wzrokiem pokój. – Na przykład z mięsa dzika, o, takiego, jak u pana na ścianie. – Podniósł się. – No, muszę już iść, *Herr Wolff*. Obowiązki wzywają. Dziękuję, że pokazał mi pan swoje wynalazki. – Po drodze zatrzymał się przy biurku. – Mogę? spytał, wskazując medale.

– Bardzo proszę. – Wziął je do ręki.

– Tyle odznaczeń... – zamyślił się i pobiegł spojrzeniem ku ścianie. Łeb dzika zdawał się go fascynować. – Dostał je pan za zabijanie zwierząt? – spytał. Nie byłem pewny, czy sobie żartuje, czy mówi poważnie.

– Nie – odparłem krótko. – Za zabijanie ludzi.

– Ach, tak. Oczywiście. – Zobaczyłem na jego twarzy dziwny uśmiech. – To znacznie lepiej.

Odprowadziłem go do wyjścia. Zatrzymał się przy samochodzie: był to jakiś nowoczesny wytwór o dużych, guzowatych oponach, podobnych do tych, jakie miał *Führer* w swoim sześciokołowym Mercedesie.

Rozejrzał się po okolicy.

– Piękne miejsce – orzekł z aprobatą. – To wszystko należy do pana?

– To, co pan widzi: od tamtego lasu aż do parowu, i od wysokiego stoku aż po rzekę. Żyję ukryty w górskim zaciszu, gdzie nikt mnie nie ogląda. Niedługo przyjdą śniegi. Muszę obejść swoje posiadłości, dopóki jeszcze jestem w stanie się poruszać.

– Wspaniale – westchnął. – Wiedzieć, że nikt nie może

pana podejrzeć...

*Listopad 1918 roku*

Było zimno i ciemno. Pojedyncza lampa naftowa, zawieszona na ścianie baraku remontowego, paliła się z sykiem, oświetlając żałośnie krótki szereg samolotów myśliwskich. Ręce trzymałem głęboko wciśnięte w kieszenie płaszcza lotniczego, głowę wtulałem w barani kołnierz. Pod brodą poczułem elegancki, ale lodowato zimny krzyż, równie piękny co biżuteria: „Błękitny Maks”, *Ordre pour le Merite*, najwyższe odznaczenie, jakie mógł otrzymać pilot. Kosztował naprawdę niemało: żeby go zdobyć, musiałem zabić tych, którzy próbowali mnie zabić. W ubiegłym tygodniu zestrzeliłem trzydziesty siódmy samolot nieprzyjacielski – jeden z ogromnie niebezpiecznych brytyjskich *Cameli*, ktoś tam na górze, pomiędzy generałami, którzy decydują o tych sprawach, musiał to widocznie zauważyć. Krefft, szef mechaników, stał obok mnie w półmroku poprzedzającym nadchodzący świt.

– Jeśli nie dostaniemy szybko benzyny, to Anglicy mogą nas wystrzelać jak kaczkę ze zwykłego samolotu obserwacyjnego – burknąłem.

Gdzieś z daleka, z czerni nocy, dobiegł nas ledwo słyszalny warkot silnika. Między odległymi, ogołoconymi

drzewami zamigotały niewyraźne żółte światła samochodowe.

– Lepiej, żeby to było to – mruknąłem posepnie.

– To ciężarówka – orzekł Krefft, nasłuchując wyczulonym uchem. Podszedłem do swojego *Fokkera*, kłapiąc butami po zamarznętej trawie.

Boże, ale tam w górze musi być zimno! Jedyne pożytek z tego to, że zimne powietrze jest gęste, co zwiększa moc silnika, daje większy opór płatom i sterom. Puknąłem ręką w płócienny poszycie najbliższego płata: powinienem usłyszeć dźwięczną odpowiedź, jak z dobrze napiętego bębna, ale odebrałem jedynie głuche pacnięcie. Płótno wisiało między żebrami płata niczym skóra zagłodzonej krowy.

– Sam popatrz! – wybuchnąłem. – Równie dobrze mógłbym próbować polecieć w górę rzeczną łajbą!

Chłodne powietrze sprzyjało również nieprzyjacielowi, zwiększając moc jego maszyny, dając większą siłę nośną.

– Zgadza się, *Hen Hauptmann* – powiedział Krefft uspokajająco. – Nie dali nam wystarczającej ilości cellonu, a bez niego nie możemy nadać płótnu odpowiedniej sztywności.

– Wiem, wiem. Ale chciałbym, żeby do generałów też to dotarło. Chętnie zabrałbym któregoś z nich ze sobą w górę.

– Żeby mu pokazać, jak się lata przy słabo usztywnionym płótnie?

– *Nein*. Wzniósłbym się z nim wysoko i zrzucił z ośmiu tysięcy metrów, żeby lecąc w dół miał czas na myślenie.

– Tak, tak – przytaknął Krefft z ożywieniem. – O, już jest!

Ziemistobrunatna ciężarówka z dużym walcowatym zbiornikiem zatrzymała się z rżeniem silnika. Z baraku

pozostającego pod dowództwem Kreffta wysypała się momentalnie chmara mechaników. Piloci wytaczali się z namiotów, powłócząc nogami i pomrukując z niechęcią przy pierwszych uszczyptnięciach lodowatego wiatru przewiercającego się przez ubrania, szamotali się z guzikami i podnosili kołnierze. Eskadra wydawała się taka jak dawniej, ale było to złudne wrażenie; przypominała teraz pradawny gobelin z zamkowej ściany, po tylekroć łatany i naprawiany, że nie pozostała w nim ani jedna oryginalna nitka. Ponieśliśmy tak ciężkie straty, że na czele jednostki musiał stanąć najstarszy z ocalałych członków *Jasta*. Mnie przypadła ta rola. Pewnie jeszcze kilka dni i ktoś inny zajmie po mnie to miejsce.

– Nie palić! – ryknął Krefft. Mechanicy zrogowaciałymi od pracy palcami zdusili papierosy własnego wyrobu i schowali je do kieszeni, żeby zapalić ponownie, kiedy my znajdziemy się w górze. Rozległy się metaliczne brzęki i odgłos bulgotania przelewanej cieczy. Chłodne powietrze wypełnił surowy zapach płynu.

– Starczy nam alkoholu? – spytałem niecierpliwie Kreffta. Bez wódki nie da się latać.

– Starczy, panie kapitanie – uspokoił mnie.

Nie mogliśmy się obejść bez alkoholu. Potrzebowaliśmy go do obrony przed zimnem, do wykrzesania z siebie nowych sił i jako środek znieczulający, który pomagał o wszystkim zapomnieć. Byłem już zmęczony bezustannym zabijaniem.

*Fokkery* były obwieszane pękami szarych bomb, które, umocowane pod dolnymi płacami, wyglądały niczym dziwaczne owoce. A przecież jeszcze nie tak dawno stare *Taube* i *Avro* latały nad polami bitew po to, by obserwować

toczące się w dole zmagania wojenne; niebo było jedynym miejscem, gdzie ludzie nie strzelali do siebie. Teraz dążyliśmy do tego, by zamienić przeciwnika w płonącą kulę, a kiedy obniżaliśmy lot, to po to, żeby zrzucić bomby na cele na ziemi.

– Jesteś pewny, że mamy dosyć sznapsa?

– Jak najbardziej, *Herr Hauptmann* – zapewnił mnie.

Piloci jeden za drugim zapinali pasy w kabinach. Nieostrożne dotknięcie metalu oznaczało zetknięcie się z lodowatą powierzchnią. Ręce i nogi, chociaż schowane w futrzanych rękawicach i takich samych butach, były już na wpół skostniałe, a wokół okularów utworzyły się złodowaciałe pierścienie. Ciche, nieruchome powietrze przecięły ostre dźwięki wyrzucanych spalin, gdy piloci uruchomili silniki. Zadarłem głowę do góry: niebo zaczynało pokrywać się lekką, delikatną szarością, podobną do oczu Hildy. Przy baraku rozgorzały czerwonozłote cętki niczym robaczki świętojańskie: to mechanicy zaciągali się papierosami. Otworzyłem przepustnicę i *Fokker* potoczył się po mokrej trawie, z początku wolno, a później coraz szybciej, aż wreszcie, podskoczywszy po raz ostatni na ziemi, wyniósł mnie w powietrze.

Nadal było ciemno. Skupiłem uwagę na nieskomplikowanej tablicy przyrządów. Leciałem z przechylnym nosem, nabierając szybkości, a później zacząłem się wznosić przy stałej prędkości stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Pilnowałem wskazówki kompasu, kierując się na teren walk zaznaczony na mapie i zdjęciu lotniczym, które miałem przypięte do podkładki przywiązanej do lewego uda.

Wleciałem w wilgotny, ciemny obłok mgły, pchany



wiatrem. Skoncentrowałem się na prędkościomierzu i na umocowanym na wprost mnie sztucznym horyzoncie. Poczułem na lewym policzku powiew zimnego powietrza i momentalnie wcisnąłem z wyczuciem lewy orczyk, żeby wyrównać lot maszyny i uchronić ją przed wpadnięciem w śmiertelną spiralę, która pochłoneła życie tak wielu pilotów wciągniętych w pułapkę chmur. Kiedy wreszcie wydostałem się z mgły, zobaczyłem, że szare niebo nade mną zaczyna się ożywiać delikatnym złotym odcieniem, przywodzącym na myśl kolor włosów dziewczyny. Wykręciłem się w kabynie i mimo słabej widoczności dostrzegłem, że reszta podąża za mną. Przebiegłem wzrokiem niebo nad sobą, po czym, przechylając *Fokkera* raz w jedną, raz w drugą stronę, sprawdziłem przestrzeń pode mną, by przekonać się, czy nie podkradają się ku nam nieprzyjacielskie samoloty. Anglicy startowali o tej samej porze, co my.

Ostatnio poruszanie się po trasie stało się łatwiejsze. Oczywiście, pomocne były mapy i nasze oczy penetrujące z kabiny teren w dole. Ale wojna zmienia krajobraz, i właśnie to do niedawna najbardziej utrudniało lokalizację: coś, co mapa z czasów pokoju przedstawiała jako wieżę, sad, las, wioskę czy miasteczko, mogło tymczasem po prostu zniknąć z powierzchni ziemi. Pilot mógł lecieć we właściwym kierunku, ale w dole widział jedynie zryte lejami po pociskach błoto, które zamazywało cały krajobraz, pokrywało go sadzawkami cuchnącej wody i nieokreślonego szlamu, opakowywało go niczym czarci prezent pod choinkę, strojny we wstążki z zardzewiałego drutu kolczastego i zdobiony gnijącymi trupami ludzi. Ale teraz, kiedy słońce wspięło się wyżej i oświetliło ścielącą się

w dole ziemię, dostrześliśmy długie cienie drzew, przesuwające się na tle łąki. Podchodząc niżej, dostrześliśmy umykające w panice krowy. Widać było jasny rysunek dróg i błyszczące wstęgi rzek.

Od miesięcy trwał nasz odwrót w kierunku Niemiec. Promienie słońca oświetlały ciemnoczerwone proporce dowódcy *Jasta* na moim samolocie, wystające sztywno z rozporok łączących oba płaty. Droga na wprost mnie była falującą zielenią, która z lotu ptaka przypominała morze. Łąki były zastawione brązowymi namiotami, ciężarówkami, składami pocisków i czołgami.

Bum, bum, bum.

Uderzyły w nas białe obłoki, pogodne niebo zachmurzyło się. Po raz ostatni przestudiowałem mapę i zdjęcie. Kościelna wieża była na swoim miejscu, podobnie jak rzeka i most, oraz prowadząca do Niemiec droga, po której posuwali się Anglicy. Widziałem ich obóz i skład broni, a dalej działa, z których próbowali mnie zabić.

Opuściłem nos samolotu i zacząłem nurkowanie. Wiatr wył w linkach, ziemia rosła w oczach, a z nią drzewa, sylwetki biegnących ludzi, strzelające działa, szpilki ognia, wszystkie wycelowane w moim kierunku.

Bum, bum, bum.

Kątem oka dostrzegłem nagle płonącą kupę złomu spadającą z nieba.

Wybrałem kilka pojazdów – tak, to były czołgi. Wielkie szarozielone pudła najeżone lufami dział. Kopnąłem orczyk, wyrównując lot, i pociągnąłem drążek sterowy, aż siła odśrodkowa wcisnęła mnie w twarde fotel. Czołgi zniknęły pod nosem maszyny i wtedy szarpnąłem dźwignię: raz, dwa, trzy razy, czując, jak *Fokker* skacze przy każdym

zrzucie. Przemknąłem nad ich głowami, tak blisko stanowisk nieprzyjaciela, że słyszałem szcęk i jazgot karabinów maszynowych. Za moimi plecami rozległ się dudniący huk wybuchających bomb. Wykręciwszy szyję, dostrzegłem wylatujący w powietrze czołg i spadającego *Albatrosa*, który uderzył w namioty, zmieniając się w czerwoną kulę otoczoną kłębamii dymu.

Leciałem nad drogą. W dole poruszali się ludzie, pojazdy i konne zaprzęgi. Zszedłem niżej, klucząc i strzelając seriami z obu karabinów maszynowych; samolot trząsł się i podskakiwał w podmuchach wiatru. Ludzie padali jak zabawki, którymi bawiłem się dzieciństwie. Nagle usłyszałem trzask rozrywanego materiału i zobaczyłem powiewający strzęp tkaniny z płata. Ściągnąłem na siebie drążek, wcisnąłem gaz do dechy i wyprysnąłem w górę. *Came!*

Małe, krótkie czorty o barwie czekolady! Miały nade mną przewagę wysokości. Obróciłem się w fotelu, szukając pomocy, ale za plecami ujrzałem jedynie łuny pożarów. Dym niesiony listopadowym wiatrem odcinał się wyraźną czarnoszarą smugą.

Pięłem się uparcie coraz wyżej i wyżej, podczas gdy *Camele* krążyły w górze przede mną jak mordercze, wypatrujące czujnie myszołowy, czarne na tle słońca. Musiałem wznieść się możliwie jak najwyżej, żeby runąć lotem nurkowym w dół i spróbować wymknąć się osaczającym mnie napastnikom. W miejscach, gdzie kule z karabinów maszynowych dosięgły płatów, płótno darło się w strzępy. Materiał był naprawdę marnej jakości; normalny człowiek nie użyłby go do pakowania ziarna dla drobiu, a co dopiero mówić o kryciu nim samolotu. Rzecz w tym, że

niczego innego nie mieliśmy.

Rzeka pode mną błyszczała jak wypolerowane srebro. Dałbym wiele, żeby móc siedzieć teraz nad jej brzegiem z wędką w ręku. Odpędziłem rozpraszające mnie myśli, osiągnąłem bowiem tymczasem wystarczającą wysokość, by przyczajone *Camele* spróbowwały mnie unicestwić. Pocięte płótno targał wiatr, który wydymał poszycie płatów niczym balony. Pod naporem wiatru materiał darł się w strzępy, łopoczące bezużytecznie na krawędzi spływu.

Dwa tysiące metrów. Nadlatują.

Spadający niby kula demon. Skurwiel, niech go piekło pochłonie! Gwałtowny pionowy zwrot, płaty maszyny drgają jak szalone – i przemknął obok. Próbowałem wziąć go na cel, ale skręcił raptownie, jak to tylko *Camele* potrafią. Terkot karabinu.

Kolejny *Camel* leciał na mnie jak jastrząb. Kopnąłem energicznie orczyk, żeby uciec przed atakiem.

Terkot karabinu.

Płaty przeszył grad pocisków, poczułem potwornie piekący ból w nodze. Wtem w kabinie rozległ się przeraźliwy pisk trafionego ptaka: nieszczęsne stworzenie miało się szaleńczo, demolując tablicę przyrządów. W nozdrza wbiły mi się kawałki szkła i skóry.

*Camel*. Dokładnie na wprost mnie. Pociągnąłem wściekle za spusty karabinów i z angielskiego myśliwca wytrysnęła struga oleju.

Odciągnąłem drążek do końca, aż poczułem go na brzuchu i wcisnąłem do oporu lewy pedał orczyka. *Fokker* stanął dęba jak koń, przechylając się na lewo i, posłuszny ruchom drążka sterowego, poderwał się do góry. *Camel* przemknął pode mną i zobaczyłem utkwiony we mnie

wzrok pilota. Przechylił maszynę i położył ją w ostrym skręcie. Rzuciłem się w dół, przechodząc w korkociąg; świat wirował wokół mnie w zawrotnym tempie, a *Camel* pikował za mną, zataczając spirale i ostrzeliwując *Fokkera*. Śmierć zbliżała się wielkimi krokami.

Był tuż-tuż. Wcisnąłem prawy pedał orczyka do oporu, przyciągnąłem drążek sterowy i, trzymając się lewą ręką tablicy przyrządów, wyprowadziłem samolot z korkociągu. Siła odśrodkowa wcisnęła mnie w krawędź kabiny. Poczułem krew w nosie i pociemniało mi w oczach. Dobiegł mnie odgłos strzałów i zapach prochu.

Byłem na wysokości ośmiuset metrów, nie mając pojęcia, gdzie ciągną się linie okopów. Skręt w lewo, w prawo, potem półpętla. *Fokker* dygotał niemiło siemię, gubiąc różne części. Z każdej strony otaczały mnie *Camele*. Kolejna seria, poczułem, jak buty ślizgają się po pedałach orczyka i zobaczyłem krew.

Coś uderzyło w samolot z taką siłą, że drążek trzasnął mnie w dłoń jak batem. Z silnika dochodził zgrzyt rozerwanej stali, wycie wyrwanych tłoków, niesamowite huki i trzaski towarzyszące pękaniu poszczególnych części. Poczułem, jak w twarz wżera mi się wrzący olej.

W zaległej nagle ciszy słyszałem tylko wycie wiatru w dźwigarach, pojękiwanie oprzyrządowania, chrapliwy ryk silników krążących gdzieś koło mnie *Cameli*.

Benzyna! Woda Wiedźm, Czarczi Napar, Piekielny Płyn.

Czułem w nozdrzach jej ostry, gryzący zapach. Wylewała się spod osłony silnika, tuż za klekoczącym, wirującym bezużytecznie śmigłem.

Ziemia... Gdzie jest ziemia?

W dole błysnęła zieleń. *Camele* zbiły się wokół mnie.

Skądś wydobywał się dym i uchodził kabiną. Odzianymi w rękawice, niezgrabnymi dłońmi szarpałem zaciekle za szeroki pas.

Uwolniwszy się od niego, poderwałem się, by odsunąć się jak najdalej od wrzącego oleju.

Huk detonacji.

Wybuchł zbiornik z benzyną i otoczyła mnie kula ognia. Stałem patrząc na przemykający pode mną świat. Skoczyłem. Uderzył mnie podmuch wiatru, okręcając mną jak kukłą.

Cały świat zawirował. Zimny pęd powietrza wdarł mi się do ust i wypadł nosem, zerwał mi okulary i hełm z głowy.

Kręciłem się nieporadnie, próbując złapać trzepoczącymi rękoma linkę, która chłostała mnie boleśnie w szyję.

Nareszcie! Szarpnąłem z całej siły i wyciągnąłem ją. Przez chwilę długą jak wieczność spadałem prosto w wyciągnięte ramiona zielonego świata. Raptem coś walnęło mnie w brzuch, trzepnęło w barki i rzuciło po niebie niczym lotkę.

Oddychałem chrapliwie, wisząc na jedwabnych linkach spadochronu. Jego biała, krągła, piękna czasza falowała nade mną, i płynąłem po niebie na podobieństwo olbrzymiego mlecza.

*Camele*, jeden po drugim, zataczały wokół mnie koła. Ich piloci pomachali do mnie, odpowiedziałem więc tym samym i *Camele* odleciały, zostawiając po sobie tylko utrzymujący się w powietrzu zapach oleju rycynowego.

Zgubiłem jeden but i teraz czułem w nodze przenikliwy chłód. Spojrzawszy na stopę zauważyłem, że pokrywa ją gęsta krzepnąca krew.

Ziemia rosła w oczach: pole, kilka drzew, rzeka,

żołnierze patrzący na mnie z zadartymi głowami. Wiatr znosił mnie w bok: widziałem, jak przeczesuje połyskliwą trawę i pochyla drzewa.

Wisiałem na pasach przymocowanych do jedwabnych linek i spadałem z ogromną prędkością. Trochę jak wtedy, gdy będąc chłopcem skakałem ze stogu siana, ale nie było nic miękkiego, żeby...

Łup!

W nosie poczułem trawę i ziemię. Byłem na czworakach, a gdzieś niedaleko rozlegały się podniesione głosy. Wstałem, lecz nagle coś zważyło mnie z nóg i pociągnęło przez łąkę; wrażenie jakby koń poniósł i włókł mnie za sobą. Kiedy zwolnił na chwilę bieg, spostrzegłem, że to wiatr pochwycił czaszę spadochronu, bawiąc się nim jak kotek myszą. Wypełnił czaszę potężnym podmuchem, nadymając jedwabniczym balon, i znowu rzucił mnie na ziemię. Walczyłem desperacko z zapięciami, wleczony po wzgórzu, aż wtem poczułem pod sobą coś mokrego, trzciny uderzały mnie w twarz, i nieoczekiwanie coś zaczęło mnie wciągać pod wodę.

Wynurzyłem się na moment. Napęczniony wodą but ciążył niby ołów. Czując uderzenie krwi do głowy, a na piersiach ściskające stalowe obręcze, zacząłem ściągać go z desperacją, mocując się z nim w gliniastej mazi. Wyzwolilem się wreszcie i mogłem znowu zaczerpnąć powietrza.

Usłyszałem głosy. Czyjeś ręce chwyciły mnie za barki i pociągnęły na brzeg, rzucając mnie jakbym był flądram. Zgięty w pół, wypluwałem rzeczną wodę, krztusząc się i chrypiąc.

Głosy – skrzekliwe, obrzydliwe, cudowne.

– No, co tam masz, Dusty?

– Chyba jakiegoś pieprzonego szkopa.

– To wrzuc go z powrotem.

– Nie bądź taki... Wezmę sobie jego spadochron. Ładny kawałek jedwabiu – moja pani może z tego zrobić śliczne majteczki.

Wprawne, zgrubiałe dłonie wyzwoliły mnie z pasów uprząży. Zobaczyłem słońce.

Potem ściemniło się. Trzęsło nami po nierównym trakcie: leżałem na podłodze karetki. Z boku siedział Anglik z ręką na temblaku i palił papierosa. Zauważył, że patrzę na niego.

– Cześć, szkopie – odezwał się.

– Cześć.

– No to po wojnie – dodał pogodnie.

– Chyba tak. Trafiłem do niewoli...

– Nie o to chodzi, stary. Wojna się skończyła – wygraliśmy. Zdębiałem.

– Jak to: wygraliście?

– Jesteśmy pierwsi, wy zajęliście drugie miejsce – wyjaśnił radośnie i dorzucił: – I mogę wracać do Blighty. Słowo, zawieszenie broni.

– Zawieszenie broni...

Anglik wyjął małe organki i zaczął wygrywać melodię, wyśpiewując w przerwach słowa piosenki:

Po kiego licha bogacz, jak on Bierze się za tak bidną pannicę? Oj, ściągnie ci on na nią wstyd, Zrobi z niej ulicznicę.

Część jego towarzyszy w podskakującym samochodzie podjęła nutę. Zawieszenie broni... Słowa te brzmiały mi w uszach, jakbym był pijany.

*Trafiła bidna do rynsztoka*



*I sprzedaje zapalki  
A panicz jedzie powozem  
Z tryprem od bidnej kochanki.*

Zawieszenie broni... Pomacałem ręką pod szyją i poczułem ostre, zimne krawędzie „Błękitnego Maksa”. Co teraz ze sobą pocznę? Nauczono mnie tylko jednego: zabijania. Kierowała mną dotąd jedna myśl: dożyć następnego dnia. Mój dotychczasowy horyzont nie sięgał dalej niż do lotu patrolowego kolejnego dnia. Zawieszenie broni... Miałem dwadzieścia dwa lata. I oto nagle mój życiowy horyzont został poszerzony i przede mną otworzyła się zupełna niewiadoma. Zawieszenie broni.

Głosy Anglików zlały się w jeden chór:

*Zasiadło panisko w teatrze  
I jabłka sobie podjada  
A dziewczyna, której życie zniszczył,  
Po błocie się błąka i biada.*

Patrzyłem w biały, falujący dach karetki. Zawieszenie broni...

*Berlin, grudzień 1918 roku*

Wysiadłem z metra na Alexanderplatz i wyszedłem na Unter den Linden. Za plecami słyszałem stukot oddalającego się pociągu. Nadal kursował – przynajmniej to było normalne. Bóg jeden wiedział, jak niewiele pozostało z normalności. Miałem na sobie swój długi lotniczy płaszcz, podbity baranim kozuchem, a na nogach buty, które dostałem od Anglików.

Hildy nie było. Jej mały pokój był pusty i hulał w nim wiatr, wpadający przez świetlik w suficie. Od czerwca nie otrzymałem żadnego listu. Na ścianie, namalowane w nowym stylu Hildy, widniały czerwone pięści dzierzące w mocnym uścisku sierp i młot.

Otwarto sklepy, taksówki prychały silnikami napędzanymi węglem drzewnym, dzwoniły tramwaje, a chude, wygłodzone chabety ciągnęły stare dorożki po brudnym, ubitym śniegu. Gdzieś w mieście słychać było strzały, gdzieś rozlegał się wybuch granatu. Jednak wokół poruszali się ludzie. Właściciele sklepików i uliczni handlarze sprzedawali proste ozdoby choinkowe i pieczone kasztany.

Byłem głodny, ale wiedziałem, że tę odrobinę pieniędzy,

jaką mam, muszę zachować na później. Anglicy, w przypływie hojności właściwej zwycięzcom, obdarowali mnie okrągłą pozłacaną papierośnicą, postanowiłem więc, że spróbuję oszukać głód papierosem.

Doszedłszy do pałacu cesarskiego, zobaczyłem pochód maszerujących robotników, wśród nich także kobiety. Nieśli czerwone sztandary i skandowali hasła, których dobrze nie słyszałem. Była zima, a dozorczy nie posprząтали ulic: potknąłem się o zaspę i moja chora noga gwałtownie zaprotestowała.

Pałac spowijały ciemności, a na maszcie flagowym powiewało coś, co przypominało czerwony koc. Na zewnątrz stali jacyś ludzie o niechlujnym wyglądzie, w zapuszczonych mundurach marynarzy, trzymając na ramionach karabiny skierowane lufami w dół. *Kaiser* nie byłby tym wszystkim zachwycony, ale cesarza tu nie było. Przebywał na wygnaniu w Holandii i nie miał już nigdy ujrzeć pałacu, choćby nawet marynarze znikli sprzed bram. Niezdarnie namalowany napis nad grecką świątynią przerobioną na wartownię głosił, że mieści się tu siedziba Ludowej Dywizji Morskiej – cokolwiek kryło się pod tą nazwą.

Byłem kompletnie oszołomiony. Miałem wrażenie, jakbym krocząc w ciemności po schodach nagle odkrył, że nie ma kolejnego stopnia. O co w tym wszystkim chodzi?

„Idzie nowy świat, Hans” – słyszałem podekscytowany głos Hildy. Co więcej, czułem jej ciepłe, gładkie ciało pod kołdrą. Wrażenie było tak silne, że przeszły mnie ciarki. Ale gdzie była teraz Hilda? I czy to właśnie miało być owo „nowe”? Ten cały rozgardiasz, brud, głód i wykrzykujące hasła pospólstwo? Żadnego porządku, absolutnie nic? Jeżeli

tak miał wyglądać nowy świat, to ja nie chciałem mieć w nim najmniejszego udziału.

Jakiś mężczyzna gapił się na pałac i stojących tam marynarzy. Dostrzegł mnie niemal w tym samym czasie, co ja jego. Ubrany był w szary płaszcz polowy i stalowy hełm, który Anglicy nazywali szyderczo „nocnikiem”. Z przewieszonym przez ramię pistoletem maszynowym *MP-18* stał i wpatrywał się bacznie w pałac. Zerknął na mnie i miał już właśnie odwrócić wzrok, lecz przyjrzał mi się uważniej. Na jego twarzy pojawił się niepewny uśmiech.

– *Herr Flieger?* – spytał z wahaniem.

– *Hauptmann Wolff* – odparłem, podkreślając z zadowoleniem właściwy tytuł.

– *Ja, ja* – rozpromienił się. – Pamięta mnie pan? Jestem Huber, Rudolf Huber. Rozbił się pan w pobliżu naszych okopów i przyprowadził pana Adolf, nasz łącznik. Kiedy zaatakowali Anglicy, walczył pan razem z nami.

Pojaśniałem na twarzy. – Zgadza się, to ja. Boże! Cóż to za wspaniałe uczucie spotkać kogoś znajomego w tym domu wariatów!

– Co pan tu porabia, kapitanie?

– Żebym to ja wiedział! Zostałem zestrzelony tuż przed ogłoszeniem zawieszenia broni. Byłem ranny w udo i Anglicy zawieźli mnie do szpitala, a kiedy się wykurowałem, wypuścili mnie. Przyjechałem do Berlina, ale tu ani śladu po dawnych znajomych. Oddział, w którym służyłem, został rozwiązany. Sam nie wiem, co mam teraz robić, a wszędzie jeden cholerny bajzel!

Pokiwał głową z ożywieniem.

– To prawda, *Hen Hauptmann*. Ale czego się spodziewać, skoro banda Żydów, bolszewików i tych ze Związku

Spartakusa zadała cios w plecy po rządnych żołnierzom?

– Związek Spartakusa?

– Żydowska tłuszcza – wyjaśnił. – Tacy jak ta dziwka Róża Luksemburg i Liebknecht, agent Lenina. Agitatorzy. Tu, na tyłach, nikt nie potrafi im się przeciwstawić, więc planują rewolucję. Niech pan spojrzy na dawną ambasadę Cesarstwa Rosji. I co? Teraz jest obwieszona czerwonymi flagami i ma się nazywać „ambasadą sowiecką”. Ale mogę panu obiecać, że nie będzie tu żadnych Sowietów. My, starzy żołnierze frontowi, położymy temu kres.

Wiedziałem, co ma na myśli. Sam byłem jednym z *Fwntkämpfers*. Dla nas, żołnierzy frontowych, świat dzielił się na front i tyły. Walczący na froncie oddawali życie, cierpieli w płomieniach, zostawali kalekami lub tracili zmysły. Ludzie na tyłach byli cywilami, którzy zbijali fortuny na przemyśle zbrojeniowym i nigdy nawet nie poczuli zapachu prochu. Tłuszciochy rozparte w Mercedesach, kobiety o miękkich, pachnących ciałach, bankierzy i finansisci, pacyfiści, którzy nie chcieli, żebyśmy tę wojnę wygrali, „listopadowi kryminaliści”, którzy podpisali rozejm.

Na stalowym hełmie Hubera widniał dziwny haczykowaty krzyż, nabazgrany czarną farbą.

– Co to jest? – zaciekawilem się.

– Swastyka – wyjaśnił z dumą. – Należymy do Freikorpsu, wszyscy *Fwntkämpfers*. Niektórzy z nas malują sobie swastykę, żeby się odróżnić od regularnej armii. Jesteśmy tymi, którzy zaprowadzają porządek. – Przyjrzał mi się uważnie, zastanawiając się nad czymś. – A co pan zamierza dalej zrobić?

– Nie wiem – odparłem szczerze. – Wróciłbym do

oddziału, ale mówiłem już, że został rozwiązany.

– Zatem załatwione: proszę dołączyć do nas. Widziałem pana w okopie – potrafi pan walczyć. Niech się pan zdecyduje. Jedzenie jest dobre i mieszka się w czystych barakach. Jest pan głodny? Jakże by inaczej. Postawię panu na początek piwo.

Potrzebowałem miejsca, dokąd mógłbym pójść, chciałem znaleźć się w jakimś oddziale.

– Dobrze – zgodziłem się.

Poprowadził mnie przez Leipziger Strasse. Świat dookoła przypominał istny dom pomyleńców: pijacy, żebracy i kanciarze mieszały się z prostytutkami obu płci, wśród tłumu myszkowali młodzi kieszonkowcy. Nie spuszczałem ręki z portfela. Powietrze wypełniała dziwna, choć wcale nie niemiła dla ucha, kocia muzyka.

– Co to takiego? – spytałem. Nie uszło mojej uwadze, że wszyscy cywile ustępują miejsca mojemu słusznej postury młodemu towarzyszowi w stalowym hełmie.

– *Schrage Musik* – odparł Huber z niesmakiem. Splunął na brudny śnieg. – *Amerikaner Jazz*. Listopadowi kryminaliści wbili nam nóż w plecy, a potem przyszło to, co teraz mamy: plugawa murzyńska muzyka i Żydzi. Ale niedługo poradzimy sobie z nimi, zobaczy pan.

Weszliśmy do baru. Wkrótce za sprawą Hubera stanęły przed nami dwa wysokie kufle ciemnego piwa.

– To rozumiem – powiedziałem z uznaniem. Pojawił się razowy chleb i smakowita kiełbasa, zabrałem się więc z zapalem do jedzenia. Huber przyglądał mi się z aprobatą. Spostrzegłem ze zdumieniem, że młode kobiety obecne w barze noszą nader kuse spódnice. Widać było im nawet kostki u nóg! Niektóre paradowały w cielistych

pończochach. Może jednak nowy świat miał coś ciekawego do zaoferowania.

Poczęstowałem Hubera papierosem z podarowanej przez Anglików złoconej papierośnicy. Zaciągnął się z lubością dymem. – Niezłe – cmoknął. – Naprawdę niezłe. Anglicy mają parę dobrych rzeczy. – Nachylił się i dorzucił konspiracyjnym tonem: – Tak właściwie nigdy ich nie nienawidziłem. W końcu są takimi samymi żołnierzami jak my. To, co rzeczywiście powinniśmy byli zrobić, to zebrać się razem i wytłuc te wszystkie kanale kryjące się na tyłach. Powiem panu coś: w naszym kasynie można dostać takie piwo jak to, oprócz tego jedzenie, i to za darmo. Dwieście gramów mięsa, siedemdziesiąt pięć gramów masła, ćwierć litra wina, wszystko gratis – do tego papierosy niemal za bezcen. To w sam raz miejsce, żeby przycupnąć i wziąć się do zaprowadzania porządku. No i żołądek: czterdzieści marek dziennie. A co najważniejsze, tu znajdzie pan wiernych towarzyszy, ludzi, którym można zaufać, żołnierzy jak pan i ja.

Koło nas przeszła śliczna dziewczyna z odsłoniętymi łydkami. Huber z nagle chmurną miną obrzucił spojrzeniem jej nogi.

– Dziwka – mruknął. – Chciałby pan, żeby pana siostra albo matka tak paradowała? – Zaraz jednak rozchmurzył się. – Ci ze Związku Spartakusa mają w swoich szeregach czerwone towarzyszki. To czerwone dziwki – wyjął. – Dołączył pan do nas w samą porę. W przyszłym tygodniu ruszamy.

Popatrzył na nogi młodej kobiety i uśmiechnął się zwierzęco.

– Pokażemy im – zapewnił. – Damy im nauczkę za

wbijanie nam noża w plecy.

W sali balowej cesarskiego pałacu unosił się smród kordytu. Przez duże okna z wybitymi szybami wpadał czarny pył niesiony lodowatym wiatrem. Wyteżyłem węch. Przez chwilę znów byłem w przestworzach, wypatrując Anglików w *SŁ.5a* i *Camelach*. Czułem zapach naszych pocisków przeciwlotniczych. Żołnierze z Freikorpsu wiedzieli, że aby zniszczyć w drobny mak pozycję nieprzyjacielską, należało najpierw przeprowadzić przygotowanie artyleryjskie.

A oto sala, w której cesarz przyjmował ambasadorów, gdzie siadywał przy biurku na wojskowym siodle w pełnym rynsztunku kawaleryjskim, nawet wtedy, gdy podpisywał swoją korespondencję – teraz zupełnie zniszczona jednym jedynym pociskiem. Jedno „bum” i po wszystkim.

Przystanąłem, ściskając w dłoni karabin, próbując zorientować się w swoim położeniu. Nie byłem jakimś cholernym piechurem, choćby tak się wydawało Huberowi. W powietrzu pełnym smrodliwego pyłu z trudem dawało się oddychać. Ileż bym dał, żeby znaleźć się teraz w *Fokkerzd* Gdzieś w górze rozbrzmiał krótki, ostry odgłos detonacji i na głowę spadła mi spora część sufitu, obsypując mnie pozłacanym tynkiem. Żyrandol zakołysał się niebezpiecznie. Rzuciłem się do wysokich drzwi, wiszących krzywo na zawiasach. Żołnierze z Freikorpsu najwyraźniej posuwali się przede mną. Dobrze wiedzieli, jak wytłuc wroga kryjącego się w norze: oszałamiało się go hukiem pocisku, a potem wykurzało pięknie z kryjówki paroma granacikami.

Usłyszałem narastający w uszach krzyk przerażenia i uskoczyłem instynktownie do paradnego westybulu,



z którego prowadziła kondygnacja dużych, zakręcających schodów. Na miejsce, gdzie przed chwilą stałem, runął młody mężczyzna w mundurze Cesarskiej Niemieckiej Marynarki Wojennej, waląc się na posadzkę z głuchym plaśnięciem, jakby z rusztowania spadł worek mokrego piasku. Krew opryskała mi buty. Pod szyją nosił pozaregulaminową czerwoną chustkę: bolszewik, członek Związku Spartakusa.

Chłopcy z Freikorpsu wiedzieli, jak postępować z wrogiem. Nabrałem w płuca głęboki haust pylistego, smrodliwego powietrza i puściłem się biegiem po paradnych schodach, po których niegdyś kroczyli dumnie w strojnej gali hrabiowie, baronowie i księżne. Na ścianie wisiał przekrzywiony, rozplątany portret któregoś z arcyksiążąt.

Na pierwszym piętrze rozległ się terkot pistoletów maszynowych i zadudniła kolejna detonacja. Podmuch zatrzaskał wszystkie drzwi; wysoki korytarz o półokrągłym suficie wypełnił się pyłem i dymem. Ktoś zaskowyczał jak zarzynana świnia.

Z pokoju u szczytu schodów dobiegały krzyki. Wsunąłem ostrożnie głowę i zobaczyłem Hubera, który w towarzystwie jeszcze paru innych przetrząsał pośpiesznie komody i kredensy, wybierając wprawnym okiem wszystko, co miało jakąkolwiek wartość i dawało się szybko wynieść: srebra, jedwabie, koronki.

– Śmiało! – ryczał, upychając pod bluzą munduru pełną garść przezroczyстых pończoch. – Starczy dla każdego! – Otworzył z rozmachem drzwiczki kolejnego kredensu.

Piskliwy krzyk pełen nienawiści zlał się z błyskiem stali i jakaś niebieskoczerwonoczarna postać rzuciła się na

Hubera jak fretka na królika. Jednak Hubera niełatwo było zaskoczyć – nieraz już próbowano go zabić, ale zawsze bezskutecznie. Teraz też odsunął się błyskawicznie w bok przed atakiem i jego karabin zatoczył łuk, spadł z impetem na rękę trzymającą nóż, po czym wbił się kolbą w żołądek marynarza. Drobna, odziana na niebiesko postać zwała się na dywan, wstrząsana torsjami.

Marynarz miał długie czarne włosy.

Huber nachylił się z dzikim triumfem i, chwyciwszy dziewczynę za włosy, podniósł ją swoją mocarną ręką. Łabędzią szyję dziewczyny spowijała czerwona apaszka.

– No, no, no! – zaczął drwiąco. – Co my tu mamy? Bolszewicką kurwę! Spójrzcie, chłopaki: pieprzona, bolszewicka kurwa!

Dziewczyna nabrała powietrza z chrapliwym jękiem. Z ust ściekała jej krew i spływała na brodę: zamierzyła się i opluła Hubera krwią, krzycząc:

– Ty pieprzony świński bękarcie!

Koledzy Hubera, zanosząc się śmiechem, wykręcili jej ręce za plecy. Wrzasnęła z bólu.

– Masz brudną gębę – powiedział Huber poważnym tonem. – Plugawą gębę żydowskiej dziwki.

Otworzyłem usta do krzyku, ale zaraz zreflektowałem się. Znałem tę nieszczęsną dziewczynę. Jeżeli była tu Erna, to w pobliżu musiała znajdować się również i Hilda.

Dla Hubera życie było proste: świat dzielił się na tych, którzy walczyli na froncie, i tych, którzy kryli się na tyłach. Chowający się na tyłach posłali tych pierwszych na wojnę, na pewną śmierć, a potem ich zdradzili. I teraz oto weterani otrzymali przyzwolenie, a nawet rozkaz, żeby wyrównać rachunki.

W ręku Hubera pojawił się bagnet. Zamachnął się i rękojeść wylądowała na twarzy Erny: z ust chlusnęła krew. Próbowała osłonić twarz dłońmi, ale w tym momencie Huber uderzył ją ostrzem między uda. Upadła z przeraźliwym krzykiem. Niespiesznie, jeden po drugim, zaczęli dźgać ją bagnietami, aż przestała szarpać się i skomleć. Na kremowym dywanie pozostała kupka niebieskich łachów ciężkich od krwi.

Ruszyłem w górę schodów. Ciszę mąciły tu jedynie dobiegające z dołu odgłosy niszczenia i rabowania. Wiedziałem chyba, czego szukam. Pchnąłem nogą drzwi i wsunąłem do pokoju lufę *Mausera*. Huber wziąłby mnie za głupca: on oczyściłby pokój jednym rzutem granatu.

– Hilda? – zawołałem ściszym głosem. Ale pokój był pusty. Erna, przyjaciółka Hildy, drobna, płomienna anarchistka, leżała teraz martwa... – Hilda? – Zawołałem jeszcze raz, bardziej przynaglająco, bo tamci lada moment mogli tu nadejść.

Powinienem chyba szukać jej wyżej. Była przecież artystka, panią poddaszy i świetlików. Oboje byliśmy podobni ptakom w naszym umiłowaniu podniebnych przestrzeni.

Kolejny pokój, coś w rodzaju sypialni. Wszystkie rzeczy naprawdę wartościowe były na dole i na nich skupiła się teraz uwaga żołnierzy, ale z czasem i tutaj dotrą.

– Hilda! To ja, Hans!

Skrzypnęły drzwi. Zobaczyłem lufę wymierzonego we mnie pistoletu, a za nim drobną twarz ściągniętą strachem i determinacją.

– Ty? Co ty tu robisz?

– Mniejsza z tym – syknąłem. Z dołu dochodziły coraz

głośniejsze odgłosy niszczenia i pijackiej zabawy: musieli znaleźć cesarskie piwnice. Mordują wszystkich. Przed chwilą zabili Emę.

– Kiedy zaczęło się ostrzeliwanie, byliśmy rozdzielone.

Hilda miała na sobie mundur marynarski: kurtkę, spodnie, marynarski podkoszulek, do tego czerwoną apaszkę.

Wepchnąłem ją z powrotem do pokoju. W szafie znalazłem kilka prostych sukien; chwyciłem jedną i rzuciłem na łóżko.

– Przebierz się szybko! – poleciłem.

– Nie mogę...

Wściekłym ruchem ściągnąłem z niej kurtkę.

– Nie pora teraz na głędzenie o zdradzie rewolucji – warknąłem. Wyswobodziła się gorączkowo z ubrania, ukazując długie nogi, delikatne ramiona i krągłe piersi. Huber i jego kompani mieliby niezłą zabawę siekając ją na kawałki.

Naciągnąłem na nią suknię, pozapinałem perłowe guziki, a rewolucyjne ciuchy wsunąłem nogą pod łóżko. Kremowa suknia z czystego lnu sięgnęła jej aż do kostek.

Zeszliśmy po schodach. Huber stał oparty o popiersie starego cesarza. Oczy błyszcząły mu zaspokojoną żądzą, ale nie był pijany. Obok niego stał pakunek wypchany łupami.

– Te łajdaki wzięły zakładników – oznajmiłem. – Tę młodą damę związali i trzymali uwięzioną na górze.

– A to dranie... – westchnął i odsunął się, zęby przepuścić Hildę. Korytarze były zasłane trupami marynarzy i bolszewików ze Związku Spartakusa. W oczach Hildy zalśniły łzy, które potoczyły się po policzkach, kiedy wyszliśmy z budynku. Wziąłem ją na ręce i przeniosłem po

śniegu. Artylerzyści stali na Alexanderplatz obok armat polowych.

– Postaram się zdobyć ci jakieś buty – obiecałem. W mroźnym powietrzu pot i strach okrywały nas niczym ścinający się lód. – Na Boga, co ty tam robiłaś? – Zza wybitych szyb dobiegł przeraźliwy krzyk kolejnej ofiary mordowanej przez chłopców z Freikorpsu.

– Nie mogliśmy przecież stać z boku – odparła z nieoczekiwaną pasją w głosie. – Stary porządek umarł, nadchodzi nowy świat. I my go tworzymy. Sama widziałam.

– A jakże, nadszedł – westchnąłem. – Oto i on.

*Monachium, maj 1920 roku*

Znowu w okularach, tyle że tym razem bez szkieł. Patrzyłem przez stalową siatkę na przeciwnika z równym napięciem, jak przedtem na Anglików w kabinach *SŁ.5a*. Walka to walka, nawet jeśli nikt nie miał stracić życia.

Stalowe okulary, ochraniacze na piersi, długie, cienkie, ostre jak brzytwa szpady z błyszczącej stali. Sędzia, lekarz, sekundant. Nie wszystkie ciosy są dozwolone. Nie ma tu dwóch ciężkich karabinów maszynowych, nie jest to bój na śmierć i życie.

W długim korytarzu wiało chłodem. Sufit był upstrzony kępkami włosów i zaschłą krwią: zabawa toczyła się nie od dziś. Na stole na krzyżakach chirurg rozłożył butelki ze środkiem antyseptycznym, a obok nich położył igłę i nici.

*Silentium!*– krzyknął sędzia.

Stałem mocno na nogach na pokrytej trocinami podłodze.

– Zaczynać!

Rzuciliśmy się do walki: przeciwnik i ja. Wypad do przodu, cofnięcie, wolne ręce zatknięte za pasy za plecami, ostrze uderza o ostrze, gwałtowne wibracje przenikają aż do gardy, żądłąc dłonie trzymające szpady. Ostre komendy

sędziego, w starych murach sali do fechtunku słyhać ciężkie posapywanie.

– *Haiti!*

Opuściłem ostrze szpady. Lekarz podszedł i obejrzał krew dobywającą się z ran, która zaczynała zlewać się w cieką strużkę i spływała po skroni mojego przeciwnika, młodego mężczyzny o ogolonej niemal na łyso głowie, przypominającej różowe, pokryte mezkim jabłko. Reprezentował korporację Alemanów.

W porządku. Zaczynać!

Stopa do przodu, szczęk stali, cofnięcie i wypad.

Trach!

Dobrze znałem ten dźwięk: odgłos, który oznajmia, że zostałeś trafiony. Tym razem to po mojej twarzy spływała krew, jak ciepła struga deszczu, łaskocząc w policzek.

W tył i wypad, płuca walczą o powietrze, z uderzających o siebie szpad sypią się iskry, skupiony wzrok, trach! W tył i wypad...

Walka została wreszcie przerwana. Dwie rundy. Świeże trociny wysypane na stare, ciemne deski, były pokryte krwią. Mieliśmy pokrwawione ochraniacze, krew ściekała nam po policzkach i szyjach, spływając strużkami na kołnierzyki, formowała się w skrwawione stalaktyty wiszące na brodach.

Ja i Różowe Jabłko w towarzystwie swoich sekundantów ukłoniliśmy się sobie przepisowo, po czym zesliśmy z placu boju, żeby dać się pozszywać. Mój przeciwnik usiadł na drewnianym krześle, a jego sekundant – chuderławy, młody okularnik o nazwisku Himmler – pozbierał jego ekwipunek. Różowe Jabłko pochylił się nad wazą z parującą wodą, aby poddać się przemywaniu ran, i wkrótce woda przybrała

ciemnoczerwony kolor. Siedział niewzruszony niczym skała, podczas gdy lekarz zaszywał mu zadane przeze mnie rany za pomocą grubej igły, jakiej używa rymarz. Wbijał igłę, jakby przekłuwał płótno, lecz chłopak nie wydawał z siebie najmniejszego jęku.

– Cóż za opanowanie! – wykrzyknął Himmler z uznaniem.

Rzeczywiście. Tak naprawdę chodziło przecież nie tyle o wykazanie umiejętności technicznych, co o sprawdzian żelaznego panowania nad sobą. Sedno sprowadzało się do tego, by przejść tę próbę bez jednego skrzywienia się.

– Jesteśmy potomkami germańskich rycerzy – ciągnął Himmler. Po twarzy wciąż spływała mi krew i skapywała na kołnierzyk. – Czyż nie poszukujemy prawdy, podobnie jak oni? spytał, patrząc mi prosto w oczy. Rany piekły straszliwie i nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że trajkotanie tego idioty było częścią sprawdzianu wytrzymałości.

– Pewnie tak – przytaknąłem.

– Czytałeś powieść Hessego „Sidhartha”? – dopytywał, gdy tymczasem ja z kolei poddałem się operacji zaszywania ran. – Ogromnie mnie uderzyło poczucie zdecydowania i obowiązkowości u przewoźnika: nie zwracać uwagi na cierpienie i robić to, co należy.

Ja również siedziałem nieczuły niczym kamień, podczas gdy igła wbijała się w skórę; była już nieco stępiona, więc lekarz musiał za każdym razem mocno ją naciskać, zupełnie jakby przekłuwał skórę pomidora. Związał fachowo nitkę, ściągnął do krawędzi rany, aż ciało, zapominające już powoli o palącym cięciu spada, przeszył wściekły ból.

– Moim zdaniem nie jest żadną mrzonką pogląd, że jesteśmy nowym wcieleniem pradawnych rycerzy –



kontynuował Himmler. – Jesteśmy śmiertelnikami, bolesnym przykładem wszystkiego, co przemijające, ale nikt z nas tak naprawdę nie umiera; zmieniamy się tylko, odradzamy z nową twarzą, jedynie czas oddziela nasze kolejne wcielenia. Ale jesteś opanowany! – zachwycił się znowu cichym, niemal zazdrosnym tonem. Na jego twarzy nie było blizn.

Cóż, w końcu otrzymałem „Błękitnego Maksa”... Wstałem i podziękowałem uroczyście memu przeciwnikowi na co tenże odpowiedział tym samym. Dziękowaliśmy sobie za to, że za obopólnym przyzwoleniem mogliśmy się nawzajem nieco okaleczyć.

Himmler zapytał mnie, po chwili namysłu: – Przyjdiesz do gospody?

Każda z korporacji miała własną gospodę oraz wyróżniający ją dekiel – kolorowe nakrycie głowy i wstążeczki, dorównujące niemal bogactwu malowań naszych samolotów myśliwskich. Piło się tam ciemne piwo kufel za kuflem, aż dosłownie wylewało się porami ciała, a cała knajpa trzęsa się od ryczanych na całe gardło starych pieśni o rycerzach i olbrzymach, o rycerskości, winie i honorze; te słowa od wieków rozbrzmiewały na niemieckiej ziemi.

Przewijały się w nich postacie tytanów o blond włosach, wyniosłe białe zamczyska, osnute mgłami knieje, świetlista Walhalla, rycerze, kobiety o alabastrowej skórze i niebieskich lodowatych oczach...

– Jutro – odparłem. – Dzisiaj wieczorem jestem zaproszony na zjazd kolegów z wojska.

– Ach tak? – westchnął zazdrośnie. – Lotnicy.

– Nie, nie *Jasta* – odrzekłem. – Chodzi o żołnierzy z 16.

Pułku Bawarskie go. Pod koniec wojny spadłem po stronie ich okopów i dołączyłem do nich, kiedy rozgorzały walki. Zaprosili mnie teraz na swoje spotkanie.

Skłonił się z uznaniem.

– Z sali fechtunku na zjazd weteranów – to bardzo stosowne. Interesujesz się reinkarnacją? Bo ja tak. Mam w pokoju szalenie ciekawą książkę: – „Drugi wzrok”. Mógłbym ci pożyczyć. Zawiera frapujący wykaz takich zjawisk i dziedzin nauki jak astrologia, hipnoza, telepatia i spirytyzm. Myślę nawet o za wiązaniu małej grupki dyskusyjnej...

– Muszę już iść – przerwałem mu grzecznie. Rany piekły mnie wściekle.

– Na wypadek gdybyś zmienił zdanie...

– Może innym razem.

Trzeba być naprawdę opanowanym, żeby słuchać takich bredni, pomyślałem i wyszedłem, kierując kroki do *Bierstube*.

Hoepfner spostrzegł mnie i gestem zaprosił do swojego stolika. Zatrzymał kelnera i niemal w mgnieniu oka zjawił się przede mną wysoki kufel z wieczkiem, bogato zdobiony malunkami. Zatopił pełne niedowierzania spojrzenie w moje dopiero co opatrzone rany.

– Pojedykowałaś się?

Wzruszyłem ramionami. – Od czasu do czasu dobrze jest sprawdzić stan swoich nerwów. Skinął głową.

– Tak, rozumiem. U kogoś z duszą wojownika to całkiem naturalne.

Zmierzył mnie badawczym wzrokiem. Były *Leutnant*, dowódca sektora, na który spadłem pod koniec wojny, miał na sobie schludny garnitur, był starannie ogolony i dobrze

odżywiony.

– Studiuję na politechnice – sprostowałem.

– Widziałem cię w okopie – podkreślił. – Jesteś urodzonym wojownikiem. Spadłeś z nieba w sam środek bitwy i walczyłeś jak dzikie zwierzę. Walka leży w twojej naturze. Słyszałem od kogoś, że byłeś przez jakiś czas we Freikorpsie.

– Ale krótko – odparłem i upiłem spory łyk rozkosznego piwa. – Kiedy wojna dobiegła końca i mój oddział uległ rozwiązaniu, szukałem rozpaczliwie jakiegoś miejsca dla siebie. I wtedy wpadłem na Hubera – pamiętasz go chyba, był jednym z twoich żołnierzy.

– *Ja*, pamiętam Hubera. Ale mogłeś z nimi zostać – zauważył z wszystko wiedzącą miną. – Freikorps wciąż istnieje, Huber służy tam nadal.

– Cóż, ich poglądy na życie niezbyt mi odpowiadały.

– Bardzo taktownie to ująłeś – zauważył cicho i, rozejrzawszy się po sali, dorzucił: – Z żalem jednak muszę stwierdzić, że znajdują tu wielu zwolenników.

– Masz z tym coś wspólnego? – spytałem z ciekawością. – Co właściwie teraz porabiasz?

– Wszedłem do rządu krajowego – odparł. – Moja rodzina jest znana w tych stronach. Za swoje grzechy reprezentuję tutaj Republikę Weimarską.

Moja dziewczyna mieszka w Weimarze – podchwyciłem.

– Studiuje sztukę w Bauhausie [Awangardowa uczelnia artystyczna założona w Weimarze].

– W Bauhausie? – powtórzył, unosząc brwi. Roześmiał się. No, to już wiem, dlaczego nie zostałeś we Freikorpsie. Bauhaus reprezentuje wszystko, czego nienawidzą ci z Freikorpsu: nową kulturę, *die mm Sachlichkeit...* – Znowu się rozejrzał. – Nastaly złe czasy dla ludzi rozsądku, Hans.

Chyba mogę cię do nich zaliczać, prawda? Mówię do ciebie jako przedstawiciel rządu Republiki Weimarskiej, czyli demokracji. Demokracji zrodzonej z klęski wojennej i z piekła rewolucji, obciążonej zatem podwójną skazą, a mimo to stanowiącej jedyną drogę rozwoju. A przecież przez wielu tak znienawidzonej. Nienawidzi demokracji prawica: stara klasa rządząca, arystokracja, korpus oficerski armii i marynarki wojennej – sam byłeś oficerem lotnictwa, Hans! – sędziowie, wysocy urzędnicy państwowi, fabrykanci. Nienawidzi jej i lewica: przywódcy komunistyczni, radykalny lumpenproletariat, bojówki marksistowskie, stosujące przemoc w równym stopniu, co Freikorps. Jedni i drudzy gardzą nami! Prawicy marzy się przywrócenie monarchii, a lewica dąży do dyktatury proletariatu wzorowanej na modelu sowieckim. Co możemy im zaoferować, jak nie system, który im się wydaje niezdarnym kompromisem? Ale to jest demokracja!

Słuchając sączyłem wytrwale piwo z wysokiego kufła kapiącego od nadmiaru namalowanych winorośli; wyborne piwo uśmierzało pieczenie ran.

– Na razie prawica, kiedy musi, współpracuje z nami dla utrzymania porządku. Niechby się zaczęło komunistyczne powstanie, to wojsko i Freikorps skutecznie je zdławią, a obie strony jak zawsze nie będą przebierać w środkach. Wielu już przywykło do wojny na ulicach... Uwierz mi, Hans, nietrudno dzisiaj być pesymistą, nie widzieć żadnego światełka w mroku...

– Myślisz, że republika przetrwa? – zapytałem. – Ludzie zdają się tęsknić za przywódcą, kimś, kto by nas wyprowadził z tego całego bagna.

– Za bohaterem? – zakpił. – Może zbudzi się i wyłoni

spod gór w Turynii Fryderyk Barbarossa?

– A Włochy? Ten ich Mussolini wydaje się popularny, mówi się nawet, że może przejąć władzę.

– Nowy Cezar? Czy będą go otaczać, jak myśli Spengler, kohorty nieugiętych bojowników, ludzi chcących służyć, a nie szukających osobistego zysku? I czy ma teraz nastać, jak się tego wielu obawia, epoka okrutnych wojen, w których powstawać będą i upadać cywilizacje? – Potrząsnął głową. – To by oznaczało nowe średniowiecze, Hans. Ale republika musi przetrwać, i zapewniam cię, że tak się stanie. Chcesz wiedzieć, dlaczego?

– Słucham.

– Kraje demokratyczne nie prowadzą ze sobą wojen. Wojny to domena dyktatur – ludowych czy jakichkolwiek innych. – Złapał kelnera i zamówił kolejną kolejkę piwa, a następnie utkwiał we mnie baczne spojrzenie. – Nie wolno do tego dopuścić – orzekł z mocą. – Możemy wyjść z tego bagna.

Zjawilo się piwo; przepiliśmy do siebie.

– Ile ci jeszcze zostało studiów? – rzucił od niechcienia.

– Dwa lata.

– A powiedz mi, z Freikorpsu odszedłeś bez kłótni? – spytał wprost.

– Oczywiście. Nie należę do tych, którzy dezertują.

– Huber przyjdzie tu dzisiaj. Uczępił się teraz kaprala Hitlera.

– To ten wasz łącznik?

– Ten sam. Wystąpił z wojska – i wziął się za politykę! Ten mały szczur został agitatorom. – W piwiarni było gwarno, ale Hoepfner z jakiegoś powodu ściszył głos. Nachyliłem się, zęby go lepiej słyszeć.

– Stanął na czele jakiejś sfory kundli. Dobry Boże, cała Bawaria płaszczy się przed nimi! Ta mała banda przepoconych, wściekłych kundli i on... Czasem po przyjsciu do domu człowiek odczuwa potrzebę wzięcia od razu kąpieli, żeby zmyć z siebie te wszystkie brudy...

– Kim oni właściwie są? – dociekałem.

– Niemiecka Partia Robotnicza... Nie, obecnie to Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotnicza. Nazywają siebie nazistami. Ten kurduplowaty łajdak ma gadane, trzeba to przyznać – oczywiście, jeśli ktoś lubi plucie żółcią i rzucanie inwektywami. Na jego wiece przychodzi najgorszy motłoch.

– Ale czego po mnie oczekujesz? – zapytałem. Uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Po prostu miej oczy i uszy otwarte. Informuj mnie, co dzieje się wśród najbardziej radykalnych kręgów, co mówi się w środowisku studentów. Jesteś bohaterem wojennym, świecisz przykładem na sali fechtunku, byłeś w szeregach Freikorpsu. Budzisz szacunek. – Upił trochę piwa. – To dla mnie ważne – podkreślił cicho. – Muszę wiedzieć, jak się sprawy mają.

Wstałem i opróżniłem kufel.

– Wpadam tu w piątki wieczorem – zasugerowałem. – Możesz mnie tu zwykle zastać.

– Zatem do zobaczenia – uśmiechnął się przyjaźnie.

Torując sobie drogę w gęstym od dymu powietrzu, natknąłem się na Hubera. Ucieszył się na mój widok, objął mnie przyjacielsko ramieniem i zaczął mi wyrzucać, że odszedłem z Freikorpsu.

– Posiekalibyśmy jeszcze sporo tych gnid – zapewnił mnie. Obejrzał uważnie moje opatrzone rany. – No tak, ale

pan jest oficerem – stwierdził, jakby to miało wyjaśniać moje postępowanie. Na rękaw brunatnej koszuli, stanowiącej jakąś pozostałość po formacjach tropikalnych, założył czerwono-czarną opaskę.

– Widzę, że nosisz nadal *Hakenkreuz* – zauważyłem, patrząc na krzyż o załamanych ramionach.

– To swastyka – oznajmił z dumą w głosie. – Jestem teraz z Adolfem.

– Z Adolfem?

– Pamięta pan chyba Hitlera, kaprała z mojego oddziału.

– Waszego łącznika?

– Właśnie. Ale teraz nie biega z rozkazami – sam je wydaje.

– A, tak, słyszałem o tym. Zdaje się, że stoi na czele jakiejś partii?

– Nie jakiejś, ale nazistowskiej. Sprowadzamy Niemcy z powrotem na właściwą drogę. Rozwalimy tych wszystkich śmierdzieli, pozbedziemy się wrogów narodu! Pieprzonych socjalistów, bolszewików, Żydów – wszystkich, którzy sprzedali nas Francuzom. Sam pan zobaczy.

Kostki palców ściskających kufel miał popękane i posiniaczone.

– Wygląda na to, że już przystąpiłeś do dzieła – powiedziałem na poły kpiąco.

– A jakże! – krzyknął radośnie. – Należę do *Sturmabteilung*.

– Do oddziału szturmowego? – powtórzyłem.

– To właśnie my! Sami dawni żołnierze frontowi. Boże, coś wspaniałego. Powinien pan dołączyć do nas. Kiedy Adolf przemawia, jesteśmy przy nim. Gdyby pan go słyszał, jak objędzą te wszystkie śmierdzące kanalie! A jak któremuś

z nich coś się nie podoba, dajemy takiemu w zęby, że aż miło! Potem jedziemy ciężarówkami i samochodami na miasto, do siedlisk marksistów, wpadamy po schodach do piwnic, jak za dawnych, frontowych czasów, uzbrojeni w kije i pały. Wśród marksistów trafiają się też tacy sami jak my kombatanci, a wtedy zabawa jest na całego, w ruch idą pałki, potłuczone butelki i pogruchotane krzesła, nikt nikogo nie oszczędza i nikt nie prosi o litość. Coś wspaniałego! Krew, połamane kości, krzyki – kto jak kto, ale my dobrze wiemy, jak trzeba oczyścić kraj z tałatajstwa. Lenin, to pieprzone bolszewickie Żydzisko, mówi, że terror jest narzędziem rewolucji – na Boga, my dajemy im posmakować terroru!

Oddychał ciężko, jakby uczestniczył w bijatyce i nogi rwały się do boju, a oczy zapatrzyły się w przeszłość.

– Boże, jak ja lubię łoić im skórę! – szepnął. – To jak pieprzyć dziwkę, tyle że jeszcze przyjemniejsze.

Powrócił do rzeczywistości. Uśmiechnął się z dzikim, niezdrowym zadowoleniem.

– Wie pan co, *Hauptmann*? Ci z chłopaków, którzy trafili do marksistów, kiedy dostaną już zdrowego łupnia, następnego dnia jako pierwsi zasilają nasze szeregi! Dzieje się dokładnie tak, jak mówi Adolf. – Zawiesił głos, próbując objąć wszystko swoim prostym rozumem. – Adolf jest naszym nauczycielem. Jesteśmy politycznymi wojownikami, ot co. Jaka jest droga człowieka do wielkości? Przez walkę. Jeżeli człowiek osiąga jakiś cel, to tylko dzięki temu, że odróżnia się od innych i nie zna litości. – Jego pokiereszowana twarz rozpromieniła się. – Tacy właśnie jesteśmy. Kto chce żyć, musi walczyć. A jeśli ktoś unika walki w tym świecie, gdzie odwieczna walka jest prawem



życia, ten nie ma prawa istnieć. – Delektował się swoimi słowami jak najsmakowitszym kęsem. Wreszcie zatopił we mnie spojrzenie. – Pamięta pan Adolfa, prawda?

– Znałem go tylko przelotnie – odparłem suchym tonem.

– Byłem cały utyłany w błocie i niewiele z nim rozmawiałem, bo trzeba było walczyć z Anglikami.

Zarechotał.

– Tak, cóż to były za czasy! A może znajdzie pan wolną chwilę, żeby się z nim spotkać? W przyszłym miesiącu jedziemy do Austrii, będzie nas kupa ludzi.

– Dlaczego akurat do Austrii?

Pokazał zęby w uśmiechu. – Chcemy posłuchać Wagnera, tak jak bogacze.

*Zamek Werfenstein, Austria*

Na spektaklu „Zygfryda” przedstawiali sobą zaiste szczególny widok. Patrząc na ich połamane nosy, pokryte bliznami twarze, niezdarne ręce, nadające się bardziej do ściskania kija lub pałki niż do trzymania lornetki teatralnej, czy wreszcie widząc ich skrywane zmieszanie wobec tego, co się wokół nich dzieje, można było bez trudu odgadnąć, że bardziej nadają się do rozbijania ludziom łbów i napełniania sobie kałdunów piwem, niżli do raczenia się kulturą.

Mimo wszystko siedzieli cicho niczym trusie, potulni jak parafianie na niedzielnej mszy. W następnym dziesięcioleciu widywałem ich regularnie na wielkim festiwalu w Bayreuth – oczywiście tych, którzy przeżyli Noc Długich Noży. Ci, którym się to udało, zjeżdżali do Bayreuth w mundurach SS, z tych samych pobudek, dla których przyjechali w swoim czasie do Austrii, by słuchać muzyki Wagnera w całej jej przytłaczającej krasie. Krótko mówiąc, chcieli być wszędzie tam, gdzie kierował swe kroki ów mały człowieczek w czerwono-niebieskiej kraciastej koszuli i niebieskiej marynarce, która wisiała jak worek na jego kościstym ciele.

Poddając się zawodzeniu śpiewaków i potężnemu łomotowi muzyki, zastanawiałem się nad tym, co mnie w Hitlerze najbardziej frapowało: myślałem o dziwnej sile, jaką wywierał na innych ten mdły osobnik o zagłodzonym wyglądzie i wytrzeszczonych, niebieskich oczach.

Nawet jednoręki starszy sierżant, twardziel o nazwisku Amman, okazywał mu pełny szacunek. Był tam także niejaki von Liebenfels, indywiduum o szalonych oczach i nalanej szyi, która przelewała się przez kołnierzyk jak stopiona świeca, i wciąż obślizgłych wargach erotomana; bez zdziwienia przyjąłem wiadomość, że był kiedyś zakonnikiem, lecz zmuszono go do zrzucenia sutanny. Podśledzałem go, jak perorował o czystości rasowej przed Huberem, który najwyraźniej rozumiał jedno słowo na trzy. Mogłem pojąć uwielbienie dla Hitlera u ludzi pokroju Hubera czy u innych żołdaków, ale co z pozostałymi? Jak choćby ten hardy weteran o pokrytej bliznami twarzy, niski, brzuchaty miłośnik wojaczki z miną szubrawca, nazwiskiem Rohm, który nie ukrywał szacunku dla niepozornego człowieczka. Tylko Göring wydawał się być panem samego siebie, zachowując się swobodnie w sali wielkiej opery, ale w końcu Göring był bywalcem wyższych sfer. Dziwiło więc mnie tym bardziej, co robił tutaj ktoś taki jak on, mój dawny przełożony, dowódca pułku Richthofena, wśród kreatur typu Hubera i kaprała Hitlera?

Nie przestawałem zadawać sobie tego pytania. Po skończonym przedstawieniu, kiedy naziści – wówczas słowo to brzmiało jeszcze strasznie dziwacznie – wrócili w mury fantastycznego, gotyckiego zamku, w którym zatrzymali się na czas kilkudniowego pobytu w Austrii, zacząłem się domyślać prawdy.

Göring czuł się, rzecz jasna, jak ryba w wodzie wśród tych wszystkich prostaczków, a ci uwielbiali go, bo był jednym z nich, chlubną latoroślą wyrosłą z tego samego pnia. Chlubna odnoga! Mój Boże, jak daleko człowiek może się posunąć...

Przed pójściem do opery Huber przedstawił mnie Hitlerowi – należało by to raczej nazwać powtórną prezentacją, bo pierwsza miała przecież miejsce owego dnia, gdy spadłem na stanowiący linię frontu skrawek błotnistej ziemi, w której gnieździł się kapral Hitler. Huber, człowiek o poobijanych pięściach i głowie nabitej nienawiścią, czekał z należytych szacunkiem, aż Hitler będzie wolny. Podszedł do swego wodza, który stał na zewnątrz wysokich murów gotyckiego zamku, zwieńczonego niewiarygodnie smukłymi, białymi wieżami, wystrzeliwującymi prosto w rozpościerające się nad nami błękitne niebo, a w dole lodowaty Dunaj toczył swój wartki nurt.

– *Mein Führer* – odezwał się. Wtedy to pierwszy raz usłyszałem ten tytuł. – Chciałbym przedstawić dawnego towarzysza frontowego, kapitana pilota Wolffa.

Jasnoniebieskie oczy przeszły mnie na wylot. Po chwili Hitler uśmiechnął się.

– Tak... Oczywiście! Znalazłem was w błocie.

– Zgadza się. Miałem szczęście, że trafiłem na kogoś, kto zna drogę! Obejrzał uważnie moje rany po walce i na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. Była jakaś obsesyjność w wyglądzie tego niepozornego człowieka: kiedy się uśmiechał, miało się wrażenie, jakby to niedożywiony doberman szczyrzył zęby, czymś rozbawiony.

– Wciąż walczycie! – wykrzyknął. – Ja także! Walczę

o dobro mojego narodu, wszystkich porządnym Niemców, zaszczuwanych przez te bolszewickie, żydowskie i słowiańskie kanale, przez „listopadowych kryminalistów”! Wy i ja, starzy *Frontkämpfers*, potrafimy walczyć, prawda? Ach, frontowe czasy...

Niebieskie oczy zasnuła mgła wspomnień.

– Najlepsze dni naszego życia! – wrzasnął, a wszyscy stojący najbliżej podnieśli głowy, ciekawi, o czym też prawi ich wódz. – Wojna dla mężczyzny jest tym, czym rodzenie dzieci dla kobiety: porą hartowania charakteru. Ze smarkaczy przeistaczamy się w weteranów ze stali, którymi nic nie jest w stanie wstrząsnąć, nieugiętych wojowników nie znającymi litości!

Jego wzrok ponownie stwardniał.

– Wojna... – ciągnął. – Któregoś dnia zaprowadzimy wszędzie ład. – Poszedł dalej, kiwnąwszy mi krótko głową. Nie grzeszył zbyt dobrym wychowaniem.

Ale zasiał we mnie pewien niepokój. Bo jakim cudem wiedział o mojej niemożności pogodzenia się z wojną, o tym, że jej nienawidziłem, a jednocześnie kochałem ponad wszystko? Nie dowiedział się o tym od nikogo, przed nikim bowiem się nie przyznałem – nie zwierzałem się nikomu ze snów, w których znowu byłem wysoko na zimnym niebie, słyszałem zawodzenie linek, chwytalem haust powietrza, a potem spadałem: wokół mnie brunatne krzyże, zapach oleju rycynowego, trawa uginająca się pod podmuchem wiatru, terkot karabinów maszynowych.

– I co o tym myślisz? – usłyszałem z boku.

Odwróciłem się i zobaczyłem Göringa, który uśmiechał się do mnie ironicznie. Od czasu do czasu widywałem go na uniwersytecie, gdzie wpadał, żeby liznąć trochę nauki.

Miał bogatą żonę rodem ze Szwecji. Jego wspaniały Mercedes stał niedaleko, a on sam ubrany był w doskonale skrojony garnitur. Nie wyglądało jednak, żeby się w nim dobrze czuł: pamiętałem z czasów wojny, że uwielbiał stroić się w paradne mundury.

– Sam nie wiem – odparłem. – Przyjechałem posłuchać Wagnera.

– Ale kaprala też będziesz musiał posłuchać – zauważył i wyjął angielskie go Dunhilla. – Zapalisz?

– Dziękuję. A co ty tutaj robisz?

– Może ja też przyjechałem dla muzyki Wagnera... W każdym razie mądry człowiek nie zamyka przed sobą żadnych dróg. Rozumiesz, żyjemy w ciekawych czasach. Nie tak dawno jeszcze cieszyliśmy się sławą, byliśmy bogami. – Popatrzył w zamyśleniu na srebrny nurt wartkiej rzeki. – Bohaterowie wojny mają niełatwe życie, kiedy nadchodzi pokój. Każdy teraz musi wziąć swój los w swoje ręce.

Stukot butów po kamiennych schodach zapowiedział przybycie Hubera z innymi *Frontkämpfers*.

Göring uśmiechnął się z rozbawioną miną.

– Co tacy jak oni mogą zrozumieć z „Zygfryda”? spytał, unosząc brwi.

Istotnie, co? Skoro jednak Hitler uznał za stosowne obejrzenie operę, oni również przesiedzieli twardo jak mur przez cały spektakl. Nie łudzę się, że zrozumieli choć jedno słowo.

Po powrocie do zamku, kiedy słońce zaszło majestatycznie za iglicami gotyckich wież, podano jedzenie i piwo. Była to prawdziwa uczta w czasach, gdy wielu dawnych żołnierzy frontowych wystawało na rogach ulic w podartych, przepuszczających lodowaty deszcz butach

i próbowało sprzedawać zapalki, a obok nich przejeżdżali spekulanci w ciepłych, suchutkich samochodach. Wędzona wieprzowina i wołowina, świeży chleb z żółciutkim, solonym masłem, dziesięć rodzajów kielbasy, gorące pulpety, ostre i mocno przyprawione tymiankiem, parujący gulasz. Nęcił strudel jabłkowy, jaki piekły kiedyś matki, krojony w wielkie porcje z długiego półmiska, przesycony kremem o smaku cytrynowo-cynamonowym. Pojawiło się pieczone w całości prosie o złocistobrązowej skórce, wolno opiekane na rożnie. Leżało teraz dumnie na olbrzymim półmisku, kusząc biesiadników, którzy częstowali się chrupiącym, kruchutkim mięsem. Wszystko to popijane było mocnym ciemnobrązowym piwem i zielonożółtym rieslingiem. Wszyscy jedli i pili z ochotą – z wyjątkiem kaprała, który wpychał w siebie jakieś brejowate spaghetti polaną sosem warzywnym i popijał to wodą.

Kiedy piwo uderzyło im do głów, beknęli i zaczęli pochłaniać kolejne kufle. Huber i kilku jego kompanów, siedzących przy stole w wielkim holu wyłożonym kamieniem i drewnem, podjęli pieśń marszową Brygady Korpusu Ochotniczego im. Erhardta. Zajmowałem miejsce przy długim stole, przy którym Hitler wcinał swoją breję. Blisko mnie siedział jego ochroniarz Ulrich Graf, potężne młode chłopisko o byczym karku, który był z zawodu rzeźnikiem i zapaśnikiem; w życiu nie widziałem, żeby ktoś mógł tyle zjeść. Starszy sierżant Amman ucztował także niedaleko, posługując się z wprawą swoją jedną ręką. Był i Rohm, strzelający oczami za młodymi, przystojnymi mężczyznami, i Göring, który w trosce o swój elegancki garnitur wetknął za kołnierzyk serwetkę.

Zasiadał z nami również były braciszek zakonny Lanz

von Liebenfels. Kiedy wlał już w siebie wystarczająco dużo rieslinga, zaczął głądzić piskliwym głosem, robiąc częste przerwy, zęby oblizać wargi. Wleciała mi naraz w ucho jego wzmianka na temat antropologii. Mile ogłuszony wybornym jedzeniem i winem, na których nadmiar w owym czasie trudno było narzekać, ubzdurałem sobie, że temat dotyczy małąp. Nagle spostrzegłem, że w Hitlerze zaszła zmiana. Przestał napełniać sobie brzuch mazią ze stojącej przed nim miski. Odłożył widelec i cały zamienił się w słuch, a na jego bladej twarzy odmalowało się napięcie. Wyglądał jak mechaniczna lalka, która raptem ożyła po podłączeniu do źródła energii elektrycznej. Göring posłał mi spojrzenie, jakby chcąc przypomnieć, że powinienem słuchać pilnie byłego kaprała.

– Antropologia! – piszczal Liebenfels. – Co to oznacza dla was?

Jeden z siedzących w pobliżu żołnierzy, przepełniony nadmiarem trunków, pozwolił sobie na głośne beknięcie, czym wzbudził chichot innych. Ogólną wesołość ucięło jedno ponure spojrzenie Hitlera.

– Powiem wam, co antropologia oznacza dla nas wszystkich tu siedzących – podjął temat były mnich. – To zachowanie europejskiej rasy panów poprzez utrzymanie czystości rasowej! – powiedział, akcentując dobitnie każde słowo.

Siedzący naprzeciwko Hitler zakrztusił się jak świnia, która przełknęła zbyt dużą porcję pomyj, i w jednej chwili poczerwieniał na twarzy.

– Czyż rolnik pozwala, by jego wzorcowe stado krzyżowało się z gorszy mi sztukami? – ryczał Liebenfels, podnosząc nieoczekiwane głos i wybałuszając na nas



ślepia. – Nie, nie, po tysiackroć nie! Cóż więc czyni? Czyż nie bierze noża i nie obcina jąder podlejszym sztukom, które mogłyby skazić i splugawić czystość krwi w jego stadzie? A czy my mamy postępować inaczej? Wokół nas, czystych Aryjczyków, czają się w ciemnych zakamarkach tacy, którzy chcą zanieczyścić naszą czystą jak kryształ krew. – Poderwał się z krzesła i pochylił do przodu, wbijając w stół rozczapierzone palce niczym szpony. – Czyż mamy więc nie wyciąć w pień bydlęcych form ludzkości? Tak, trzeba się ich pozbyć! Musimy je wytępić i propagować wyższą formę nowego człowieka. Zaczniemy walkę o czystość rasy, nie żałując kastracyjnego noża!

Hitler zerwał się na równe nogi. Płonął cały na twarzy, oczy omal nie wyskoczyły mu z orbit. Tony biesiadnej pieśni momentalnie ucichły. Göring odłożył widelec.

– Walka jest ojcem wszystkiego! – wrzasnął Hitler. Strzępy nieokreślonych warzyw i kawałki makaronu poszybowały w powietrze i opryskały najbliższych, w tym również mnie. Oczyszcivszy usta, Hitler kontynuował: – Prawdziwa cnota to czystość krwi! Rzeczą podstawową i decydującą jest przywództwo. Będziemy walczyć! Kto uchyla się od walki w świecie, w którym odwieczna walka jest prawem życia, ten nie ma prawa istnieć. Takich będziemy niszczyć, obetniemy im jaja, wdepczemy ich w pył historii. W jakiej epoce przyszło nam żyć? Nie są to czasy Greków i Rzymian, ani średniowiecze, w którym kwitły niemieckie wartości. To wiek kapitalistycznego Zachodu, chorego i chylącego się ku upadkowi.

Potoczył wzrokiem po na wpół pijanym audytorium, które tymczasem błyskawicznie trzeźwiało. Szukał ich spojrzeń, próbując znaleźć w nich jakiś rodzaj duchowej

wspólnoty – i znajdował. Zauważyłem, że Göring obserwuje salę, jakby oceniając siłę Hitlera.

-Dlaczego wielkie cywilizacje upadają? Jak to się dzieje, że ogromne cesarstwa zamieniają się w pył? – pytał Hitler, ścisząc głos do niemal błagalnego tonu. – Dlaczego? – Wyciągnął ręce do słuchaczy.

Riebenfels zapadł z powrotem w wygodne objęcia krzesła, ale nie spuszczał oczu z mówcy, poruszając obślizgłymi ustami na znak zgody.

– Otóż upadają i giną, bo uległy skażeniu. Wszystkie dawne wielkie cywilizacje upadły, bo wymarła pierwotna rasa, która je stworzyła.

Przebiegł wzrokiem po słuchaczach, szukając poparcia, i nie zawiódł się.

– Dlaczego wymarła? Z powodu skażenia krwi! – wykrzyczał ostatnie słowa z twarzą nagle nabiegłą wściekłością. – Czystość rasy została skalana, osłabiona, zanieczyszczona. Źródłem siły narodu nie jest broń czy armia, ale wewnętrzna czystość – czystość rasy. To jej należy bronić przed zabójczą trucizną internacjonalizmu, egalitaryzmu, demokracji i pacyfizmu. Ludzie zatruci jadem tych wypaczeń natychmiast tracą swą rasową czystość.

Zawiesił głos.

– Trucizna nie płynie z powietrza. Trucizna kryje się w pojemniku, w butelce, w słoiku, trzymana pod szczelnym przykryciem do momentu, aż zostanie wylana do czystej wody. Jakaż rasa jest takim pojemnikiem, w którym skrywane są najgorsze jady?

Zrobił krótką przerwę.

– Żydzi! Pasożyty! Czyż ostatecznym celem żydowskiej walki o byt nie jest zniewolenie produktywnie czynnej

części ludzkości? Czyż nie dążą do tego, by wynarodowić, zbękarcić inne ludy, osłabić rasową czystość najbardziej rozwiniętych narodów, by następnie zmniejszyć dominację powstałej w ten sposób mieszanki rasowej poprzez wytrzebiecie rodzimej inteligencji i zastąpienie jej przedstawicielami ich własnej, zatrutej rasy? Żyd czynił to już przedtem. Jeśli zdoła teraz, z pomocą marksistowskiej ideologii, podbić narody świata, to jego korona stanie się wieńcem pogrzebowym dla ludzkości! – Młócił wściekle rękami w powietrzu. – Czy jest taka forma plugastwa, czy jest jakiegokolwiek brudne dzieło, zwłaszcza w dziedzinie kultury, w którym nie byłoby znać ręki Żyda? Wsadźcie nóż w taki ropiejący wrzód, a znajdziecie Żyda, niczym robactwo w rozpadającym się ciełe.

Liebenfels kiwał z zapalem głową, aż ślina ciekła mu z ust.

– Tylko pomyślcie! – grzmiał Hitler. – Jaki koszmar nas czeka? Krew setek tysięcy czystych niemieckich kobiet splugawiona żądzą ohydnych, krzywogich żydowskich bękartów, kryjących się po ciemnych kątach. – Oddychając ciężko, potoczył wzrokiem dookoła, jakby kogoś szukał. – Dlaczego poszliśmy dzisiaj obejrzeć „Zygryda”? Żeby odczytać przesłanie. Czyż bohater nie ukazuje nam drogi do czekających nas zadań? Co jeszcze dojrzeliśmy oprócz germańskiej epoki bohaterów? Czyż nie znajdujemy w tej operze potrzebnego nam wzorca do odrodzenia niemieckiego narodu w tym chorym czasie upadku? – Po raz kolejny ściszył głos i wszyscy nachylili się, żeby łowić jego słowa. – Nadchodzi człowiek... Ten, który stanie na czele, syn tego narodu... Będzie nosił płaszcz Zygryda i poprowadzi naród do rozprawy z wrogami!

Runął na krzesło równie gwałtownie, jak się z niego zerwał. Rozległ się ryk aplauzu, walenie pięściami o stół i walenie buciorami o podłogę. Upewniwszy się, że wódz zakończył na dobre wystąpienie, podjęli na nowo marszową pieśń.

Von Liebenfels miał tak kwaśną minę, jakby zjadł cytrynę.

– Nie do wiary, ile to niektórzy mogą się nauczyć z książek – mruknął kęśliwie. Hitler posłał mu spojrzenie zdolne uśmiercić, ale jego adresat zajęty był krojeniem chrupiącego mięsiwa. Göring nadział na widelec kęs wybornej wieprzowiny. Włożył mięso do ust i spojrzał na mnie, unosząc pytająco brwi.

Miałem niewielki samochód, Opla z brezentowym dachem, który składało się nad ciasnym tylnym siedzeniem. Wstałem o świcie i przełknąłem bułki i kawę. Zapowiadał się ładny dzień. Zwinąłem podpórki i brezentowy dach na czas podróży przez góry. Na dziedzińcu poczułem zapach oleju i spalin z Mercedesa Göringa i dobiegł mnie ledwo już słyszalny, rytmiczny głos silnika. Jako piloci przywykliśmy do wczesnego wstawania: poranne powietrze jest miękkie jak aksamit. Auto Göringa było prawdziwym cackiem. Zakładaliśmy wszyscy, że nie brakuje mu pieniędzy, podobnie jak musiała myśleć śmietanka towarzyska, przed którą lubił bryłować. Szyk i „Błękitny Maks” otwierały wszystkie drzwi. Tak naprawdę jednak żył sprzedając biżuterię żony. Przez całe życie powodowały nim skąpstwo, żądza i ambicja.

Jeszcze ktoś był już o tej porze na nogach. Mnich von Liebenfels, ubrany w białą szatę opatrzoną podwójną czerwoną swastyką, szedł kaczkowatym krokiem przez

dziedziniec, uśmiechając się do mnie umizgliwie i zacierając rękę.

– Dzień dobry, mój dobry panie, dzień dobry – powitał mnie. – Jak to dobrze, że zdążyłem pana złapać.

– W czym mogę pomóc? – spytałem. Z niechęcią postrzegalem widoczną zmianę w jego zachowaniu – od nieomal pogardy, jaką okazywał Huberowi i jego kolegom wykrzykującym marszowe pieśni, do umizgiwania się wobec mojej osoby.

– Pozwolę sobie powiedzieć, że widzę w panu stuprocentowy przykład czystej rasy. – Zapatrzył się na mnie z podziwem.

– Naprawdę?

– Ależ tak! – zapewnił mnie. – Spędziłem wiele lat nad rozwijaniem mojej teorii ras. Jestem wydawcą bardzo popularnego magazynu. – Z tymi słowami sięgnął pod fałdy białej szaty.

– Proszę, *mein Freiherr*. – Wcisnął mi w rękę czasopismo. Ekspresyjnie narysowany olbrzym stawiał nogę w kolczudze na gardle ciemnoskórej postaci o haczykowatym nosie, która bezskutecznie wyciągała w jego stronę rozczapierzone palce. – „Ostara”! – rzekł z dumą. – Pismo dla niebieskookich nadludzi o blond włosach, takich właśnie jak pan.

Wcisnąłem szmatławca do kieszeni i wziąłem się za czyszczenie przedniej szyby. Jak wszyscy piloci myśliwców, mam obsesję na punkcie całkowitej przejrzystości szyb.

Podszedł bliżej, żeby móc mi się dalej przyglądać przez małe, okrągłe okulary.

– Kiedy byłem młody, też miałem takie blond włosy jak pan – zapewnił mnie.

– To takie ważne?

– Czy ważne? – obruszył się. – Drogi panie, nie wie pan, co pan mówi. Jesteśmy wybrańcami! Ludźmi czystej rasy, samą esencją człowieczeństwa. Jak pan wie, założyłem własny zakon, którego zadaniem jest propagowanie czystej nordyckiej rasy i zmiecenie z powierzchni ziemi Murzynów, wszelakich mieszańców i Żydów. Nazywamy się zakonem Nowych Templariuszy.

Pomyślałem przez chwilę o tych wszystkich Murzynach, mieszańcach i Żydach, których z pewnością żyło na świecie wiele milionów, i zauważyłem z niejakim przekąsem:

– To będzie kosztować sporo pracy.

Pragnąłem z całego serca, żeby Huber otrząsnął się już z kaca i zwlekł się wreszcie do samochodu; miałem odwieźć go do Monachium. Zawsze starałem się unikać rozmów z ludźmi, którzy nie wydają się być przy zdrowych zmysłach, i są na przykład święcie przekonani, że światem zawładnęły małe zielone ludziki z Marsa, a esencją niemieckości jest para niebieskich oczu.

– Oczywiście – przytaknął mi jak najpoważniej. – Czyste egzemplarze muszą się rozmnażać, nieczyste należy wytępić. Jeżeli trzeba, to nie szczędząc noża do kastrowania! To wojna między światłem a mocami ciemności! W moim nowym zakonie wszyscy mężczyźni o nordyckim, aryjskim rodowodzie będą mieć obowiązek zapłodnienia jak największej liczby nordyckich kobiet. A co by pan powiedział...

– Proszę posłuchać, panie Liebenfels: lepiej pan chyba zrobi, werbując do swojego zakonu Hitlera. On sprawia wrażenie znacznie bardziej ode mnie zainteresowanego tym wszystkim.

– Jego? – Liebenfels poprawił z pogardą fałdy szaty. – Daleko mu do czystości rasowej! Przyszedł do mnie przed wielu laty, jeszcze przed wojną, brudny i w łachmanach, żeby błagać o kilka brakujących numerów mojego pisma. Dałem mu je – dostrzegłem u niego parę przydatnych cech, mam na myśli cechy właściwe sługusowi... Zaprosiłem go tutaj z tą jego bandą rzezi mieszków, bo sądziłem, że może się przydać, a on co robi? Ma czelność dawać mi wykład na temat rasy! Mnie, który jest twórcą tych teorii!

Z ulgą zauważyłem Hubera, który toczył się po schodach, pocierając rękami twarz.

– No, na mnie już pora. Dziękuję za gościnę.

– Nie przyłączy się pan do nas? – zdziwił się, nie kryjąc zawodu, jak wędkarz, któremu wymyka się wyjątkowo okazały łosoś.

– Mam ważniejsze sprawy niż zapładnianie kobiet.

– Ale jest pan chyba żonaty? – spytał z nadzieją.

– I owszem.

– To musi pan mieć wiele, wiele dzieci!

– Jedno.

– Blond włosy, niebieskie oczy, tak jak pan?

– Tak – odparłem krótko. – Czas ruszać w drogę.

– Ooo! To dopiero początek!

Huber przez prawie całą drogę powrotną do Monachium spał na tylnym siedzeniu. O ile mogłem się zorientować, ostatnia noc zeszła mu na rywalizacji z kolegami z SS o palmę pierwszeństwa w picciu piwa. Leżał na skórzanym siedzeniu w brunatnej koszuli i bryczesach, i chrapał, roztaczając odór piwska. Zbudził go chłód, gdy dotarliśmy na najwyższej położony odcinek górskiej przeprawy. Niemal w tym samym czasie zagotowała się woda w chłodnicy,

zatrzymałem więc samochód przy górskim zajeździe, gdzie mogliśmy zjeść drugie śniadanie. Göring, który wyruszył przed nami w swoim wspaniałym Mercedesie, był już pewnie w Monachium; jego potężny silnik pożerał z łatwością kilometry, krzyżując zakusy chcących go powstrzymać gór. Mały Opel nie należał do tej klasy, dlatego uznałem, że należy mu się chwila wytchnienia.

Huber obrzucił zajazd wdzięcznym spojrzeniem.

– Mam w gębie smak, jakbym żuł majtki sierżanta – pożalił się, kiedy wchodziliśmy do środka. Był w swoim mundurze i opasce z *Hakenkreuzem*co wcale nie znaczy, że zwracał tym czyjąś uwagę. W owym czasie w mundurze chodził każdy – od urzędników po pracowników poczty, widok Hubera mógł więc ludziom kojarzyć się równie dobrze z Ministerstwem Pracy. Naziści poza Bawarią byli wtedy praktycznie nikim.

Gospodarz w szerokim białym fartuchu przyniósł nam piwo i *Schinkenbrol* – wyśmienite, grubo krojone plastry szynki na pachnącym chlebie posmarowanym żółciutkim masłem. Byliśmy głodni jak wilki, zaatakowaliśmy więc z ochotą podane smakowitości. Huber miał żołądek prawdziwego żołnierza frontowego: mógł jeść i pić przy każdej okazji, z trzeźwą głową czy po pijackiej hulance.

– Cały czas chodzisz tak ubrany? – spytałem, wskazując na mundur.

– Oczywiście. *Führer* nalega, żeby wszyscy członkowie partii nosili mundur. Zdarza się, że niektórzy pracodawcy tego nie lubią – nie oznacza to bynajmniej, że wielu z nas ma jakąś stałą pracę – ale na czas służby zakładamy obowiązkowo mundur.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że do tego stopnia



nienawidzi Żydów.

– Hm? – próbował się odezwać z ustami pełnymi jedzenia. – O, tak, nienawidzi pieprzonych Żydów jak wszyscy diabli.

– A ty?

– No, jest tego tałatajstwa coraz więcej, więcej niż przed wojną, i wszędzie się panoszą. Siły zła rozlewają się na wszystkie strony, Hans. Ten Lenin też jest Żydem.

– Tak?

– Jasne. Niech no pomyślę... Issachar Zederblum, tak się naprawdę nazywa. – Pogryzł kęs chleba z szynką i przełknął. – Podoba mi się to, co mówi nasz Wódz. Wiem tylko tyle, że niedawno ponieśliśmy klęskę. My, największy naród świata, rzućni na kolana przez „listopadowych kryminalistów”, przez Żydów i bolszewików. Teraz mamy Wodza, który ukazuje nam drogę, aby naród stał się *wieder Ehrüch* – na powrót uczciwy.

Pochylił się do przodu; z jego pokancerowanej twarzy biła szczerłość. – Sam Wódz mówi, że jest tylko *der Trommler*, doboszem budującym poparcie dla mającego nadzieję wielkiego przywódcy, Zbawiciela, który wyprowadzi Niemcy z ciemności do światła. – Potrząsnął głową. – Ale ja wiem, że to *Führer* jest tym Zbawicielem – powiedział cicho, z zupełnym przekonaniem. – To nie *Trommler*, to człowiek zesłany niemieckiemu narodowi przez Opatrzność.

Zanim skończyliśmy posiłek, Opel zdążył ostygnąć. Uzupełniłem wodę w chłodnicy i byliśmy gotowi do drogi. Huber usiadł z tyłu, żeby chwycić jeszcze trochę drzemki, po czym potoczyliśmy się krętą przełęczą przez dywan kwiatów, po małych kamiennych mostkach, pod którymi

pluskały srebrne strumienie, aż teren wyrównał się i mogliśmy dodać gazu, kierując się do Monachium.

Huber obudził się i przesiadł się na przednie siedzenie. Przejeżdżaliśmy przez bogatą dzielnicę miasta, z imponującymi kamienicami i szerokimi ulicami, kiedy Huber rozejrzał się i powiedział:

– Mam tu w pobliżu znajomego, chciałbym na chwilę do niego wpaść.

Zatrzymałem się.

– Ja też rozprostuję trochę nogi. Będę tu jeszcze parę minut, jeśli zdążysz, możesz się ze mną zabrać.

– To długo nie potrwa – zapewnił. Wyciągnął z walizki marynarkę, nałożył ją na brunatną koszulę, zakrywając opaskę ze swastyką, po czym oddalił się szybkim krokiem.

Dotrzymał słowa: właśnie wsiałem do samochodu, kiedy się zjawił z powrotem. Pakując się do auta, ściągnął marynarkę i schował do kieszeni zwitek banknotów.

– Dostałeś wypłatę?

– Znajomy pożycza mi czasami pieniądze. To *Frontkämpfer*, jeden z nas. Pamięta pan Eisenmanna, celowniczego karabinu maszynowego?

– Chcesz powiedzieć, że ma pieniądze?

Czasy były naprawdę ciężkie. Miałem szczęście, bo otrzymywałem dochód z majątku zapisanego mi przez rodziców, ale dla wielu innych codziennością był brak pracy i pusty żołądek.

– Oczywiście – odpowiedział mi. – Pracuje razem ze swoim bratem w firmie ojca. To Żydzi – dodał bez zająknięcia. – A Żydzi zawsze mają pieniądze. Pomaga mi po starej przyjaźni.

– Przed pójściem zakryłeś opaskę – zauważyłem.

- No tak, po co obrażać starego towarzysza frontowego?
- Przecież to Żyd – powiedziałem jak najogólniej.
- Prawda, ale mój Żyd. Walczyliśmy ramię w ramię.

Wysadziłem go przy piwiarni. Był już wypoczęty i nie mógł się wprost doczekać wieczoru, na który Hess, organizator z ramienia Hitlera, zaplanował wypad do siedziby czerwonych i złozenie im skóry.

Kilka dni później wpadłem w *Bierstube* na Hoepfnera. Miałem już zdjęte szwy z twarzy, po których pozostały jedynie wyraźne różowe kreski. Zaszyliśmy się w cichym kącie i opowiedziałem mu o swojej wizycie w zamku.

– Kapral Hitler dostaje szału na punkcie Żydów – zauważyłem. – Nienawidzi całą masę ludzi: bolszewików, Słowian, kapitalistów, demokratów, Francuzów, Anglików – do wyboru, do koloru. On właściwie nie tyle mówi, co raczej pluje żółcią i inwektywami. Ale najbardziej ze wszystkich nienawidzi Żydów.

Hoepfner wydawał się dziwnie zadowolony z tego, co usłyszał.

– Z dużej chmury mały deszcz – skomentował. – To w Rosji miały miejsce pogromy, nie u nas. Mnóstwo ludzi wyznaje antysemityczne poglądy, ale nie do tego stopnia, by posuwać się do aktów przemocy.

– Studenci też nie lubią Żydów – dodałem. – W ubiegłym roku korporanci wykluczyli ich z zajęć fechtunku.

– Studenci to zawsze raptusy.

– Oczywiście, Hitler tylko pluje jadem i nienawiścią, ale to trafia do ludzi. Tak wielu odczuwa dzisiaj strach, nienawiść, rozpacz i stara się znaleźć winnego swego losu. On sam zresztą czuje to samo: jest przepełniony po same brzegi złością i nienawiścią. Powtarza ludziom, że mają

rację, że faktycznie istnieją niewidzialni wrogowie, którzy są odpowiedzialni za ich niedolę: kapitaliści, demokraci, socjaliści, Żydzi, finansjera, bolszewicy, i tak dalej, i tak dalej. Kiedy przemawia, wszyscy patrzą w niego jak w obrazek. Podczas rozmowy w cztery oczy nie sprawia najlepszego wrażenia, ale ma w sobie ten dar...

Przypomniałem sobie, jak w niezwykle sposób przejrzał mnie i domyślił się mojego stosunku do wojny.

– Gra na emocjach – podkreśliłem. – Nie potrafię tego lepiej wyjaśnić. Nie mówi o polityce, nie dotyka konkretnych spraw. Buduje wszystko na uczuciach: strachu, zawiści, nienawiści, pożądaniu, zemście. I jakoś mu się to udaje.

Obudziłem się w swoim fotelu. Wstał już dzień. Siedemdziesiąt kilka lat, jakie upłynęły od owego dnia, gdy smakując piwo rozmawiałem z Hoepnerem o Hitlerze, uczyniły ze mnie zeszywniałego starca. Ale stało się oto coś niesamowitego: w nozdrzach wciąż miałem zapach pieczonej wieprzowiny, jaką podano wtenczas w zamku. Nie mogłem się go pozbyć. Wciąż widziałem złocistobrązowe, chrupiące, kruchutkie mięso, Göringa, jak wyciera sobie usta chusteczką (był wszak dżentelmenem), Hubera obcierającego usta rękawem (bo ten, cokolwiek by o nim powiedzieć, z pewnością nie zaliczał się do grona dżentelmenów). Pieprzone prosię i jabłko: czułem ten zapach, zupełnie jakby czas zatrzymał się w miejscu. Göring położył sobie wtedy kawałek jabłecznika na wieprzowinie i jadł w ten sposób.

Otworzyłem okno, sądząc, że świeże powietrze przegna wspomnienia. I tak się też stało. Doleciała mnie natomiast woń popiołu – najwyraźniej ktoś rozpałił na górze ognisko,

robiąc porządki przed nadejściem zimy. Stałem i patrzyłem z wysokości mojej urwiście położonej łąki. W wiosce w dolinie migotały lampy; słońce nie dotarło tam jeszcze i mieszkańcy szykowali śniadanie w mroku ścielącym się za oknami, podczas gdy u mnie panował już blady świt. W wiosce miał swój sklep stary Fegelein – zaraz, a może teraz interes prowadzi jego syn? Postanowiłem, że poproszę policjanta Kapuściany Oddech, czy jak mu tam – o podrzucenie do sklepu mojego listu; skoro Willi nie będzie już przychodził, niech oni załatwiają mi zakupy. Raz na dwa tygodnie powinno wystarczyć. Pozwoli mi to również pozbyć się tych przeklętych wegetarian. Zaszłyłem się na stare lata w mojej górskiej pustelni właśnie dlatego, że nie chciałem oglądać ludzi. Nie miałem zatem ochoty widzieć ich gąb za każdym razem, gdy przyjdzie im ochota wpaść do mnie w drodze na jakąś buraczaną wyżerkę.

Dorzuciłem drewna do pieca i postawiłem czajnik z wodą.

Potem wybrałem popiół z kominka; kiedy wiatr wieje w dół stoku, wystawiam popielnik przed dom i wiatr rozwiewa popiół po całej łące. Rosną tam cudowne dzikie kwiaty, które tworzą wspaniałą barwny dywan.

Uporawszy się z tym, umyłem się i ubrałem. Rozległ się gwizdek czajnika. Zrobiłem sobie herbatę i zjadłem trochę ciemnego chleba z kielbasą i nieco sera. Zapach pieczonej wieprzowiny odszedł na dobre. Nie jem już teraz tyle, co kiedyś – to jedna z niedogodności starczego wieku. Chociaż nigdy nie byłbym w stanie sprostać Göringowi. Nawet zaraz po wojnie odznaczał się słuszną posturą; był szczupły, kiedy latał, ale pokój sprawił, że zaczął obrastać tłuszczem. Jednak w tym pierwszym okresie daleko mu jeszcze było do tego

Göringa, którego Himmler – sam chudzielec i kuternoga – zwykł nazywać Grubasem. Darzyli się wzajemnie nienawiścią, ale znacznie bardziej nienawidzili innych, i w każdej chwili byli gotowi połączyć swe siły, żeby wbić nóż w serce wroga.

Widziałem twarz Göringa, jak szczyrzy zęby w uśmiechu, wgrzając się w wieprzowinę, ze wzrokiem zawsze czujnym i kalkulującym, kiedy osobliwy kapral zaczynał wylewać potoki słów. Może i był nadętym bufonem, ale potrafił doskonale wyczuć, co w trawie piszczy. Bardzo wcześnie stanął przy Hitlerze. Był z nim, kiedy szli na lufy karabinów, gdy *alte Kampfers* – starzy wojacy jak Huber – sądzili, że nadszedł ich czas.

Również tam byłem, tyle że nie w ich szeregach. Wiedziałem, podobnie jak Hoepfner, że zbliża się pucz, że Hitler ma ruszyć na Monachium, żeby zająć Bawarię, tak jak Mussolini uczynił to rok wcześniej w Rzymie.

Wszystko zakończyło się żalosną klapą. Hitler okazał się niezdolny do podjęcia jakiegokolwiek decyzji. Rohm ze swoimi SA-manami dał się otoczyć przez oddziały Reichswehry – był z nim Himmler, sekundant mojego przeciwnika w pojedynku na szpady, dzierżący *Reichskriegsflagge*, sztandar stworzony przez nazistów. Hitler, Ludendorff (dawny dowódca armii) i Göring poprowadzili kolumnę złożoną ze zbieraniny i ruszyli, żeby „zająć miasto”. Przedarli się przez kordon czy dwa, grożąc, że zabiją Żydów i socjalistów wziętych w charakterze zakładników (pomysł Göringa), ale zatrzymali się na kolejnym kordonie przy Odeonplatz. Policja najzwyczajniej w świecie otworzyła do nich ogień. Göring upadł na ziemię, trzymając się za ranę w boku, z której tryskała krew;

wydawał się oburzony tym, że ktoś ważył się do niego strzelić. Richter, który szedł ramieniem z Hitlerem, padł martwy, tak jak wielu innych. Ludendorff, będąc przekonany, że nikt nie ośmieli się do niego strzelać, przeszedł przez kordon. Hitler dał nogę i marsz zakończył się całkowitym fiaskiem.

„Fiasko” – tak właśnie określili to Hoepfner. Cieszyła go klęska Hitlera, chociaż tenże dał na procesie taki popis talentów krasomówczych, że znalazł się na pierwszej stronie wszystkich gazet w Niemczech. Jego ostatnia mowa była prawdziwą manifestacją siły. Dzisiaj wiem, że powinniśmy wtedy uważniej słuchać tego, co mówił. W drodze do więzienia zakończył swój wywód takim oto stwierdzeniem: „Ten, który urodził się, by być dyktatorem, nie zostanie zniewolony, lecz to jego wola się spełni”.

Został skazany na pięć lat, ale wypuścili go jeszcze przed upływem roku. O ile mogłem się zorientować, praktycznie zniknął z pola widzenia – podobnie jak Huber, Göring i cała reszta. W 1925 roku spotkałem się z Hoepfnerem w Weimarze, ówczesnej stolicy politycznej Niemiec. Przyjechałem tam do Hildy, która pracowała w Bauhausie nad przygotowaniem scenografii do nowej sztuki Brechta. Hoepfner pofatygował się, by się ze mną zobaczyć. Był wtedy młodym, odnoszącym sukcesy politykiem, członkiem rządu krajowego. Mnie czas upływał na pracy nad wynalazkami. Miałem niewielki warsztat, a w wolnych chwilach uczyłem młodych ludzi latania na szybowcach w górach.

W wyniku niemal powszechnie znienawidzonego traktatu wersalskiego nasze siły powietrzne przestały istnieć, tak więc kandydaci na pilotów, z braku innych

możliwości, uczyli się latać na szybowcach. Za nauczycieli mieli najlepszych starych asów lotnictwa. Mówię „starych”, chociaż sam nie miałem wtedy więcej lat niż rozpoczęty niedawno dwudziesty wiek.

Zostaliśmy siłą postawieni przed faktem dokonanym. Brytyjczycy, jako że wyszli z wojny zwycięzcami, mogli latać na maszynach takich jak *Hemes Moth*, napędzanych czterocyndrowym silnikiem, których im zbywało po wojnie. My, jako przegrani, musieliśmy startować ze stoków gór w pozbawionych silników szybowcach. Jednak umiejętności, jakie musiał zdobyć pilot szybowca, chcący utrzymać maszynę na odpowiedniej wysokości, zaowocowały pojawieniem się grupy doskonałych lotników, którzy swoje talenty mogli obrócić w dzieło zniszczenia, gdy dane im będzie zasiąść za sterami maszyn konstrukcji Kurta Tanka czy Williego Messerschmitta.

Przebywając w górach, sam zająłem się projektowaniem i budową szybowców, do czego skłoniło mnie niezwykle spostrzeżenie: zauważono mianowicie, że pewne warunki pogodowo-topograficzne sprzyjają powstawaniu prądów wznoszących, które odpowiednio zaprojektowany i zbudowany bezsilnikowy statek powietrzny mógł wykorzystać nie tylko do zachowania wysokości, ale i do sterowania na niebie. W miarę nabywania lotniczokonstruktorskiego doświadczenia potrafiliśmy coraz dłużej utrzymywać się w powietrzu, a czasem nawet udawało nam się wzbijać na większą wysokość.

Tak więc spotkałem się z Hoepfnerem dopiero w 1925 roku. Siedzieliśmy na zewnątrz piwiarni i piliśmy jasne piwo. Był piękny letni dzień. Ulicą z rykiem silników przejeżdżały samochody osobowe, autobusy i ciężarówki,



ludzie pędzili obok nas w gorączkowym pośpiechu, w tłumie migwały ślicznotki w jasnych kolorowych sukienkach. Wszędzie panowało ogromne ożywienie: teatry były zapchane do ostatniego miejsca, kioski pęczniały od gazet, co krok napotykało się księgarnie, galerie sztuki czy nowo wybudowane kino. Pojawiły się kluby, w których można było zobaczyć nagie czarne tancerki, posłuchać amerykańskiego jazzu i zatańczyć fokstrota czy quickstepa. Naziści nazywali je „murzyńskimi” tańcami, co pewnie zwiększało tylko ich atrakcyjność.

Ogromne domy towarowe były pełne towarów najlepszej marki, począwszy od paryskiej mody, aż po maszyny z Chicago. Urządzano wystawy rzeźby i plakatów reprezentujących nową sztukę, wszędzie jak grzyby po deszczu wyrastały niezwykle, wspaniałe budowle z betonu, stali i szkła. Można było w nich zasiąść na krzesłach wykonanych z rurek i płótna. Dobrze wiem, bo sam takie zaprojektowałem – a za uzyskane w ten sposób pieniądze mogłem w weekendy wzbijać się w powietrze, krążąc bezszelestnie jak jastrząb, wypatrując prądów powietrznych, które wyniosłyby mnie jeszcze wyżej.

Republika Weimarska była fenomenem kulturalnym. I symbolizowała dokładnie to, czego nienawidził Huber i jemu podobni.

W 1925 roku wszystko było na jak najlepszej drodze: mocny pieniądz, ożywienie w gospodarce. Hoepfner siedział w samej koszuli i promieniał zadowoleniem, jak przystało na polityka.

– Fiasko – podkreślił, posyłając Hitlera i jego *Kampfers* na śmietnik historii.

– Faktycznie nic o nim teraz nie słyhać – przyznałem.

– Staramy się, żeby tak było – powiedział z nutą mściwej satysfakcji. – Zabroniliśmy tej świni publicznych wystąpień na terenie całej Bawarii. Zobaczymy, jak mu się to spodoba.

– Zdaje się, że napisał jakaś książkę?

– „Mein Kampf” – „Moja walka”. Boże, co za pretensjonalny dupek!

– O czym to jest?

– W życiu nie czytałem nic bardziej napuszonego, a jednocześnie tak odrażającego. Kupiłem jeden egzemplarz, żeby się zorientować w treści. Trudno tę książkę zdobyć. Mam wrażenie, że wszystkim swoim pokręconym wyznawcom kazał się w nią zaopatrzyć. O ile któryś z nich umie czytać, w co szczerze wątpię. Jest napisana takim samym językiem, jakiego używa w swoich wystąpieniach: z każdej kartki biją: furia, wulgarność, inwektywy, ohyda, megalomania i całkowite pomieszanie z poplątaniem.

Pociągnął łyk lagera i zachmurzył się, nie zwracając uwagi na radosną bieganinę wokół nas.

– Niedobrze, że powstało takie plugastwo. Hitler to parszywy, zakompleksiony łajdak. Ale są też i tacy, od których należało by więcej wymagać. Taki Schmitt na przykład, czołowy teoretyk prawa w naszym kraju, i co on robi? Zalewa nas książkami i artykułami, w których lansuje ideę mocnego państwa! A co z wolnością obywateli, którą zdaje się mieć za nic? A widziałeś książkę Van den Brucka? Ten nawołuje do całkowitego odrzucenia kapitalizmu i liberalizmu. Miałoby z tego wyłonić się nowe państwo, które będzie ucieleśniać wszystko, co w narodzie niemieckim najlepsze. Twierdzi, że państwo takie przetrwa tysiąc lat. Wiesz, jak je nazywa? Trzecią Rzeszą...

Otrząsnął się z zamyślenia, rozejrzał dookoła i uśmiechnął się do mnie.

– Cholerne durnie! „Wszystko, co w narodzie niemieckim najlepsze”? Po słuchaj mnie, Hans, przecież to dzieje się właśnie teraz na naszych oczach! Nasza architektura, muzyka, literatura, nawet sztuka drukarska, niemiecki teatr, kino – w każdej z tych dziedzin wyprzedziliśmy o jakieś trzydzieści lat wszystkie inne narody! Wiesz, co ci powiem, Hans? Przegrana wojna to najlepsze, co mogło się przytrafić naszemu krajowi. Zobacz tylko, jakiego dokonaliśmy postępu, odkąd ludzie mają swobodę myślenia, działania i tworzenia.

– Mówisz jak Hilda – podsumowałem z rozbawieniem.

– A właśnie! Co u niej?

– Przygotowuje scenografię do nowej sztuki Brechta – rzekłem dumnie.

– A jak twój synek?

– Kurt? Wspaniale. Dasz wiarę, że ma już cztery lata? Zostawiłem go teraz u ciotki, siostry Hildy. Później po niego wpadnę.

– A co ty porabiasz? Nadal projektujesz?

– Widziałeś krzesło mojego pomysłu z rurek z chromowanej stali? Opracowałem dwie wersje: ze skórzanym i z płóciennym obiciem.

– I to chciałbyś robić? – spytał. – Zamierzasz być projektantem krzeseł? Zastanawiałem się tylko przez chwilę. Właśnie o tym chciałem porozmawiać z Hoepfnerem.

– Nie, jeśli będę miał inny wybór – zacząłem cicho. – Znasz mnie przecież i wiesz, czym jest dla mnie latanie. A w lotnictwie dzieją się teraz naprawdę ciekawe rzeczy,

Klaus. Wojna przyniosła ogromny skok technologiczny. Z epoki papieru i sznurka przeszliśmy do czasów samolotów zdolnych do figur akrobatycznych i osiągających prędkości przekraczające 200 kilometrów na godzinę. Wyzwaniem na dzisiaj są jednopłatowce wykonane w całości z metalu, potrafiące pokonać długie dystanse przy wykorzystaniu radio nawigacji, wyposażone w żyroskop, odrzucane zbiorniki paliwa, śmigło o zmiennym skoku...

– Starczy, starczy... – zastopował mnie Hoepner ze śmiechem. – Wierzę ci na słowo, bo i tak rozumiem z tego piąte przez dziesiąte.

– To dziedzina, którą zajmują się dzisiaj wszyscy: Amerykanie, Anglicy, Francuzi, Włosi. Amerykanie mają pocztę lotniczą i są posiadaczami prawie wszystkich rekordów wysokości i zasięgu. Brytyjczycy budują łodzie latające dalekiego zasięgu, które mogą obsługiwać całe ich imperium. Japończycy – tak, nie przesłyszałeś się, Klaus, Japończycy! – mają okręty zdolne do przenoszenia samolotów, istne pływające lotniska – podobnie i Brytyjczycy. A pewien Hiszpan wymyślił wiropłat! Naprawdę! Skrzydła są jak łopaty śmigła, które obracają się nad głową pilota. Można nim wylądować w domowym ogródku. Z kolei Amerykanin Mitchell zatopił pancernik za pomocą bomb lotniczych. Jego rodak Doolittle zdobył w tym roku już po raz drugi puchar Schneidera. Mówię ci, co za samolot! Silnik *Curtiss* o mocy blisko sześciuset koni mechanicznych, pozwalający osiągnąć szybkość rzędu trzystu sześć dziesięciu kilometrów na godzinę! Słyszy się nawet głosy, że lada dzień ktoś odważy się przelecieć w pojedynkę Atlantyk!

Mówiłem i mówiłem bez zajknięcia. Swoją wiedzę

czerpałem z prenumerowanych przez siebie amerykańskich i angielskich czasopism na temat lotnictwa, marząc o tym, żeby móc samemu stać się częścią opisywanych tam cudów.

– A my co robimy? – spytałem retorycznie. – Nic!

– Bo nam nie wolno – odparł łagodnie Hoepfner. – Traktat wersalski zakazał Niemcom posiadania lotnictwa wojskowego pod jakąkolwiek postacią, a Konferencja Ambasadorów przed trzema laty nałożyła ostre ograniczenia na lotnictwo cywilne.

– Wiem. Ale czy mamy wiecznie stać z boku? Skoro, jak sam mówisz, przodujemy w świecie w tak wielu innych dziedzinach?

– Może i nie – odpowiedział wymijająco.

– Doszły mnie słuchy, że... że robimy coś za granicą... Spojrzał na mnie ostro.

– A ty chciałbyś brać w tym udział?

– Jestem lotnikiem – odparłem krótko. – Do tego inżynierem. Chcę wrócić do lotnictwa. To cały mój świat, tak jak sztuka i teatr są całym światem dla Hildy. Staram się, na ile to możliwe, nie wypaść z obiegu: latam na szybowcach i zajmuję się ich projektowaniem.

– Być może musiałbyś jeździć w różne dziwne miejsca. I to na całe miesiące.

– Wiem.

– Słyszałeś kiedyś o Lipiecku?

– Nie.

– To miasto w Związku Radzieckim. Uruchamiamy tam właśnie ośrodek szkoleniowy.

– Z bolszewikami?

– Mamy trochę wspólnych interesów... – powiedział niejasno. Wciąż odczuwają zagrożenie ze strony Zachodu,

który w czasie ich wojny domowej poparł Białych.

– Teraz jestem instruktorem w klubie szybowcowym.

– A byłeś asem lotnictwa w najślawniejszej jednostce myśliwskiej. – Zamyślił się.

– Czy ten pomysł doprowadzi do prac konstruktorskich?

– Oczywiście. To główny powód, dla którego musimy zakładać bazę poza terenem Niemiec. Chodzi o to, żeby Aliancka Komisja Kontroli Lotniczej nie wścibiała nosa i nie nakazała nam zamknięcia ośrodka. Z tego co wiem, w tej chwili prowadzone są bardzo ciekawe prace projektowe. Słyszałeś o Rheinholdzie Platzu?

– Naturalnie! – przytaknąłem z nostalgią. – To on zaprojektował *Fokkera*, na którym latałem.

– Jest także ktoś o nazwisku Messerschmitt.

– Bardzo bym chciał pracować przy tym projekcie, gdyby to było możliwe.

– W takim razie zobaczę, co się da zrobić – obiecał.

Wkrótce potem pożegnałem się z nim i pojechałem po synka. W drodze do domu weszliśmy do kawiarni na lody. Kurt był ślicznym chłopczykiem o blond włosach, jak kiedyś moje, i szaroniebieskich oczach Hildy.

Spojrzał na mnie z powagą, kiedy czekaliśmy na lody (najbardziej lubił malinowe) i powiedział:

– No, to zaczynaj.

– Ale co? – uśmiechnąłem się.

– No, wiesz, o kawiarence.

– A, tak... – I wyrecytowałem mu wierszyk:

*Śniłem wczoraj, że moja kawiarenka przeniosła się na wyspę, pod wieniec palm na plaży.*

*Zaręczam, śpiam zawsze w swoim własnym łóżku, lecz sny mogą wędrować, dokąd im się zamarzy.*

Kurt zachichotał, rozbawiony myślą, że sny mogą wędrować, dokąd tylko mają ochotę.

Tymczasem zjawiły się lody i mały zabrał się ostrożnie do jedzenia. Często wspominam go właśnie z tamtego okresu. To miłe sercu wspomnienie.

Hoepfner nie rzucał słów na wiatr. Niezadługo zostałem poproszony o udanie się na rozmowę z kimś z biura technicznego w Ministerstwie Lotnictwa. Przypiąłem swoje medale, włącznie z *Ordre pour le Merite*, i okazało się, że jestem właśnie tym, kogo szukają.

Przez kolejne sześć lat spędzałem większość czasu w Lipiecku. Do naszego mieszkania w Berlinie wracałem tylko na urlop. Przeniosła nas tam z Weimaru Hilda, kiedy jej kariera artystyczna zaczęła się na dobre rozwijać. Zajmowaliśmy ładny apartament, zaledwie parę kroków od Unter den Linden. Oboje pracowaliśmy, mogliśmy więc sobie pozwolić na posyłanie Kurta do dobrej szkoły. Planowaliśmy, że kiedy skończy podstawówkę, pošlemy go do prywatnej szkoły średniej, przygotowującej do podjęcia studiów. Pisywałem do niego z Lipiecka, a on odpowiadał mi listami, w których coraz bardziej znać było wyrobiony charakter pisma.

Po każdym trzech miesiącach służby przyjeżdżałem do domu na miesięczny urlop. Starłem się wtedy przebywać z Kurtem jak najwięcej: zabierałem go na spacer do wspaniałych berlińskich parków, nad jeziora i do lunaparku. Kiedy zdarzało się, że musiałem pójść wieczorem na jakieś spotkanie, opiekowała się nim siostra Hildy. Samą Hildę zaś można było znaleźć najczęściej w teatrze, czasem w kinie lub w galerii. To był jej świat, do którego ja nie należałem.

Czasem umawiałem się na drinka z Eisenmannem, celowniczym karabinu maszynowego, którego poznałem w 1918 roku. Osiadł w Berlinie, gdzie prowadził interesy, i zajmował z żoną apartament niedaleko nas.

Miesięczny urlop zawsze zbyt szybko się kończył i musiałem wyjeżdżać do Lipiecka. Czasami wracałem nowym samolotem, który mieliśmy tam oblatywać. To był mój świat, tak jak światem Hildy była nowa kultura Weimaru.

Jakże mi zazdrościła, że pracuję w Związku Radzieckim! Była zawsze politycznie bardziej uświadomiona ode mnie, a dla ówczesnej lewicowej inteligencji pierwsze na świecie państwo komunistyczne wydawało się ozłoconym rajem, legendarnym Graalem na tym niedoskonałym globie.

Prawda wyglądała jednak tak, że przez cały czas mojego pobytu w Lipiecku ani razu nie widziałem świata zewnętrznego. Poznałem kilku radzieckich pilotów, którzy bywali w bazie, ale to było wszystko. Baza stanowiła jeden ogromny poligon, rzucony w sam środek nicości – i o to właśnie chodziło. Na mocy postanowień traktatu wersalskiego nam, Niemcom, nie wolno było mieć czołgów, ciężkiej artylerii, lotnictwa, a nawet sztabu generalnego – kryliśmy się więc tam, gdzie nikt nie mógł nas zobaczyć.

Trudno takiemu sposobowi myślenia odmówić zdrowej logiki, bo nasze działania służyły stworzeniu broni do prowadzenia nowego rodzaju wojny. Zaczynaliśmy od etapu, na którym się zatrzymaliśmy w latach 1917-1918. Impas, w jakim tkwiły strony konfliktu przez większość wojny, był spowodowany żelaznym systemem obrony i siły ognia skierowanym przeciwko ruchomym środkom ataku. Nas interesowała doktryna ofensywna, rozwinięta właśnie



przez Niemcy, a następnie przejęta przez aliantów. Tym zaś, co umożliwiło jej realizację, był silnik spalinowy, zastosowany w opancerzonych pojazdach bojowych – czyli w czołgach, w samolotach do atakowania celów naziemnych i w ciężarówkach.

Nie byliśmy jedynymi, którzy przerabiali lekcje wynikające z doświadczeń ostatniej wojny – wszak do zadań wojskowych ekspertów należy prognozowanie w czasach pokoju obrazu przyszłej wojny. W tej kwestii zaś istniały dwie główne szkoły. Pierwsza zakładała dominującą rolę artylerii, która miała neutralizować siły nieprzyjaciela, otwierając pole do wejścia piechoty i czołgów. Pogląd ten przyjęli Francuzi, a następnie Anglicy – ci ostatni rozwiązali nawet stworzoną wcześniej eksperymentalną formację wojsk zmechanizowanych. Francuzi z kolei przystąpili do budowania systemu gigantycznych umocnień zwanych Linią Maginota.

Wszystko to skłoniło nas – Niemców i Rosjan – do pracy w miejscach takich jak Lipieck nad poszukiwaniem sposobów zapewnienia współdziałania i odpowiedniej łączności czołgom, samolotom do atakowania celów naziemnych oraz oddziałom zmechanizowanym. Można było tam spotkać naprawdę ciekawych ludzi. Razem ze mną przebywał w Lipiecku Ernst Udet, który w ostatniej wojnie zestrzelił więcej nieprzyjacielskich maszyn niż ktokolwiek inny (poza Richthofenem), i któremu na dodatek udało się przeżyć. Specjalistą od spraw działań naziemnych był niejaki Guderian, który zyskał sobie przydomek „Szybki Heinz”. To on właśnie był autorem powiedzenia, które najlepiej streszczało naszą doktrynę: *Klotzen, nicht kkckem* – „Nie pukać, lecz walić”. Rosjanie mieli swojego

Tuchaczewskiego, marszałka armii, który powiedział następujące słowa: „Tylko zdecydowane działania ofensywne na głównym kierunku natarcia, zakończone wytrwałym pościgiem, prowadzą do całkowitego zniszczenia sił i środków nieprzyjaciela”. Tuchaczewski i Guderian dobrze się rozumieli.

Jednak Tuchaczewski i jego najlepsi ludzie zostali wymordowani w poło wie lat trzydziestych za sprawą ich własnego wodza, Stalina, wraz ze sporą częścią społeczeństwa. Co oznaczało, że na placu boju pozostaliśmy tylko my, Niemcy. Ale widzę, że wybiegam za daleko w przyszłość... Kiedy przebywałem w Rosji pod koniec lat dwudziestych i na początku trzydziestych, wszystko to należało jeszcze do przyszłości. Planując nową, niszczycielską doktrynę wojenną, żadnej ze stron owej przyszłej wojny nie przyszło do głowy, by jakikolwiek przywódca narodu mógł z własnej woli wymordować swoich najzdolniejszych oficerów. Gdyby Tuchaczewski żył i stał w 1941 roku na czele największej armii zmechanizowanej świata, to można być pewnym, że słowo „Barbarossa” kojarzyłoby się wyłącznie z osobą króla Fryderyka. Ale znowu zaczynam odbiegać od tematu; cóż, to przypadłość starczego wieku.

Jako młody człowiek na właściwym sobie miejscu, czyli za sterami samo lotu, odegrałem ważną rolę w rozwoju *Sturzkampfflugzeug*, czyli bombowca nurkującego. Naszym zdaniem samolot tego typu mógłby atakować trudne cele, takie jak mosty i kolumny wojsk, ze znacznie większą dokładnością i powodzeniem oraz na większą odległość niż artyleria. Na miejscu mieliśmy kilka prototypowych maszyn wyprodukowanych przez zakłady Henschla, Curtissa

i junkersa. W wyniku naszych prac w połowie lat trzydziestych powstał samolot o nazwie *Junkers Ju-87*. Ci, którzy przeżyli spotkanie z jego budzącą grozę sylwetką o wygiętych skrzydłach, gdy spadał na nich z rykiem silnika *Jumo* w niemal pionowym locie nurkowym, znali go lepiej pod nazwą *Stukas*.

Znowu wybiegam zbyt daleko w przyszłość...

Siedziałem za biurkiem w moim drewnianym wiejskim domku, zajęty spisywaniem wspomnień, kiedy nagle przerwałem. Odłożyłem pióro, zafrapowany i nieco zaniepokojony. Powodem mojego zdziwienia był telefon: aparat wydał z siebie jedno krótkie „trrr” i ucichł. Podniosłem się, nie spuszcżając z niego oczu. Był to stary czarny, bakelitowy aparat, nieużywany przeze mnie od lat. Zgłosivszy w przedsiębiorstwie telekomunikacyjnym chęć odłączenia telefonu, zostawiłem siłą przyzwyczajenia wtyczkę w gniazdku, byłem wszak najzupełniej przekonany, że jest odłączony od sieci. Doczłapałem się do niego i, podniósłszy słuchawkę, przycisnąłem ją do ucha. Przez sekundę czy dwie ktoś był po drugiej stronie, czułem to: słyhać w niej było ten dziwny, głuchy pogłos jak z muszli morskiej. W chwilę później usłyszałem trzask i w słuchawce zaległa cisza, a ja stałem trzymając stary, bezduszny kawałek uformowanego bakelitu podłączony do spiralnego sznura. Spojrzałem na słuchawkę, przyłożyłem ją znowu do ucha, ale odpowiedziała mi cisza. Odłożyłem słuchawkę na widelki i ruszyłem do biurka, by dalej spisywać wspomnienia, lecz po drodze zatrzymałem się, jak to miałem w zwyczaju, żeby rzucić okiem na dolinę. Odległe stoki były pomalowane rdzawozłotymi kolorami jesieni. Blżej domu, przy budynkach gospodarczych, mignął mi

jakiś mężczyzna. Dostrzegłem jego zaparkowany samochód, chociaż nie słyszałem wcześniej hałasu silnika: musiał więc podjechać od dołu. Wypatrzył mnie pewnie w oknie, bo pomachał mi i zaczął piąć się w górę. Oczywiście, jakby mogło być inaczej: pan policjant Kapuściany Oddech.

– Właśnie przejeżdżałem – zawołał – i pomyślałem sobie, że może pan czegoś potrzebuje.

Miałem zamiar zbyć go krótko – nie po to człowiek zaszywa się w jeden z najbardziej odludnych zakątków Niemiec, by prześladował go jakiś soczewicolubny, warzywopodobny stróż prawa. W porę jednak przypomniałem sobie, że chciałem skontaktować się ze starym Fegeleinem (czy też jego synem), właścicielem sklepu w wiosce. Miałem już przygotowany list.

– Tak się składa, że może istotnie być mi pan pomocny – odparłem. Otworzyłem drzwi i podałem mu list. – Adres, jak pan widzi, jest na kopercie. Jeśli zawróci pan do drogi, to ta zaprowadzi pana prosto do wioski tam w dole. Gdyby pan był tak miły, to chciałem prosić, żeby oddał pan ten list właścicielowi sklepu.

– Bardzo proszę – zgodził się i wziął list.

– Zdarzyła się dziwna rzecz – zmieniłem temat. – Mój telefon już od lat jest odłączony od sieci, a tu raptem przed chwilą się odezwał.

Spojrzał na mnie z kamienną twarzą. – Kto dzwonił? – spytał wreszcie.

– Nikt. Z powrotem jest głuchy.

– Kiedy tu jechałem, widziałem na słupach telefonicznych techników.

– Ach, to pewnie dlatego. – Spojrzałem na jego samochód zaparkowany przy budynkach gospodarczych. – Często pan

zagląda w to odludzie – zauważyłem.

– W związku z poszukiwaniem ekologicznych terrorystów.

– No tak. Jak oni się nazywali?

– Matka Natura – odpowiedział cicho.

– Znaleźliście ich?

– Nie.

– A co z tym... To był kuchmistrz, zgadza się?

– Kuchmistrz i autor książki kucharskiej.

– Właśnie. Odnaleźliście go?

– Tak.

– To dobrze. – Ale policjant nie miał najszcześniejszej miny. – Coś nie tak?

– Znaleźli go pracownicy jego własnej restauracji, gdy pewnego ranka przyszli otworzyć lokal. Jeden z długich stołów był nakryty do posiłku. Leżał na trzech dużych tacach, z jabłkiem w ustach. Został przyrządzony i upieczony na ruszcie w sosie własnym.

Na moment odjęło mi mowę. Wreszcie wybuchnąłem:

– Cóż to za krzywdę ten nieszczęśnik wyrządził tym wariatom, że go w tak okrutny sposób zamordowali?

– Zostawili list z wyjaśnieniem, że ostrzegali go już wcześniej przeciwko uczestnictwu w holokaucie.

– W holokaucie? – powtórzyłem zdumiony. – Ale przecież nie miał chyba nic wspólnego z obozami koncentracyjnymi?

– Terroryci z ugrupowania Matka Natura terminem holokaust objęli cały szeroko rozumiany proces produkcji żywności ze zwierząt.

– A więc i działalność gospodarstw rolnych?

– Wszystko. Gospodarka rolna, wędkarstwo, restauracje

podające potrawy mięsne, hipermarkety, w których sprzedaje się mięso, rzeźników... To właśnie nazywają holokaustem.

– Czyli mamy głodować?

– Chcą, żeby wszyscy zostali wegetarianami – wyjaśnił i dorzucił z krzywym uśmiechem: – Takimi, jak ja.

– Wygląda na to, że chcieliby zmienić całkowicie naturę człowieka, zapominając o drodze, jaką przeszedł od wyjścia z dziewiczej kniei. To mówi pan, że i wędkarstwo też?

– Wędka jest narzędziem tortur, które porównują do średniowiecznego łamania kołem.

– Rozumiem. A zwierzaki? Można trzymać psa albo kota?

– To niewolnictwo, identyczne z systemem niewolniczym w południowych stanach Ameryki przed wojną secesyjną.

– Nie brali przypadkiem jakichś środków halucynogennych? Wzruszył ramionami.

– A co z przemysłem, nowoczesną technologią?

– Trzeba je zlikwidować, bo niszczą naszą żyjącą planetę ze wszystkim, co na niej występuje.

– Można by powiedzieć, że pragną przeobrażenia społeczeństwa – marzy im się odmienienie całego globu, prawda? Przy którym wszystkie poprzednie rewolucje, jak na przykład rewolucja bolszewicka, zdają się być co najwyżej zmianą rządu. A co ze zwierzętami hodowanymi na ubój i zwierzyną łowną?

– Nastąpi powrót do złotego wieku Matki Natury, kiedy człowiek nie ingerował w przyrodę.

– No, tak – westchnąłem z irytacją. – Ale człowiek zawsze przekształcał, tworzył, sadił, uprawiał. Dzięki temu świat jest lepszy.

– Nie zgodziliby się z panem.

– Rozumiem. Z restauratorem też się nie zgadzali. Ale czy mają choćby blade pojęcie o życiu dzikich zwierząt na wolności? Zapewniam pana, daleko to odbiega od obrazków w filmach Disneya. Ja wiem, jak ono wygląda, bo przez całe życie byłem blisko przyrody. Młodym się chyba zdaje, że jedzenie to tylko paczka w celofanie na półce sklepowej. Życie w przyrodzie to nieustanne polowanie jednych na drugich. Po ciepłym, obfitym w pokarm lecie, nastaje zima, a z nią ostre chłody i zabójczy głód. Choroby przynoszą ból i osłabienie. Od urodzenia aż po śmierć zwierzę toczy zacieklą, brutalną walkę o jedzenie, o schronienie, o ciepło. Można być zjedzonym żywcem przez kruka, lis może zacząć pożerać jeszcze walczącą ofiarę, jastrząb wyrywa wnętrzności nie czekając na śmierć swojej zdobyczy. Żadne dzikie stworzenie nie umiera ze starości. Giną z zimna, z głodu, stają się łupem drapieżnika dlatego, że są za wolne lub zbyt osłabione, by uciec. Zrobiłem krótką przerwę.

– Rolnik dla odmiany musi dbać o zwierzęta, jeśli chce, by dawały wysokiej jakości mięso. Musi chronić je przed chorobami, zapewniać im ciepło zimową porą. Zwierzę hodowlane prowadzi żywot, jakiego mógłby mu po zazdrościć jego dziki kuzyn.

– Ale zabija się je na mięso.

– Tak, to prawda. Musi umrzeć. Ale wszyscy muszą umrzeć, i faktu tego nie zmieni faszcerowanie się ziołami czy stosowanie dziwacznych diet. Pan umrze, ja umrę, i moje kurczaki też. To, czego każdy z nas pragnie, to przeżyć jak najlepiej dane nam życie.

Wbiłem w niego gniewny wzrok.

– Ci szaleńcy chcieliby zepchnąć świat w otchłań grozy. Jedynie cywilizacja jest zdolna podnieść życie na wyższy

poziom, uwolnić nas od strachu rządzącego dziką przyrodą. A ci pomyłeńcy chcieliby, żeby było odwrotnie.

– Bo tego domaga się Matka Natura – wzruszył ramionami i dodał, rozkładając ręce: – Tak by odpowiedzieli.

– Dobrze znam takich jak oni – zachnąłem się. – To ideolodzy, a ideologia jest jak religia. Zarażeni nią twierdzą, że znają prawdę i nie potrzebują żadnego dowodu. Nie chcą słuchać, gdy ktoś im pokazuje, że błędzą. I obojętne, o kogo chodzi – ci, co spalali na stosie innych za to, że mieli odmienne zdanie na temat istoty Ducha Świętego, nie są wcale lepsi od tych, którzy głosili, że powodem wszelkiego zła są przedstawiciele innej klasy czy rasy i starali się tych „innych” jak najwięcej wymordować. Od nich wszystkich z kolei niczym się nie różnią ostatni przyjemniaczkowie, twierdzący, że diabeł bierze się z toksyn i z jedzenia mięsa.

Wybiegłem gniewnym wzrokiem ponad dolinę. Przybyłem do tego miejsca, by spędzić w spokoju resztę życia, a jednak świat ze swymi szaleństwami mi dopadał mnie nawet tutaj.

– Lepiej niech pan już rusza i znajdzie tych pomyłeńców. Nie potrzebujemy w Niemczech nowych maniaków – dosyć ich już mieliśmy w przeszłości. Trzeba położyć temu kres.

Powstał ze schodków werandy.

– Ma pan rację – przytaknął i dodał, wskazując kopertę: – Dostarczę pański list.

Wszedłem do środka i po krótkiej chwili usłyszałem odgłos oddalającego się samochodu. Podniosłem słuchawkę, ale, jak należało się spodziewać, odpowiedziała mi głucha cisza. Podszedłem do pieca, żeby przygotować sobie kawę, zanim na powrót zasiądę za biurkiem.



Nie mogłem jakoś pozbyć się obrazu upieczonego na ruszcie nieszczęśnika. Zamiast pozostać przy dalszym opisywaniu prac, jakimi zajmowaliśmy się w drugiej połowie lat dwudziestych, przenieśliśmy się myślami do wydarzeń mających miejsce gdzieś koło roku 1931 czy 1932. Dowiedzieliśmy się wówczas, że stosunki między Niemcami a Związkiem Radzieckim ulegają pogorszeniu i że trzeba się liczyć z zamknięciem wspólnego ośrodka w Lipiecku. W tej sytuacji postanowiliśmy, że póki to możliwe, musimy przyspieszyć prace nad kilkoma projektami. Jednym z nich było sporządzenie zdjęć lotniczych niektórych obszarów Związku Radzieckiego. Realizowaliśmy ten program pod pozorem odbywania dalekich lotów sprawdzających prototypowy model *Messerschmitta*. Samolot ten produkowany był później jako *Bf-108 Taifun*, bardzo szybki samolot turystyczny, poprzednik słynnego myśliwca *Bf-109*. Zaopatrzone były w wewnętrzne zbiorniki paliwa (powinniśmy byli zbudować zewnętrzne, odrzucane zbiorniki paliwa, których wymagał *Bf-109*), wyciszone rury wydechowe i ciche śmigło. Spód kadłuba miał maskującą, sinoszarą barwę. No i, naturalnie, w skład wyposażenia wchodził aparat fotograficzny marki Zeiss. Był to bardzo skuteczny samolot szpiegowski. Kiedy leciał na wysokości dziewięciu tysięcy metrów, ludzie w dole nie mieli pojęcia, że nad nimi znajduje się samolot. Pilot tymczasem robił spokojnie ostre, wyraźne zdjęcia. Na wiele lat przed innymi wprowadziliśmy obserwację z powietrza, ale taki już los Niemców. To my przecież opracowaliśmy pociski kierowane, „inteligentne” bomby latające, myśliwiec odrzutowy, a także szybkobieżne okręty podwodne z „chrapami”. Co nie znaczy, że na wiele nam się to

przydało.

Ja również brałem udział w owych lotach szpiegowskich. Jeden z nich zapadł mi szczególnie w pamięci. Wracalem już do bazy i przelatywałem akurat nad Ukrainą; był czerwcowy dzień, a ja znajdowałem się w powietrzu od jakichś siedmiu godzin. Przy ścielącej się mgle, kierując wzrok ku ziemi człowiek odnosił wrażenie, że patrzy w głąb brudnej sadzawki; miałem nadzieję, że zrobione wcześniej zdjęcia wyjdą ostro. Niebo przede mną poszarzało, widać było groźne zarysy gromadzących się ciemnych kłębiastych chmur. Zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakim były zmienne prądy powietrzne wewnątrz chmur, często uniemożliwiające kontrolę nad maszyną. Po wleceniu w dojrzałą chmurę burzową samolot mógł zmienić się w rzucane na wszystkie strony oblodzone jo-jo, by spaść w końcu na ziemię, przybrawszy kształt błyszczącej, pozbawionej skrzydeł, bezwładnej bryły.

Niebo na wschodzie wydawało się jaśniejsze. Zmieniłem kurs o jakieś trzydzieści stopni i zacząłem schodzić w dół, by dostać się pod pokrywę chmur. Na wysokości dwóch tysięcy metrów ziemia była już dobrze widoczna, podobnie jak obszar nieba wokół zbliżającego się frontu atmosferycznego-

Nagle coś mi mignęło przed oczami.

Tylko tyle. Lecąc z prędkością przelotową, czyli mniej więcej dwieście siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, pochwyciłem jedynie niewyraźny zarys bieli i coś uderzyło w samolot z potworną siłą, niczym pocisk przeciwlotniczy. Maszyna zadrzała i zakołysała się, wskazówki przyrządów zaczęły skakać jak szalone. Trudno o coś bardziej nieprzyjemnego niż zderzenie z jakimś obiektem

w powietrzu. Nie można zjechać na pobocze drogi i sprawdzić, co się stało.

Samolot nadal leciał, utrzymując poziom i reagując poprawnie na delikatne ruchy sterów. Znacznie uspokojony, kontynuowałem kurs pod warstwą chmur. Raptem spostrzegłem, że podnosi się temperatura w głowicach cylindrów. Rosła też temperatura oleju, a jego ciśnienie powoli spadało. Silnik zaczynał się przegrzewać, grożąc w konsekwencji stopieniem się pracujących w nim części i zmienieniem go w brudną, bezwładną masę, która wraz ze mną runie na ziemię. Postanowiłem więc wylądować, dopóki panuję jeszcze w miarę nad maszyną. Ściągnąłem dźwignię przepustnicy i, wykręcając głowę na obie strony, wypatrzyłem w dole coś, co wyglądało na piaszczystą drogę. Biegła prosto i nie miała na szczęście żadnych linii energetycznych ani telefonicznych, nie była też obramowana rowami. Nie mogłem liczyć na nic lepszego. Jeśli była nawet poryta koleinami, to przecież i na łące mogłem łatwo natrafić na wyboje i stracić podwozie albo zaryć się nosem.

Wyrównałem lot maszyny. Wiatr nie wydawał się zbyt silny. Wypuściłem podwozie i jeszcze bardziej zredukowałem obroty silnika. Wskaźnik temperatury oleju stał na czerwonej kresce. Opadłem na ziemię z głuchym turkotem kół, trzymając jak najwyżej nos maszyny. Droga nie była bardziej wyboista, niż się tego spodziewałem. Zatrzymałem się i wkrótce osiadł na mnie znaczący szlak samolotu tuman kurzu. Zamknąłem dopływ paliwa i wyłączyłem zasilanie. Wygramoliłem się, cały zesztywniały, żeby sprawdzić, co uderzyło w samolot.

Winowajcą okazała się kaczką. Jej resztki wraz z piórami

wciśnięte były w chłodnicę i rozrzucone na zewnątrz. Od chłodnicy bił ogromny żar. Otworzyłem przyborek z narzędziami i przystąpiłem do usuwania na wpół upieczonego, podniebnego wędrownika.

Nie przerywając pracy, rozglądałem się wokół siebie. Wypadek zmusił mnie do wylądowania na prawdziwym odludziu. Pole rozciągające się po obu stronach drogi było kiedyś z pewnością uprawiane, teraz jednak zmieniło się w kłębowisko chwastów, które przebijały się przez gnijące, brunatne uprawy z ubiegłego roku. W pewnej odległości ode mnie dostrzegłem skupisko prymitywnych drewnianych domostw.

Dokoła nie było żywej duszy. Nie dostrzegłem też śladu zwierząt: żadnych krów, kóz, owiec, kurczaków czy świń. Istne pustkowie. Zdrapywałem dalej i wyciągałem pokiereszowane szczątki, żeby oczyścić osłonę chłodnicy oleju i umożliwić swobodny przepływ powietrza.

Wysokie chwasty poruszyły się z lekkim szelestem i dobiegło stamtąd posapywanie, jakby z sędziwej, nieszczelnej lokomotywy parowej. W moim kierunku człapał przeraźliwie chudy i bardzo stary mężczyzna (w każdym razie wyglądał na starego). Jak to u chłopca, miał na sobie brudne ubranie, które kiedyś leżało na nim znacznie lepiej. Uśmiechnął się do mnie, pokazując bezzębne dziąsła.

– Woda – powiedział po rosyjsku. Mówił po rosyjsku chyba niewiele lepiej ode mnie. Był ukraińskim chłopem i pewnie myślał, że ma do czynienia z Rosjaninem. – Woda – powtórzył. – Chodź napić się wody ze studni.

Duszne, gorące powietrze aż kleiło się od wilgoci przed nadciągającą burzą. Ręce śmierdziały mi od wnętrzości martwego ptaka. Byłem bardzo spragniony, silnikowi

również należało się więcej ochłody.

– Dziękuję – odezwałem się w swojej kiepskiej ruszczyźnie. Mruknął coś po ukraińsku i wskazał na najbliższą stojącą drewnianą chatę.

Ruszyliśmy ku niej. Posuwaliśmy się bardzo powoli – mój przewodnik najwyraźniej nie był w stanie iść szybciej. Przy każdym kroku oddychał ciężko, wciągając powietrze przez szeroko otwarte usta.

Powietrze wypełniał dziwny smród stęchlizny. Panowała cisza, nie przerywana żadnymi typowymi odgłosami życia w wiejskim obojętym. Stanęliśmy przed chatą, która składała się z jednej prostej izby z klepiskiem zamiast podłogi. Znałem już takie wnętrza. Pokazał mi, żebym wszedł o środka. Drzwi były na wpół otwarte; postąpiłem naprzód i smród stęchlizny nasilił się. Przez sekundę nic nie widziałem w panującej wewnątrz ciemnicy. Kiedy wzrok przyzwyczał się do mroku, dojrzałem starą kobietę: leżała pod ścianą, wysuszona jak mumia, okryta przyklepiającymi się do ciała szmatami – istna skóra i kości. Była martwa. Izba świeciła pustkami – poza trupem kobiety nie było w niej nic.

Starzec za moimi plecami sapnął potężnie, jakby wyzwalał z siebie wszystkie siły. Uskoczyłem błyskawicznie w bok i zobaczyłem, jak wpada przez drzwi z nożem w rękę, chybiając celu. Pozbierał się i ruszył na mnie chwiejnym krokiem, desperacko tnąc nożem powietrze. Odskakiwałem przed atakami, poruszając się niemal jak w zwolnionym tempie.

Poczułem za plecami drzwi i dałem nura na zewnątrz. Znalazłszy się na podwórzu, spostrzegłem, że w kierunku chałupy gramolą się inne szkieletowate stwory, niosąc ze

sobą noże, sierpy i siekiery. Na mój widok w ich zapadniętych oczach rozbłysło rozpaczliwe pragnienie. Wykrzykując coś chrapliwie w swoim języku, ruszyli w moją stronę, jak mogli najszybciej, ze wzrokiem utkwionym tylko we mnie, wznosząc narzędzia śmierci.

Rzuciłem się do ucieczki. Obiegnąłem ile sił w nogach chatę i nagle wpadłem na wieśniaka, który człapał spóźniony z kosą w rękę. Zwaliłem go na ziemię, skąd na próżno usiłował mnie pochwycić swoimi szponami. Popędziłem przez pole, goniony przez bandę kościotrupów. Słyszałem ich świszczące, bulgotliwe oddechy, i rozpaczliwe krzyki, gdy spostrzegli, że im się wymykam.

Wdrapałem się do kabiny i uruchomiłem pośpiesznie silnik. Śmigło skoczyło i zaczęło się obracać. Dałem pełny gaz i maszyna potoczyła się do przodu. Ogon wzbił się już w górę, kiedy niespodziewanie na drodze zjawił się jeden z goniących mnie stworów, robiąc dzikie miny i coś wykrzykując. Wbiegł prosto pod skrzydło. Rąbnęło go z głośnym echem, rzucając nim jak workiem śmieci. W chwilę potem byłem już w górze.

Wciągnąłem podwozie i zwiększyłem prędkość. Powodowany jakimś nieokreślonym impulsem zrobiłem nawrót i przeleciałem jeszcze raz nad drogą i bandą szkieletów, które próbowały mnie zabić. Nie zwracały teraz na mnie najmniejszej uwagi. Wolały nie tracić energii na gapienie się na przelatujący nad ich głowami samolot: zgromadzone wokół świeżego trupa, ćwiartowały go na kawałki. Ci, którzy byli pierwsi, unosili z szaleństwem w oku krwawiącą zdobycz, by inni nie zdołali im jej odebrać.

*Berlin, listopad 1931 roku*

Usłyszałem, jak Eisenmann wdrapuje się po schodach i otworzyłem mu drzwi.

– Nie spóźniłem się? – spytał. – jak się masz, Hildo. Miło tu u was i ciepło.

– Hoepfner właśnie przyszedł – poinformowałem. – Stań przy piecu i ogrzej się, na dworze strasznie zimno.

– I to jak! – przytaknął. Powiesił płaszcz na futurystycznym wieszaku, który ktoś z Bauhausu zaprojektował dla Hildy i, korzystając z zachęty, stanął z wdzięcznością przy barokowym piecu, który ze swymi jasnymi, błyszczącymi kaflami mienił się kolorami niczym ołtarz.

Całe wnętrze stanowiło oryginalne połączenie starego i nowego. Wyróżniały się w nim fantazyjne lampy wykonane na wzór manometrów i termometrów; tarcze telefoniczne rzucały kuliste plamy światła na zdobiony bogatą sztukaterią sufit. Połowę ściany zajmował kredens, którego drzwi, pochodzące z gotyckiej katedry, wyłożone były witrażami. Nieopodal kredensu Hilda powiesiła duży obraz podarowany jej przez Antona Raderscheidta, który przedstawiał ponuraka w meloniku, obserwującego dwie

nagie blondynki ćwiczące na poręczach. Obok wisiała czarno-biała, ostra w wymowie karykatura stworzona przez Grosza, na której pruscy generałowie zostali ukazani jako wyjątkowo nieprzyjemne typy, a kapitaliści przypominali wyglądem dobrze wypasione świnie.

Kapitalista Eisenmann ogrzewał sobie dłonie. Hoepfner tymczasem, skończywszy myć ręce, dołączył do nas. Przyrządziłem dla wszystkich drinka – koktajl prosto z mieszalnika, na nowojorską modłę.

– Pomyślałem, że lepiej przyjdę pieszo – odezwał się Eisenmann. – Krążyły słuchy, że na Leipziger Strasse może dojść do zamieszek, a jak człowiek zostawi nieopatrznie samochód na pastwę tej hołoty, to może pożegnać się z szybami.

– To dlatego, że jeździsz Mercedesem – zauważyła Hilda. Wróciła niespodziewanie tego popołudnia po jakiś czas trwającej nieobecności, ze świata, który użyczał jej ozdób na ściany mieszkania. Co pewien okres wieszała nowy obraz, ustawiała nową rzeźbę, dokładała na półkę książkę, która przykuła jej uwagę. Zdobyłszy te, zbierane przez nią jak skalpy, zajmowały ściany i półki.

Kurt przebywał u y, siostry Hildy. Nawet bawiąc w Berlinie prowadziłem tak nieregularny tryb życia, że Hilda uznała za bardziej stosowne zostawić chłopca u ciotki.

– I co z tego wynika? – odparł pytająco Eisenmann. – Komuniści nienawidzą mnie, bo jeżdżę Mercedesem, a naziści dlatego, że jestem Żydem. Istny koszmar. Jeszcze wczoraj wszystko wyglądało normalnie, dzisiaj życie znów przypomina czasy zaraz po wojnie. Gdzie by człowiek poszedł, wszędzie ich pełno: albo się awanturują, albo ryczą na całe gardła tę idiotyczną piosenkę o Horscie Wesselu.



Kim właściwie jest ten cały Horst Wessel?

– Kim był – poprawił go Hoepfner. – Otóż był alfonsiem, który jednocześnie należał do SA; jedno zresztą szło w parze z drugim. Zabił go konkurent z alfonsiej branży w trakcie bójki o podział terytorium.

– Co ty na to, Klaus? – zwróciłem się do Hoepfnera. – Czy obecny kryzys wkrótce minie?

– To ostatnie podrygi kapitalizmu – obwieściła triumfalnie Hilda. – Witam je z radością. Potrzebna nam walka, starcia i iskry. Idzie nowy świat – na reszcie!

– Uważaj, o co prosisz – ostrzegł ją posepnie Hoepfner – bo twoje życzenie może zostać spełnione. Ale nie, nie jest tak, jak mówisz.

– Od nowa zaczną się zamieszki i walki na ulicach – westchnął Eisenmann. – Przez ostatnie pięć lat, od czasu jak Hitler trafił do więzienia, nie uświadczyłeś widoku SA. Teraz znowu wracają i rosą nieprzerwanie w siłę. Nowych członków szukają wśród bezrobotnych – za wstąpienie w szeregi SA proponują im umundurowanie, gorące posiłki i nowe skórzane buty.

– Ludzie się boją – zauważyłem. – Przypomnijcie sobie, co było po wojnie. Pięć lat zmagania zakończonych kompletną klęską, mimo tylu poniesionych strat! Do tego traktat wersalski i ciężar reparacji wojennych, brak cesarza, wojna domowa i rewolucja, inflacja tak wielka, że po kanapkę trzeba było iść z walizką pieniędzy. Aż wreszcie udało się zaprowadzić jako taki porządek, wszystko zmieniało się na lepsze. I nagle znów się zaczyna!

– Otóż to – przytaknął Hoepfner. – Ludzie przestają kierować się rozumem, a dają wiarę temu, co irracjonalne. Stoimy w obliczu takiej perspektywy.

– Perspektywy czego? – zainteresowała się Hilda.

– Twojego nowego świata – odparł Hoepfner z krzywym uśmiechem. – Zresztą jeden już istnieje – w Związku Radzieckim.

– Słusznie! Tego nam właśnie trzeba!

– Ale, jak się wydaje, to kapral Hitler stworzy nam ten raj.

– Bierzesz tego bałwana na serio? – spytał Eisenmann z wyczuwalnym niepokojem w głosie.

– Tak, o ile w gospodarce nie nastąpi gwałtowna poprawa, na co się nie zanosi.

– Szkoda, że na wojnie nie trafiła go zabłąkana kula! – Esemann wyłowił z kieszeni kawałek pożółkłego papieru z tekstem nagryzmołonym niewprawną ręką. Wręczył go Hoepfnerowi, który zapoznał się z treścią i przekazał list mnie.

Był adresowany do Karla Eisenmanna i brzmiał następująco:

Miej się na baczności! Wyrównamy z tobą porachunki, tak jak z reszta żydowskiego tałatajstwa. Masz dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie Niemiec. W przeciwnym razie dostaniesz to, co ci się należy.

Pod listem widniała niezdarnie narysowana swastyka.

– To okropne! – oburzyła się Hilda. – Co zamierzasz zrobić? Byłeś z tym na policji?

– Moja droga, policja miałaby mnie dosyć, gdybym co tydzień zjawiał się z nowym naręczem listów. W tygodniu dostajemy trzy, czasem cztery. Stać się nie zwracać na nie uwagi. Jestem Żydem, zatem oznaki pogromu nie są mi obce. Ale wolałbym, żeby to wszystko nie miało miejsca.

– Hitler i jego SA to tylko męty, jakie wyrzuca na wierzch

upadający kapitalizm – wygłosiła Hilda z pełną powagą.

Ciekawe, w czym to towarzystwie obracała się przez ostatnie kilka tygodni. Jej znajomi, leżąc w łóżku i wzbijając pod sufit srebrzystoszary dym z papierosów (niby smugi – ze spadającego samolotu), dyskutowali na te tematy z gorącą żarliwością duchownych, którzy próbują ustalić, ileż to aniołów mieści się w główce szpilki.

– Mylisz się – skontrował ją krótko Hoepfner. Hitler cieszy się popularnością. I zdobywa tę popularność, nie siląc się na głoszenie polityki. Żyjemy w ciężkich czasach, a on daje ludziom coś, w co mogą uwierzyć – starzy i młodzi, konserwatyści i radykałowie. Wychodzi ze swoją ofertą do protestantów pragnących w coś wierzyć, i do ateistów poszukujących prawdziwej drogi; do wszystkich Niemców, którzy chcą moralnego i duchowego odrodzenia narodu. Obecne trudne czasy sprawiły, że całe rzesze ludzi wpadły w szpony szaleństwa. Nie myślą racjonalnie, chcą tylko w coś wierzyć. A wszystko, co robią naziści, zmierza do przyciągnięcia mas do tej nowej wiary. Widzieliście ich w akcji? To, co uprawiają, nie jest zwykłą polityką, ale zlepkiem teatru i religii. Powinnaś to zrozumieć, Hildo. Popatrz, jak on działa: symbole, teatralne mundury, ceremoniał, sztandary, światła, głośniki, parady i wiece – wszystko skupione wokół osoby *Führera*. W tej sytuacji trudno z nim współzawodniczyć normalnym, nudnym, ciężko pracującym politykom, których zadaniem jest załatwianie zwykłych spraw. Hitler przedstawia się jako złoty środek dla każdego. Ludziom się zdaje, że da im to, czego potrzebują.

– I to rzeczywiście skutkuje – przyznała Hilda. – Ale komuniści z KPD rozbiją ich w drobny mak.

– Dobrze wiesz, że tak się nie stanie! – krzyknął Eisenmann. – Czy udało im się to zaraz po wojnie? Nie, to właśnie bojówki Freikorpsu zmasakrowały komunistów. Rohm wrócił i ponownie stanął na czele SA.

Hilda nic nie odpowiedziała. Poszła do kuchni i zaczęła przygotowywać kolację: na stół powędrowała kielbasa, wiejski ser, wędzona szynka, półmisek z gorącymi kielbaskami (jak wbijasz w skórę widelec, to może wytrysnąć woda, która cię poparzy), bułki, pumpernikiel i kiszona kapusta. Po każdym powrocie do domu Hilda zamieniała się w prawdziwą *Hausfrau*, niemal idealny przykład żony i matki, dla której liczą się tylko „dzieci, kuchnia i kościół”. Stan taki utrzymywał się zawsze przez kilka dni.

Odkorkowałem butelki przyniesione przez Eisenmanna i Hoepfnera, i postawiłem je na stole.

– Hitler nie podejmie próby kolejnego puczu – zapewniłem. – Nie po ostatniej porażce. Generałowie go nie lubią, a Reichswehra to nie jakaś tam zbieranina, tylko prawdziwi żołnierze – rozbiją SA na drobne kawałeczki.

– Zgadza się – przytaknął Hoepfner, kiedy zasiedliśmy za stołem. – I nie ma szans na zdobycie większości w wyborach. Mam nadzieję, że jego zwolennicy zniechęcą się brakiem sukcesów. Udało mu się teraz rozbudzić ich oczekiwania, ale jeśli tylko zdołamy utrzymać go w izolacji...

Przez krótką chwilę słychać było wyłącznie brzęk naczyń i szcęk sztućców, towarzyszące rozpoczęciu kolacji.

– Niezbyt dobrze zrozumiałam to, co mówiłeś o nadejściu nowego świata – odezwała się Hilda, która zawsze lubiła prowokować Hoepfnera. – Powie działać, że podobny jest już w Związku Radzieckim, a nam przyniesie

go Hitler. Co, u licha, Hitler może mieć wspólnego z komunizmem? Nienawidzi komunistów, tak jak oni jego.

– Tak, ale mam dziwne przeświadczenie, że...

– Że co?

– Że są sobie nawzajem potrzebni. Bo kogo obie strony bardziej nienawidzą? Nas, demokratów.

– Ależ komunizm to właśnie demokracja – demokracja ludu. Co do Hitlera i nazistów, to faktycznie, nienawidzą demokracji. Komunizm jest demokracją nowego świata – ile razy mam ci to powtarzać? – Uśmiechnęła się z wyższością.

Hoepfner odwrócił się raptem w moją stronę.

– Hans, pamiętasz, jak robiłeś lotnicze zdjęcia wybranych obszarów Związku Radzieckiego?

– Oczywiście.

– Oglądałeś kiedyś któreś z nich?

– Nie, film zawsze zabierano przed wywołaniem.

Sięgnął do kieszeni. – Przyniosłem kilka. Myślę, że powinieneś im się przyjrzeć.

Popatrzyłem na ziarniste czarno-białe odbitki. Biorąc pod uwagę dużą wysokość, z jakiej je robiono, ich ostrość była imponująca. Ludzie niczym mrówki wokół jakiejś budowy – olbrzymiej szramy w ziemi; dalej obóz składający się z długich drewnianych chat; i wszędzie ludzie, całe mrowie ludzi.

– Co to takiego?

– Więźniowie w obozach pracy przymusowej. Buduje się ogromne obozy, żeby pomieścić rosnące rzesze więźniów. Całe transporty są wyprawiane na statkach w nieznanym kierunku.

– Klaus, nie bądź dzieckiem – przerwała mu ostro Hilda.

– Doskonale wiesz, że nowy porządek w Rosji jest zagrożony

przez elementy wywrotowe, przez zachodnich szpiegów i reakcyjnych monarchistów. Trzeba poddać ich reedukacji, żeby zrozumieli istotę nowego ładu i odegrali właściwą rolę w budowaniu przyszłości.

– A ich liczba sięga setek tysięcy, może nawet milionów?  
– nie przestawał powątpiewać Hoepner.

– Spójrz na mapę! – zniecierpliwiła się. – Nie widzisz, jak olbrzymi obszar zajmuje Związek Radziecki? Czym jest paru malkontentów, zmuszonych do ucziwej pracy, w porównaniu z budowaniem nowego, porządnego świata? Nam też przydaliby się tacy bolszewicy, żeby i u nas zaprowadzili porządek.

Hoepner pozbiierał i pochował zdjęcia.

– Właśnie nadciągają – zapewnił. – Nazywają się partią nazistowską. – Uśmiechnął się nagle widząc, że Hilda otwiera usta do sprzeczki. – Ale nie po to tu przyszedłem, moi drodzy. Chciałem pooddychać kulturą, a nie rozmawiać o polityce. Kupiliście już może Kurtowi książkę „Emil i detektywi”? Oczywiście...

*Lipieck, 30 stycznia 1933 roku*

Nie mogłem nigdzie znaleźć Krasina. Powietrze było lodowato zimne, ale czyste, co zapowiadało, że jutrzejszy dzień będzie nadawał się do odbycia lotu. Zależało mi ogromnie, żeby ustalić z Rosjanami całotygodniowy program, a Krasin był jednym z tych, z którymi musiałem w takich sprawach rozmawiać. Cóż z tego, skoro jego pokój pozostawał cały czas pusty. Postanowiłem więc pójść do siebie i poczekać na niego; jeżeli się zjawi, zdążymy jeszcze omówić wszystko przed kolacją.

Mój niewielki pokoik mieścił się blisko kotłowni, dzięki czemu miałem przynajmniej ciepło. Im dalej od kotłowni, tym większy panował ziąb. Wzdłuż jednej ze ścian postawiłem stół warsztatowy. Spędzałem trochę czasu na robieniu modeli samolotów – po części dla rozrywki, ale również z myślą o wypróbowaniu nowych pomysłów. Uważałem na przykład, że podczas lotów przy bardzo dużych prędkościach może być korzystne zastosowanie skośnych skrzydeł i sprawdzałem na różnorodnych modelach praktyczne zastosowanie takich rozwiązań. Oczywiście, wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze o naprężeniach występujących przy takich prędkościach, cieszy mnie

w każdym razie, że miałem rację.

W pokoiku stał także radioodbiornik. Złożyłem go własnoręcznie z części pochodzących z naszego magazynu: żadne cudo, prosty zestaw lamp elektronowych i kondensatorów umocowanych na gołej listwie, przyłączony do głośnika. Mogłem jednak na nim odbierać stacje nie tylko z Niemiec, ale również z tak odległych miejsc jak Anglia czy Ameryka.

Zabrałem się do pracy i włączyłem radio. Głos z amerykańskim akcentem poinformował, że słucham WGEA, stacji radiowej, której właścicielem i operatorem jest General Electric Company z Schenectady w stanie Nowy Jork. Z głośnika leciała muzyka taneczna: piosenkarka śpiewała cichym, miękkim głosem do mikrofonu, a zebrane za nią instrumenty dęte jękliwie zawodziły. Z cienkich płatów balsy, na podstawie przygotowanych wzorników, wyciąłem żebra skrzydeł i przykleiłem je w równych rzędkach do dźwigarów, używając mikroskopijnych ilości kleju.

Czekając, aż wszystko wyschnie, zapaliłem papierosa. Ciekaw byłem, czy Krasin zjawiał się już w swoim biurze. Muzyka taneczna urwała się i jakiś głos zaczął opiewać zalety proszku, po którym pranie jest tak niewiarygodnie świeże i czyste, że żadna pani domu nie może się bez niego obyć. Kiedy jednak pełni jak najlepszych intencji głądzarze poczęli się rozwodzić nad działaniami, jakie podejmuje Administracja Robót Publicznych dla zmniejszenia skali biedy w Południowej Karolinie, postanowiłem sprawdzić, co nadaje stacja w Kolonii.

W pierwszej chwili pomyślałem, że źle się dostroiłem. W stacji kolońskiej pracowali stateczni spikerzy



o spokojnych, tchnących obiektywizmem głosach, mówiący z czystym górnoniemieckim akcentem. Tymczasem z głośnika chlustał potokiem słów jakiś fanatyk, przepełniony niezdrową, bełkotliwa radością. Był tak podekscytowany, że można go było wziąć za komentatora relacjonującego zwycięskie okrążenie Carraciolięgo z Auto-Union na samochodowym Grand Prix.

– Tysiące zapalonych pochodni... Przymaszerowali przez Bramę Brandenburską... Brunatna kolumna SA, zwycięzcy długiej, żmudnej walki, walki, która pochłonęła wiele ofiar. Błyska krwista czerwień sztandarów, na białym tle odbija się dumnie swastyka, symbol wschodzącego słońca! Wspaniały, ożywczy widok!

Oddalony tysiące kilometrów od opisywanych wydarzeń, słuchałem z niedowierzaniem. Co tam się wyprawiało, do diabła?

– Falują pochodnie... Gdzie spojrzeć, wszędzie pochodnie, morze po chodni i rozradowani ludzie! Ze stu tysięcy gardeł dobywa się radosne: *Sieg heil! Heil Hitler!*.– Zachłystując się z podniecenia, krzyczał dalej: – Oto *Führer* – tak, to jest *Führer*, nasz Wódz! Adolf Hitler, nieznany żołnierz wielkiej wojny, niepokonany bojownik, ten, który niesie sztandar wolności!

Słuchałem z rosnącym osłupieniem.

– *Führer* wybiega wzrokiem przed siebie. Myśli teraz na pewno o długich latach walki, o tych, którzy poświęcili swe życie ruchowi narodowosocjalistycznemu, o długim marszu i poniesionych trudach. A teraz – tak! Tak! Ze stu tysięcy gardeł płynie w kierunku kanclerza ogłuszający śpiew – to hymn niemiecki! Od brzegów Mozy aż po Memel niesie się głośno: *Deutschland, Deutschland, über alles!*

Kanclerz...? Adolf Hitler został kanclerzem Niemiec?

– Podobny modlitwie śpiew wznosi się aż do nieba, niczym hymn wdzięczności i radości! A oto – tak! Tak! Tłum podejmuje pieśń Horsta Wessela, bojową pieśń narodowych socjalistów!

Słyszałem ryk tłumu. Horst Wessel... Kto by pomyślał – Horst Wessel, alfons zaciukany przez konkurenta. A tłum śpiewał:

Wznieście wysoko sztandar i stańcie jednym szeregiem! Kroczą mężnie oddziały SA, aż drży ziemia pod ich stopami  
Towarzysze polegli w walce z reakcją i czerwonym wrogiem  
Idą przy naszym boku, bo duch ich jest zawsze z nami.

Horst Wessel, marny wierszokleta i alfons, który oddał życie w walce o sutenerskie terytorium...

– Sto tysięcy ramion, daleko jak okiem sięgnąć, unosi się jednym zgodnym ruchem w niemieckim pozdrowieniu. Falujący tłum pozdrawia *Führera* z wiarą i wdzięcznością. Oddaje jednocześnie hołd niezapomnianym ofiarom walki, towarzyszom poległym od kul Czerwonego Frontu i sił reakcji. Zaprawdę, ich duch kroczy dzisiaj w jednym szeregu z nami!

Komentator podniósł jeszcze bardziej głos:

– Niejedna osoba w tłumie ociera ukradkiem łzy, łzy radości i wdzięczności. „Bądź pozdrowiony, nasz *Führerze*. Bądź pozdrowiona, niemiecka ojczyzno!” – śpiewają serca wszystkich. Mała, drobna staruszka, stojąca na chodniku pośród zgromadzonych mówi to, co czuje tu każdy mężczyzna i każda kobieta, co czują mężczyźni członkowie SA i SS, maszerujący w długich kolumnach pod sztandarem ze swastyką: „Dziękuję ci, Boże Wszechmogący, że pozwoliłeś nam dożyć tego dnia!”.

Siedziałem przy radioodbiorniku całkiem zdruzgotany. Jak mogło do tego dojść? Nieznany mi aż do dzisiaj spiker ciągnął patetyczne peany, postanowiłem więc zmienić częstotliwość. Złapałem stację w Stuttgarcie, która w spokojnej, bardziej stonowanej relacji podała mi obraz tego, co się dzieje. Hitler istotnie został kanclerzem, ale jego ugrupowanie zostało tylko częścią rządu koalicyjnego, w którego skład wchodziłi ponadto nacjonałiści i konserwatyści pod wodzą Hugenberga i von Papena. Naziści objęli zaledwie dwie z jedenastu tek ministerialnych. Uśmiechnąłem się krzywo słysząc, że na jednego z ministrów w nowym rządzie powołano Göringa: grubasowi raduje się serce, że będzie kroczyć dumnie w aureoli władzy. Zastanawiałem się, jak długo koalicja zdoła się utrzymać, byłem pewny, że rozpadnie się z chwilą, gdy wszyscy zdadzą sobie sprawę, jakim nieudacznikiem jest Hitler. Przypomniałem sobie słowa Hoepnera, że wolał raczej dać Hitlerowi Krzyż Żelazny niż awansować go powyżej stopnia kaprala – który, zdaniem Hoepnera, był kresem zdolności przywódczych Hitlera.

Nieco uspokojony, wyłączyłem radio. Poczulem głód; postanowiłem, że pójdę coś zjeść, a przy okazji sprawdzę, czy Krasin już przyszedł. Aha! W oknie jego biura paliło się światło. Świetnie! Z uśmiechem na twarzy zajrzałem do pokoju Krasina.

Przestałem się uśmiechać, kiedy zobaczyłem mężczyznę w zielonej wojskowej czapce, który wbił we mnie zimne spojrzenie. Zajęty był akurat przeszukiwałem biurka Krasina. Nawet ja, choć żyłem tu niemal na zupełnym odludziu, potrafiłem bez trudu rozpoznać funkcjonariusza tajnej policji: miałem przed sobą oficera OGPU.

– Słucham? – spytał władczo.

– Przepraszam, szukam majora Krasina.

– Więzień Krasin został wczoraj aresztowany.

– Aresztowany? Za co? Czyżby się upił? – Pytanie było nie od rzeczy, gdyż Krasin kochał wódkę; jego ojciec, chłop, pędził bimber praktycznie ze wszystkiego.

– Więzień Krasin przyznał się do szpiegowania na rzecz Brytyjczyków. Przez chwilę poruszałem ustami, jak ryba wyrzucona na brzeg. Krasin szpiegiem?

– Ale... Jak to możliwe... To znaczy... przecież jest tylko oficerem łącznikowym. Co takiego, u licha, mógłby przekazać Brytyjczykom?

– Tajemnice państwowe – odparł mój rozmówca. – Przyznał się dziś rano.

– Przyznał się... Zaraz, a gdyby ktoś chciał się z nim skontaktować, to jaki mam podać adres?

Funkcjonariusz tajnej policji skrzywił usta w próbcie upiornego uśmiechu.

– Niech sobie piszą, dokąd chcą – odrzekł. – Więzień Krasin został dziś rano rozstrzelany, wydawszy wcześniej jeszcze kilku oficerów.

Wróciwszy do pokoju, wybiegłem wzrokiem w ścielącą się za oknami ciemność. Obok hangaru, w którym mieściły się bombowce nurkujące, płonęła jedna jedyna lampa. Zacząłem zbierać swoje rzeczy i pakować je w skrzynie. Coś mi podpowiadało, że nasz pobyt w Lipiecku dobiega powoli końca. W kilka dni później usłyszałem przez radio, „Apel do narodu niemieckiego”. Hitler przemawiał poważnym, wyważonym głosem, niczym prawdziwy mąż stanu. Mówił o rządzie narodowym i ani razu nie wspomniał o nazistach.

– Rząd narodowy będzie bronił podstaw, na których

opiera się siła naszego narodu. Weźmie pod swoje silne, opiekuńcze ramię chrześcijaństwo jako korzenie naszej moralności, i rodzinę jako podstawową komórkę społeczną. Stojąc ponad stanami i klasami, przywróci naszemu narodowi świadomość rasową i polityczną jedność. Chcemy oprzeć kształcenie młodzieży niemieckiej na poszanowaniu dla naszej chlubnej przeszłości i dumie z tradycji. Dlatego wydamy bezlitosną wojnę duchowemu, politycznemu i kulturalnemu nihilizmowi. Niemcy nie mogą i nie pogrążą się w komunistycznej anarchii.

Pokiwałem głową i zacząłem pakować resztę rzeczy. Tak, wszystko wskazywało na to, że niedługo zabawimy w Lipiecku.

-Czternaście lat marksizmu osłabiło nasz kraj – płynęło z głośnika. Mimo woli uśmiechnąłem się na myśl, jak wściekałby się Hoepfner z przedstawiania go jako marksisty.

– Jeszcze jeden rok bolszewickich rządów zrujnowałby nas kompletnie – słyszałem.

A więc nie ma co, chwila powrotu do domu już bliska.

*Berlin, maj 1933 roku*

Przylecieliśmy na lotnisko Tempelhof, kończąc tym samym ostatni etap naszej długiej podróży. Było ciepłe wiosenne popołudnie. Z góry widać było szerokie aleje i parki, błyszczące słońcem tafle jezior, miasto skupiające się wokół lotniska. Lotnisko Tempelhof było wtedy wyjątkowym zjawiskiem: zdawało się ucieleśniać naszą przyszłość – mogliśmy oto docierać z powietrza w sam środek największego miasta w Niemczech. Wszystko pachniało świeżością: białe pasy, budynki zaprojektowane przez Kosinę. Znałem go – był razem z Hildą w Bauhausie.

Siedziałem za sterami jednego z prototypowych *Messerchmitów*. Pokołowałem po pasie i zatrzymałem się przy jednym z szerokich, przestronnych hangarów powstałych według projektu Kosiny. Wyłączyłem dopływ paliwa i urządzenia pokładowe. Wszedłem na płytę i, przeciągając się, odetchnąłem radośnie berlińskim powietrzem. W Berlinie czuło się na każdym kroku jedyny w swoim rodzaju, elektryzujący zapach.

Nie miałem nic więcej do robienia przy samolocie – wszystkim zajęła się ekipa naziemna. Po długim locie byłem zmęczony, chciałem też jak najszybciej zobaczyć Hildę

i Kurta. Nie mogłem powiadomić ich o planowanym przybyciu. Jakakolwiek zmiana klimatu politycznego pomiędzy Niemcami i Rosją owocowała nie tylko przerwaniem współpracy, ale także wstrzymaniem korespondencji. Co się zaś tyczy rozmów telefonicznych, nie można było zadzwonić poza Lipieck, a co dopiero mówić o zagranicy.

Wziąłem bagaż i przeszedłem obok stanowisk postojowych, na których stały różnego typu samoloty: *Lockheedy*, *Junkersy* i *Handleye Page*. Kierowałem się do budynku głównego, spod którego chciałem złapać taksówkę do miasta. Kiedy wszedłem do hali dworcowej, stojący tam mężczyzna w mundurze SA popatrzył na mnie z uwagą (miałem wrażenie, że niezbyt grzecznie), jakby sprawdzał, czy mi ptak nie narobił na głowę. Wynik oględzin musiał go chyba zadowolić, bo odwrócił głowę i zaczął przypatrywać się innym przechodzącym. Nie zaprzatając sobie tym więcej głowy, dotarłem na postój taksówek.

Berlin wyglądał tak, jak zawsze: dużymi, szerokimi alejami płynął strumień pojazdów, kwitły kwiaty. Coś się jednak zmieniło. Kiedy zdałem sobie z tego sprawę, niemal wyczuwając to w powietrzu, pochyliłem się do przodu na swoim siedzeniu i zacząłem się rozglądać. Nie byłem pewny, co to może być. Rzecz jasna, wszędzie aż roiło się od nazistowskich flag, podczas gdy czarno-czerwono-złote sztandary republiki wydawały się zupełnie nieobecne: naziści zawsze nienawidzili barw liberalnych wizjonerów z 1848 roku. Na każdym kroku widziało się mnóstwo esesmanów, ale przecież od 1929 roku stale ich było pełno.

Zaraz... Ani śladu czerwonych!

Nie dostrzegłem nigdzie towarzyszy spod czerwonego

sztandaru, zniknęły gdzieś dzieci Czerwonego Sokoła. Nieobecność komunistów z KPD była tym, co rzucało się w oczy – przynajmniej mnie. Dojechawszy w pobliże domu, wysiadłem i zatrzymałem się przy kioskarzu w płóciennej budzie z gazetami i czasopismami.

– *Heil Hitler* – powitał mnie znużonym głosem.

– I wzajemnie – odparłem. Rozejrzał się na wszystkie strony, jakby sprawdzał, czy nikt nie słyszał.

Miał bardzo ubogi wybór tytułów. Podobnie jak na ulicach, tak i na jego półce nie sposób było znaleźć czegoś, co by chociaż trącało o kolor różowy. Nieobecne były „Die Linkskurve” i „Internationale”, rzucał się za to w oczy „Der Angriff” ze swym krzykliwym czerwonym emblematem: jego nagłówki wrzeszczały coś o Żydach. Przechyliłem głowę i przeczytałem: „Żydzi chcą zabić Hitlera”. Wydawca gazety, Paul Josef Goebbels, był współpracownikiem Hitlera. „Rotę Fahne” było nie bardziej widoczne niż ślady istnienia KPD. W przeciwieństwie do „Völkischer Beobacher”, organu nazistów, którego duża piramida spoczywała obok należącej do SA gazety „Sttirmer” i szmatławca „Das Schwarze Korps”, który widziałem pierwszy raz na oczy. Ten ostatni zamieszczał rysunek, na którym papież, zadarłszy do góry szaty, dosiadał od tyłu ministranta.

– Niewielki u pana wybór – poskarżyłem się.

Stary kioskarz obejrzał mój bagaż i wyciągnąwszy wniosek z faktu, że wysiadłem z taksówki obsługującej pasażerów z lotniska Tempelhof, powiedział:

– Musiał pan daleko wyjeżdżać.

– A co to ma do rzeczy?

– *Gleichschaltung* – wyjaśnił bezbarwnym głosem.

– Podporządkowanie jednej linii? Czyjej?



Zrogowaciały, poplamiony farbą drukarską paluch trącił małą nazistowską flagę, która stała na półce przed kioskarzem.

– Kogo to dotyczy?

– Wszystkich – odparł.

Zauważyłem u niego kilka egzemplarzy „Vossische Zeitung”, gazety kulturalnej, która wychodziła od dwustu pięćdziesięciu lat i urosła do rangi instytucji. Nie ukrywając rozdrażnienia, postanowiłem ją kupić. Wszyscy znali ją jako „Ciotkę Voss”.

Przeszedłem spacerkiem do swojej kamienicy, korzystając z zadowoleniem z okazji do rozprostowania nóg. Dzwonek u drzwi rozbrzmiał znajomym tonem, ale nikt nie otwierał. Posłużyłem się własnymi kluczami. W mieszkaniu panowała kompletna cisza: nie było ani Hildy, ani Kurta. Wyczułem lekką duchotę, otworzyłem więc drzwi balkonowe.

Dobrze było znaleźć się z powrotem w domu. Postawiłem bagaż na podłodze i obszedłem mieszkanie. Hilda powiesiła na ścianach ostatnio zdobyte reprodukcje i oryginały autorów takich jak: Dix, Beckmann, Reiderscheidt. Na talerzu gramofonu leżała płyta Weintrauba „Synkopy”. Była nieco zakurzona, przetarłem ją więc ostrożnie i puściłem. W pokoju rozległy się dźwięki jazzu; słuchając ich czułem się jak kwiat ożywający w wodzie. Rosjanie nie pochwalali takich nowości.

Półki na książki pozostawały nadal zapełnione. Jack London stał grzbiet przy grzbiecie z Wilhelmem Speyerem i Markiem Twainem, Erich Kastner sąsiadował z Tomaszem Mannem i Uptonem Sindairem. Feuchtwanger, Tucholsky i Neumann, Erich Maria Remarque, Romain Rolland, Arnold

Zweig...

Zegar ścienny, stworzony z różnych części reprezentujących nowoczesną technologię przemysłową, wybijał w widoczny choć bezgłośny sposób sekundy. Zastanawiałem się, gdzie mogą być Hilda i Kurt; jeśli Hilda wplątała się w miłosną przygodę (na przykład z jakimś innym *der Trommkr* – doboszem, tyle że lewicy), to może mi przyjdzie trochę poczekać. Jako mąż okazałem się całkowitym niewypałem. Polityczne poglądy, które tak podniecały Hildę i jej przyjaciół, mnie przyprawiały o nudę. *Neue Sachlichkeit* – nowa, bujnie wykwitła kultura we wszystkich jej przejawach, która jaśniała z niezwykłą wprost intensywnością w Weimarze, była dla Hildy całym życiem. Znaczyła dla niej więcej niż małżeństwo z przebrzmiałym bohaterem wojennym, inżynierem i pilotem oblatywaczem.

Tak naprawdę łączyło nas tylko wspólne mieszkanie. I syn, któremu każde z nas poświęcało znacznie mniej czasu, niż powinno. Kurt przebywał teraz najpewniej u Klary, siostry Hildy: podrzucała go do niej, ilekroć wiązała się z jakimś mężczyzną. Jej miłostki były równe pasji, z jaką wyczekiwała na nadejście spodziewanego przez nią nowego świata: dopóki trwały, pochłaniały ją bez reszty. Potem, jak u alkoholika, przychodziło chwilowe otrzeźwienie. To, czego Hilda szukała – cokolwiek to było – nie mogła znaleźć u mnie. Ale nie znajdowała tego również u swych kochanków – jeśli ich częsta wymiana mogła o czymś świadczyć. Porażki nie zniechęcały jej wszakże do dalszych poszukiwań.

Usiadłem na sofie i zacząłem przeglądać „Ciotkę Voss”. Zdecydowałem, że jeśli w krótkim czasie nikt się nie zjawi,

pójdę do góry sprawdzić, czy jest u niej Kurt.

Przy lekturze gazety doznałem tego samego uczucia, jakie towarzyszyło mi podczas przejazdu taksówką przez miasto. Po prostu jej nie poznawałem. Pod koniec numeru, po komentarzu społecznym Belly Fromm, natrafiłem na kolumnę, w której pod hasłem ZATRZYMANI ciągnęła się lista nazwisk. Niektóre nie były mi obce – w czasie mej ostatniej bytności w Berlinie ludzie ci pełnili ważne funkcje.

Znalazłem również inną listę, poprzedzoną nagłówkiem. ZAKAZANE. Musiała mieć coś wspólnego z instytucją, o której nigdy przedtem nie słyszałem, a która nazywała się Ministerstwem Ludowej Oświaty i Propagandy. Wyglądało na to, że na czele owego ministerstwa stoi redaktor naczelny gazety, Goebbels, nazistowski krzykacz i antysemitowski podżegacz. Zaczynałem mieć istny mętlik w głowie. Co tu się, u diabła, dzieje? Wariaci objęli we władanie dom wariatów! Wykaz pod nagłówkiem „Zakazane” zawierał część gazet, których próżno szukałem w kiosku.

Na koniec, przy nekrologach berlińskiej gminy żydowskiej, znalazłem mały dopisek: „Zastrzelony podczas próby ucieczki”. Z treści nekrologu wynikało jasno, że wypadek miał miejsce w okolicach Monachium, w czasie próby ucieczki z miejsca zwanego Dachau.

Odłożyłem gazetę, zdjęty niepokojem. Postanowiłem poratować się kieliszkiem czegoś mocniejszego. Nasza nowoczesna, wyłożona ceramiką lodówka zawsze mieściła zapas wina i piwa.

Nie zawiodłem się i tym razem. Znalazłem także żywność, tyle że pokrytą zielonkawą pleśnią.

Hilda i Kurt przebywali poza domem znacznie dłużej, niż

początkowo sadiłem.

Momentalnie pomyślałem o Eisenmannie i Hoepnerze: oni na pewno będą wiedzieć, co się stało. Chwyciłem słuchawkę, ale odpowiedziała mi głucha cisza: linia była odcięta. Zszedłem do holu, gdzie znajdowały się skrzynki na listy: wśród korespondencji sprzed tygodni były również nie zapłacone rachunki.

Zaczynało się ściemniać. Zamknąłem mieszkanie i wyszedłem. Eisenmann mieszkał niedaleko.

Dotarłem do solidnej, pamiętającej czasy Cesarstwa kamienicy i, wspiąwszy się po schodach, zadzwoniłem. Odpowiedziała mi cisza. Pomyślałem, że gospodarza nie ma w domu, ale zadzwoniłem ponownie i tym razem usłyszałem czyjeś ciężkie kroki zbliżające się do drzwi. Otworzył je Eisenmann. Miał na sobie płaszcz i kapelusz, w ręku trzymał walizkę. Błady jak ściana, odetchnął z ulgą na mój widok. W poję płaszcz powpinał swoje odznaczenia wojenne.

– To ty, Hans... – Postawił na podłodze walizkę. – Wejdz, wejdz – poprosił i zaczął zdejmować trzęsącymi się rękami płaszcz.

– A myślałeś, że kto? spytałem, zamykając za sobą drzwi.

– Funkcjonariusze policji pomocniczej.

– Do diaska, a co to takiego ta „policja pomocnicza”?

– Młode rzezimieszki, których dawna policja wsadzałaby do aresztu. Teraz oni aresztują nas. Mówię o SA.

– Słuchaj, dopiero co wróciłem z Rosji. Powiedz mi, co tu się wyrabia?

– Któregoś wieczoru, kilka dni temu zajrzałem do Osieckiego – zaczął z siebie wyrzucać. – Chciałem się czegoś napić i przejrzeć trochę papierów przed pójściem do domu.

Mieszczący restaurację i bar lokal „U Osieckiego” był ulubioną knajpą Hsenmanna, do której zachodził od lat.

– Przy stoliku obok mnie siedziało parę brunatnych koszul: *Stumfuhrm*, ktoś z dowództwa okręgu, dziennikarz z „Der Angriff”. Pili razem, ale zajęty swoją pracą nie zwracałem na nich uwagi. Zamówiłem kufel piwa i pracowałem dalej. Podszedł do mnie kelner; zmieszany i blady na twarzy, podał mi kartkę od brunatnych koszul, na której stało czarno na białym: WYNOŚ SIĘ PLUGAWY ŻYDZIE Gapili się na mnie wyzywająco. Wyobrażasz sobie, „U Osieckiego”.

Opadł na skraj sofy i zapatrzył się w ścianę, wspominając tamten wieczór.

– Wynoś się, plugawy Żydzie... – wyszeptał. – Po prostu się wściekłem! Znam takich, jak oni – zwykła hołota, w życiu niczego dobrego nie zrobili. No więc nie wytrzymałem, Hans. Skoczyłem na równe nogi, czerwony jak burak, i krzyknąłem w ich stronę: „Mówicie do weterana wojennego! Byłem dwukrotnie ranny – pod Sommą i pod Verdun! Zostałem odznaczony Krzyżem Żelaznym I i II klasy! Nie mam zamiaru wysłuchiwać obelg od takich jak wy!”. Pokazałem kartkę innym gościom, ale oni zmieszali się tylko i milczeli jak zakłęci. Słyszeć było jedynie szcęk naczyń z kuchni. Wtedy *Stumführer* wstał i ryknął: „Wynoś się stąd, żydowska świni! A może mamy cię wyrzucić?”. Jego kumple zarechotali, a pozostali goście wbili spojrzenia w kufle i talerze. No więc zabrałem się i wyszedłem, Hans. Po powrocie do domu wysłałem Irmę z dziećmi do Greifswaldu, do jej rodziców. Ja zostałem, bo muszę pilnować interesu, ale boję się...

– Hilda zniknęła gdzieś razem z Kurtem – powiedziałem

otępiałym głosem. – Wygląda na to, że trwa to już kilka tygodni.

– O, nie! Sam widzisz, Hans, brunatne koszule wyzywają się na wszystkich, których nie lubią.

– Ale jak to możliwe? Przecież nie było żadnego puczu, żadnej rewolucji? Wiem, że Hitler został kanclerzem, ale mamy przecież jeszcze rząd.

Popatrzył na mnie z politowaniem.

– Nie słuchałeś Hitlera? Wystarczająco często powtarzał: „Kiedy zdobędziemy władzę konstytucyjną, przekujemy państwo na kształt, jaki sami uznamy za właściwy”. I to się teraz dzieje, Hans.

– Ale gdzie mogą być Hilda i Kurt? Pokręcił głową.

– Nie wiem. Hilda była artystką i członkinią KPD – po takich właśnie dzisiaj przychodzą. Może zdołała uciec? Może zabrała ze sobą Kurta i przy czaili się gdzieś? Niewykluczone, że da o sobie znać.

– Odcięli nam telefon – zasępiłem się. – Pójdę uregulować zaległe rachunki, wtedy będzie mogła przynajmniej zadzwonić, jeśli oczywiście masz rację.

– Dobry pomysł. Popytaj też wśród sąsiadów i jej przyjaciół.

– Ma tu siostrę, przejdę się do niej.

– O, właśnie. Powodzenia, Hans.

Gdy wychodziłem, siedział na sofie w ciężkim granatowym płaszczu, ozdobionym medalami błyszczącymi niczym piórka zimorodka i wpatrywał się tępym wzrokiem w ścianę.

Hoepfner... Wychodząc pomyślałem o Hoepfnerze, który był zawsze najlepiej poinformowany; skierowałem więc kroki do miejsca, gdzie mieszkał niedaleko

Wilhelmstrasse. Kiedy zadzwoniłem do drzwi i otworzył je Hoepfner, doznałem kolejnego wstrząsu: miał na sobie mundur kapitana rezerwy Reichswehry.

– Hans, wchodź, wchodź – powitał mnie krótko. Bez słowa otworzył w kuchni dwie butelki piwa i podał mi jedną.

– Co to ma znaczyć? spytałem, wskazując na mundur.

– Barwy ochronne – odparł zwięźle, nie kryjąc cynizmu.

– Większość ludzi chroni się pod nimi w takiej czy w innej formie.

– Wracam właśnie od Eisenmanna. Od niego wiem, że Hitler i jego ludzie przejęli władzę.

– Zgadza się. Hitler przeprowadza swoją rewolucję tak jak zawsze tego chciał, czyli mając po swojej stronie organa władzy państwowej – i za późno już, żeby coś z tym zrobić. Zresztą większość ludzi jest zbyt przerażona, a wielu myśli, że to tylko faza przejściowa. Do tego naziści uderzają w ton „narodowego odrodzenia”, zapewniają, że skończy się bezrobocie, a kraj odzyska utraconą dumę.

– Zniknęła Hilda z Kurtem.

– Ooo! No tak... – Spojrzał na mnie z ponurą miną. – Udało jej się wydostać czy ją złapali?

– Nie wiem, dopiero co wróciłem. W każdym razie wygląda na to, że nie ma jej od paru tygodni.

– Postaraj się dowiedzieć, czy się gdzieś ukrywa, jeżeli okaże się, że nie, spróbuj ustalić, kto ją zabrał. Trzeba wziąć pod uwagę kilka możliwości. Bardzo prawdopodobne, że aresztowali ją ludzie Röhma z SA. Ale również decyzję mógł wydać Goebbels; jako nowy minister kultury to on określa, co jest dobre, a co nie – a każdy, kto ma coś wspólnego ze starym porządkiem, spisany zostaje na straty. Jest jeszcze

nowy organ – dowodzona przez Göringa tajna policja, czyli Gestapo. Ich siedziba mieści się przy Prinz Albrechtstrasse. No i wreszcie chłopcy w czarnych mundurach, czyli SS; ich czas właśnie nadchodzi, zapamiętaj moje słowa. Jeszcze usłyszymy o tym małym kuternodze Himmlerze.

– Spotkałem go przed wielu laty na uniwersytecie.

– No to spróbuj pociągnąć za parę sznurków – podchwycił Hoepfner. – Latałeś także razem z Göringiem; jeśli się okaże, że Hilda została aresztowana, zacznij może od niego.

– Słusznie. Poznałem też kiedyś Röhma – wtedy, w zamku, kiedy prosiłeś mnie, żebym cię informował o poczynaniach Freikorpsu. Boże, wydaje się, że to było tak dawno!

– Posłuchaj mnie uważnie: bez względu na to, do kogo pójdziesz, najpierw zapewnij sobie członkostwo w partii. Cokolwiek będziesz załatwiał, noś na ramieniu opaskę.

– Rozumiem...

Nagle poczułem się wyzuty ze wszystkich sił: w końcu spędziłem osiem godzin za sterami samolotu. A teraz czekało mnie jeszcze telefonowanie. W restauracji niedaleko naszego mieszkania była budka telefoniczna: doszedłem do wniosku, że pójde coś zjeść i stamtąd wykonam niezbędne telefony.

Pożegnałem się z Hoepfnerem i poczłapałem na ulicę. Krocząc w świetle latarni dotarłem do swojej kamienicy, minąłem ją i doszedłem do świateł restauracji.

Niespodziewanie z ciemności coś wypadło na mnie.

– Tato, tato!

To był Kurt. Pochyliłem się i przytuliłem go mocno. – Gdzie się podziewałeś, synku?



– Byłem u cioci y. Mama kazała mi do niej pójść.  
– A gdzie mama? – spytałem niespokojnie.  
– Przyszli po nią wczesnym rankiem. Zdążyła mnie ukryć, a ją zabrali.

Rohm niewiele się zmienił. Za to żyło mu się teraz znacznie lepiej – zajmował ładne mieszkanie w dzielnicy dla dyplomatów, na południe od Tiergarten. Należące do poprzedniego właściciela renesansowe obrazy wciąż wisiały na ścianach, a obite jedwabiem meble nadal wypełniały wnętrza.

Rohm siedział za biurkiem swego poprzednika.

Niepozornej postury, był teraz nieco bardziej czerwony na twarzy, niż kiedy widziałem go ostatnim razem. Blizny po kulach wciąż przecinały mu policzki, a kark miał gruby jak dawniej. Wprowadził mnie do niego służący o blond włosach w mocno dopasowanym mundurze SA. Rohm wbił bezwstydnie spojrzenie w krocze chłopca.

– Tak sądziłem, że to ty warknął, przenosząc na mnie uwagę, gdy chłopak wyszedł. – Nigdy nie zapominał raz widzianej twarzy. Byłeś z nami wtedy na zamku, kiedy Hitler chciał posłuchać muzyki Wagnera, zgadza się? Co mogę dla ciebie zrobić? Gdzie się podziewałeś przez te wszystkie lata?

– Latałem – odparłem sucho. – Pracowałem w Rosji nad rozwojem nowych myśliwców i *Stukasów*. Właśnie stamtąd wróciłem.

Jego małe świńskie oczka zajaśniały zadowoleniem.

– *Ja!* – krzyknął. – Byłeś asem pilotażu. Tym lepiej dla ciebie. Przybyłeś, żeby wziąć udział w budowie nowych Niemiec. Pokażemy im nareszcie! Zanim dopniemy celu, polecą jeszcze parę głów! To dopiero początek, Wolff.

Nadchodzi druga rewolucja, a my, SA, staniemy na jej czele. Przetrawimy karki tym wszystkim wielkopańskim kołtunom, tym różnym „vonom” i fanfaronom. Złamiemy chciwych pieniędzy kapitalistów, jak to zrobiono w Rosji. Przyjdzie im żebrać na ulicach, a członkowie SA opływać będą w luksusy w swoich wielkich domach. O, tak, to dopiero początek!

Nosił taką samą opaskę jak moja, ale był do tego w pełnym umundurowaniu z dystynkcjami dowódcy SA. Miał pod swoimi rozkazami trzy miliony ludzi i był prawdopodobnie potężniejszy niż dowódca Reichswehry.

– Wróciłeś, żeby do nas dołączyć? – Nie czekając na odpowiedź, ciągnął szorstkim, szybkim tonem: – Ze mnie prosty człowiek: albo ktoś jest ze mną, albo przeciwko mnie. Kocham żołnierzy, nienawidzę cywilów. Kocham mężczyzn, ale nie cierpię kobiet. Chcesz wiedzieć od czego zaczęło się gnicie w Weimarze? Od kobiet. To właśnie sprawka demokracji, bo demokracja pozwala kobietom na zajmowanie wysokich stanowisk. Dlatego zresztą mogliśmy cały ten bajzel tak łatwo obalić! Dla kobiet jest tylko jedno miejsce: na plecach, kiedy rodzą chłopców, z których wyrosną żołnierze. – Rzucił mi spojrzenie spod ściągniętych brwi. – Jesteś jednym z nas? – rzucił pytająco.

Podniosłem ramię, pokazując swastykę.

– Nie o to chodzi – zniecierpliwiał się. – Rozumie się samo przez się, że jesteś nazistą. Moje pytanie brzmi, czy jesteś jednym z nas? Stwarzamy nowy porządek, wyższą formę człowieka. Moi chłopcy mają w sobie dumę i butę, potrafią pić i walczyć na zabój. Tłuką szyby i ludzkie łby dla samej przyjemności. Mogą zabić, zmasakrować, a potem słodko spać w łóżkach. Mężczyźni tacy jak ja. Mężczyźni, którzy kochają mężczyzn, nie kobiety. Heteroseksualiści są za

miękczy, nie nadają się do tego. Czy Aleksandrowi Wielkiemu stawał kiedykolwiek fiut na widok kobiety? Oczywiście że nie! A Fryderykowi Wielkiemu? Nigdy! Lubił dźgać od tyłca, tak jak ja. Otworzyły się drzwi i służący wsunął głowę do środka..

– Samochód czeka – oznajmił. Rohm skoczył na równe nogi. – Przyjdź do mnie, kiedy się zdecydujesz. Wybierzemy się razem, żeby rozwalić parę łbów. – Jego dłoń pomknęła do krocza chłopca. – Może pozwolę ci nawet przelecieć Ernsta – zakończył.

Göring był jeszcze większy i grubszy: miał na sobie mundur rodem z krawieckiej pracowni teatralnej, w którym zmieściłoby się pewnie dwoje normalnych rozmiarów ludzi. Medale falowały mu na piersiach blaskiem chwały. Na mój widok zaniósł się rubasznym śmiechem i objął mnie w niedźwiedzim uścisku. Bił od niego zapach wody kolońskiej.

– Gdzieś ty się, do diabła, podziewał? – ryknął. – Nie czas teraz, żeby bohaterowie kryli się po kątach! Trzeba brać i chwycić swoje!

– Byłem w Rosji. Zajmowałem się nowymi samolotami.

– A, tak... Udet wspominał o tym. A więc słuchaj: mamy nowe siły powietrzne – Luftwaffe. Pod moim dowództwem! Potrzeba mi dobrych ludzi. Przyjdiesz do mnie.

– Oczywiście...

Patrzyłem na swego rozmówcę, którego ktoś mógłby mylnie wziąć za wesołego grubaska. Miałem przed sobą pana Prus, a Berlin leżał w Prusach. Wiele spośród osób, które przepadały bez wieści, zniknęło dlatego, że on, Göring, kazał je zamknąć. To jego samochody hamowały z piskiem opon wczesnym rankiem, wyrzucając z siebie agentów

i wsysając osłupiałe, przerażone ofiary. Piwnice Colombia Haus, gdzie ofiary krzyczały, płakały i odpowiadały na stawiane im pytania, należały do dowodzonego przez Göringa Gestapo.

Opowiedział mi to wszystko Hoepfner, zanim od niego wyszedłem. Sam Göring nie czynił zresztą żadnej tajemnicy z tego, co robił. Potrafił stanąć na forum publicznym i powiedzieć: „Kula wystrzelona z lufy policyjnego pistoletu to moja kula. Jeżeli nazywacie to morderstwem, to ja jestem mordercą”.

– Przychodzę do ciebie z prośbą – zacząłem. – Jak pilot do pilota.

– O co chodzi?

– Moja żona zniknęła. Wygląda na to, że kiedy byłem w Rosji, została aresztowana.

Popatrzył na mnie uważnie. Jego ukryte w fałdach tłuszczu oczy zrobiły się w jednej chwili zimne.

– Jestem pewny, że wzięto ją za kogoś innego – rzekłem dobitnie. Uśmiechnął się nagle od ucha do ucha, zmieniając się na powrót w wesołego obwiesia.

– Zawsze byłeś głupkiem, Hans. Nigdy nie potrafiłeś wyciągać właściwych wniosków. Ale za to jakim byłeś lotnikiem! – Chwycił słuchawkę jednego z telefonów, które zagracały jego olbrzymie biurko. – Daj mi Dielsa – warknął. Spojrzał na mnie pytająco. – Jak się nazywa twoja żona?

– Hilda, Hilda Wolff.

– Powiedz mi, Rudolf – Göring przybrał uprzejmy ton – czy mamy u siebie kogoś takiego jak Hilda Wolff? Oddzwon do mnie.

Siedziałem wśród operetkowej dekoracji, którą Göring nazywał swoim biurem, podczas gdy on, zajmując się

papierami, wydawał potoki rozkazów. Wreszcie ponownie odezwał się telefon. Göring wysłuchał informacji w całkowitym milczeniu i odłożył słuchawkę. Zatopił we mnie wzrok.

– Nie mamy jej – wyjaśnił. – Ale wiem, kto ją zgarnął: Himmler, jego esesmani posadzili ją na polecenie Goebbelsa. Nie powiedziałaś mi, że jest komunistką.

– Jest artystką – odparłem stanowczo.

– No cóż, Goebbels nie lubi artystów – wymiata ich jak śmieci.

– Gdzie ją trzymają?

– W obozie pod Monachium, nazywa się Dachau.

– Jak mogę ją stamtąd wydostać?

Göring potarł w zamyśleniu jeden z licznych fałdów podbródka.

– Nic nam to nie da, jeśli ja sam zwrócę się do niego w twoim imieniu, bo ten mały pokręcony fiut szczerze mnie nienawidzi. Ale zaraz, przecież Himmler był na uniwersytecie w tym samym czasie, co ty. Znałeś go?

– Fechtowałem się kiedyś z kimś, komu sekundował.

Göring walnął w blat biurka dłonią wielkości szynki. – No to jesteśmy w domu! W przyszły weekend wydaję przyjęcie w mojej nowej posiadłości Karinhall nad Schönheide. Urządzimy sobie małe polowanko. Himmler też tam będzie. Nie myśl, że ten mały kuternoga pali się do tego. Na widok krwi gnojek dostaje skrętu kiszek! Ale nie będzie stać z boku, kiedy nadarza się okazja do zbicia politycznego kapitału. Himmler i Goebbels – niezła para! No to załatwione! Przyjdiesz i spróbujesz go jakoś podejść.

– Dziękuję ci – powiedziałem od serca.

– Będiesz moim dłużnikiem – spuentował pogodnie

i szczerze. Obejrzał mnie, jakby się nad czymś zastanawiał. – Powinno ci dobrze pójść. Himmler niewiele się zmienił: nadal chudy jak szczapa, wciąż przypomina urzędnika bankowego i nie ma głowy do alkoholu. Ma kota na punkcie typów nordyckich, wiesz, facetów podobnych do ciebie: blond włosy i niebieskie oczy. Otacza się młodymi mężczyznami o takiej urodzie, każdy o głowę wyższy od niego. No i, oczywiście, podlizuje się jak może *Führerowi*. Cóż, Adolf lubi, gdy się przed nim płaszcą; nie ma rady, wszyscy musimy się z tym pogodzić.

Zmarszczył czoło, usiłując sobie coś przypomnieć. – Zdaje się, że masz syna?

– Tak. Kurt ma dwanaście lat, to już prawdziwy dryblas.

– Blondyn o niebieskich oczach? Skinąłem głową.

– To mamy rozwiązanie! – rozpromienił się. – Himmler nie uwierzy, że twoja żona jest komunistką, skoro wydała na świat takiego potomka. Zabierz go ze sobą, będzie stanowił żywy dowód.

– Dziękuję, tak zrobię.

– Słyszałeś nowy dowcip, jaki o mnie krąży? – spytał z radosnymi błyska mi w oczach.

– Który?

– Spóźniam się na umówiony lunch z angielskim premierem. W końcu wpadam i już od progu krzyczę: „Przepraszam, sir George, ale wybrałem się trochę postrzelać”. Sir George spogląda na mnie i z twarzą jak maska mówi: „Na zwierzęta, jak przypuszczam?”. Dobrze, co?

Klepnął się w grube udo, rycząc z uciechy. Zaśmiałem się do wtóru – cóż, nigdy nie zaszkodzi.

– „Na zwierzęta, jak przypuszczam?”... Tak, Hans,

oczyściliśmy ten kraj jak się patrzy.

Przyszło mi do głowy, że dobrze będzie, jeśli zacznę zbierać powszechnie krążące dowcipy o Göringu. Nalał mi wódki i pochłonałem ją jednym haustem. Hermann nie lubił ludzi o słabej głowie.

*Karinhall nad Schönheide*

Był cudowny poranek. Pod drzewami otaczającymi domek myśliwski Göringa służba rozstawiała stoły pokryte długimi białymi obrusami. Czyste powietrze przesycone było zapachem sosen; lasy ciągnęły się na przestrzeni wielu kilometrów, przecinane urokliwymi polankami i jeziorami. Dzika przyroda, doglądana przez całe zastępy leśników i łowczych, rozwijała się bujnie. Domek myśliwski przebudowywany był właśnie na pałac, a cały teren przekształcano w olbrzymią posiadłość. Zewsząd dochodziły odgłosy piłowania i stukania młotkiem. Ambicjom budowlanym Göringa nie było końca: na obrzeżach posiadłości wznoszono mały ogród zoologiczny.

Oddaliśmy się już od domku i dotarliśmy do miejsca, gdzie miało odbyć się polowanie. Nasz gospodarz prezentował się nader okazale w białej koszuli przypominającej namiot, grubych zielonych bryczesach myśliwskich i butach po kolana. Jego wygląd przywodził na myśl ruszającą się beczkę.

Kurt i ja mieliśmy na sobie skórzane krótkie spodnie z szelkami, do tego białe skarpety i koszule tegoż koloru. Mimo prostego wiejskiego ubioru, nosiliśmy obaj na



ramionach opaski. Powiedziałem synowi wyraźnie, że jeśli mamy odnaleźć Hildę i doprowadzić do jej uwolnienia, to musimy upodobnić się wyglądem do pozostałych – Kurt był na tyle dorosły, by to w mig zrozumieć.

Göring omawiał szczegóły polowania ze swoim głównym łowczym. Na nasz widok podniósł rękę, dając znać, żebyśmy podeszli. Niewiele dalej stał Himmler. Był ubrany tak samo jak ja i wyglądał jak biurowy archiwista bawiący na wakacjach. Wydawał się zadowolony z tego, że znalazł się tutaj; rzucał oczami na wszystkie strony i wygłaszał uwagi do otaczającego go szczupłego grona słuchaczy, wypełniając raz po raz świeżym powietrzem swą wątłą klatkę piersiową. Ku swemu zaskoczeniu, zauważyłem też obecność Hubera. Dawny żołnierz Freikorpsu wystroił się bezkompromisowo w czarne jak sadza bryczesy i brunatną koszulę SS. Buty lśniły mu jak lustro. Stał zadowolony z siebie – *alte Kampfer*, który po wszystkich latach walki otrzymał należną mu nagrodę.

– No, chodźmy. – Göring pociągnął mnie za sobą. – Podejdę z tobą. Możesz wybrać się z nim na spacer: woli chodzić po lesie i oglądać ptaszki, pszczołki i kwiatki, kiedy prymitywy, czyli my, bierzemy się do prawdziwie męskiej roboty. Hej, Heinrich, zechciej poznać mojego starego druha, Hansa Wolffa. Lataliśmy razem u Richthofena.

Ukryte za binoklami stalowoniebieskie oczy krótkowidza przeszły mnie jak paciorki. Nagle Himmler uśmiechnął się sztywno.

– Ależ ja pana znam! – wykrzyknął. – Czyż nie poznałem pana na uniwersytecie, Herr Wolff?

– Tak. Stoczyłem szermierczy pojedynek, w którym pan był sekundantem mojego przeciwnika wyjaśniłem,

uśmiechając się.

– No właśnie. – Przeciągnął dumnie palcem po bladych szramach na policzku. – Niedługo po panu ja również stoczyłem walkę.

– Czy mam panów zostawić, żebyście mogli raczyć się nawzajem wojennymi opowieściami? – odezwał się jowialnie Göring. Zdawało mi się, że wyczułem nutę ironii – dobrze wiedziałem, że Himmler nie oglądał wojny nawet z daleka. – Chcesz się wybrać na spacer, Heinrich? To uważaj na siebie, bo my tam będziemy strzelać. Żebym cię przypadkiem nie wziął za rączego jelenia!

Oddalił się swym kaczym chodem po strzelbę, ale na odchodnym odwrócił się jeszcze do mnie i dopowiedział z chichotem:

– Albo za szaraka. Miłego spaceru, Hans.

– To pana syn? – zainteresował się Himmler.

– Tak. Kurt, przedstawiam ci pana Himmlera, *Reichsführera* SS. Kurt ukłonił się jak należy. Himmler zastygł w pełnej podziwu pozie.

– Ma pan powód do dumy! – wykrzyknął do mnie. – Cóż za wspaniały nordycki narybek! – zachwycił się. – Szeroki w barkach, wąski w biodrach, blond włosy. I ta błyszcząca skóra, różowa od płynącej pod nią krwi, i jasne, władcze oczy. Gratuluję, Hans. Czy mogę tak cię nazywać? Twój syn jest reprezentantem nowego królewskiego gatunku pośród rodzaju ludzkiego!

Twarz rozbłysła mi radością.

– Dziękuję! – powiedziałem wylewnie. – Jego matka i ja jesteśmy tacy sami – dorzuciłem pośpiesznie. To powinno ruszyć sprawę, pomyślałem.

– *Komm, komm!* – Himmler klasnął w dłonie, skupiając

momentalnie uwagę swoich akolitów. – Przejdźmy się po lesie, podczas gdy nasz gospodarz będzie wybijał jego mieszkańców. Pójdiesz z nami, Hans? Świetnie.

Ruszyliśmy ścieżką między drzewami, wzdłuż malowniczego strumyka o porośniętych kwiatami brzegach. Spostrzegłem, że krocę obok Hubera.

– Miło pana znowu widzieć, kapitanie. – Huber wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Byłem w Rosji – wyjaśniłem. – Pracowałem nad nowymi samolotami.

– Ach, tak?

– Zdawało mi się, że jesteś w SA – spostrzegłem.

– SS to dobra formacja – odrzekł. Klepnął się po obszytym srebrnymi nićmi epolecie. Naszywki na kołnierzyku były pokryte tajemnymi wyobrażeniami gwiazd i girland. – Niech pan tylko popatrzy: *Stumbannfuhrer*. Ja, dawny żołnierz frontowy. I mogę zająć jeszcze dalej, bo szef pnie się wysoko. Nic dziwnego, cieszy się przecież łaskami wielkiego wodza.

Himmler, w towarzystwie jednego ze swych adoratorów, zatrzymał się i zaczął zrywać liście jakiejś rośliny.

– Co to za jedni? – ściszyłem głos.

– Ten przy Himmlerze to zielarz – robi lekarstwa z ziół. Tamten nazywa się Hanussen, jest astrologiem i przepowiada mu przyszłość. Ten trzeci jest profesorem i specjalistą do spraw rasy. – Wyszczerzył zęby w uśmiechu. – A ja jestem jego ochroniarzem.

– Astrolog? – spytałem z niedowierzaniem.

– Ależ tak. – Spojrzał na mnie z cynicznym uśmieszkiem. – Słyszałem, że jest bardzo dobry. Któregoś dnia w lutym miał widzenie: ujrzał ohydny zbrodnię popełnianą przez

komunistów, szalejące płomienie, pożar, który ogarnie cały świat.

– I co?

– Następnej nocy spłonął Reichstag – poinformował Huber z kamienną miną. – Złapaliśmy wszystkich bolszewików, którzy dopuścili się tej zbrodni.

– To się nazywa widzenie przyszłości – przytaknąłem.

– Hans! – przywołał mnie Himmler. – Powąchaj to.

Wyciągnął do mnie garstkę jakichś pokruszonych liści i w nozdrza uderzył mnie ostry zapach. – Wiesiołek! – zakrzyknął triumfalnie. – Przy pierwszych oznakach przeziębienia zrób napar i wypij, a choroba minie jak ręką odjął.

– Zapamiętam to – odparłem grzecznie.

– Oto miejsce, gdzie można znaleźć lekarstwa na wszystkie dolegliwości: czysta, schludna wiejska okolica.

Zaczęliśmy znów posuwać się ścieżką.

– Na wszystkie – powtórzył z naciskiem. – Tutaj, gdzie bije serce narodu, w wiejskiej ciszy, życie jest czyste i ludzie są czysti. To miasto prowadzi ludzi do zgnilizny i zatruwa czystość naszej rasy.

– Miasta to siedliska Żydów, *Reichsfuhrer* – włączył się zielarz.

– I homoseksualistów! – przytaknął Himmler. – Czy wiecie, że w dawnych czasach nie było ani jednego homoseksualisty? To między innymi właśnie dlatego życie wtedy nie było tak zatrute. Homoseksualizm prowadzi nieuchronnie do umysłowej nieodpowiedzialności i szaleństwa. Nasi przodkowie, żyjący ongiś tu, w samym sercu kraju, wiedzieli, co robić z homoseksualistami – czyli z *Uming*, jak ich wtenczas nazywano – bo były to nader

rzadkie przypadki. Wywozili ich i topili w bagnie. Panowie profesorowie, którzy odnajdują dzisiaj w moczarach ich ciała, nie mają pojęcia oczywiście, że każdy z tych topielców to po prostu homoseksualista, ciśnięty ongiś w pełnym stroju w bagienną toń.

Himmler urwał, żeby zaczerpnąć powietrza. Wszyscy wokół niego postąpili tak samo.

– *Sturmbarmführer!* Ile przypadków tej choroby trafia się w SS?

– Bardzo niewiele, *Reichsführer!* – ryknął Huber.

– Istotnie bardzo niewiele – rozpromienił się Himmler. – Wydałem instrukcje co do sposobów postępowania z takimi. Zostaną publicznie zdegradowani i wyrzuceni z szeregów, a potem oddani w ręce sądu. Po odsiedzeniu wyroku będą na mocy mojego rozporządzenia wysyłani do obozu koncentracyjnego – założyłem taki modelowy obóz w Dachau – a tam przy próbie ucieczki zabija ni. Należy zauważyć, że nie jest to kara; w ten sposób jedynie eliminujemy formę nienormalnego, niegodnego życia w trosce o czystość krwi niemieckiej. Nam, budowniczym Rzeszy, powierzono obowiązek gromadzenia i przechowywania cennego, rasowego, czysto niemieckiego materiału ludzkiego i dbałość o to, by dopuszczać do rozmnażania tylko dziedzicznie zdrowe elementy.

Zerknąłem za siebie: Kurt przystanął przy stawie i puszczał kaczki na wodzie. Człapiące niemrawo indywiduum, w którym rozpoznałem specjalistę od czystości rasowej, włączyło się do monologu Himmlera:

– Pozwolę sobie wtrącić, *Reichsführer*, że nowe przepisy o sterylizacji umożliwiają eliminację z naszego materiału genetycznego jednostek dziedzicznie obciążonych

i umyślowo niedorozwiniętych: schizofreników, epileptyków i tym podobnych. Czy nie powinniśmy teraz pomyśleć o rozszerzeniu kategorii *kbensimwertes Debet*?

– „Życie niegodne życia”? Ależ oczywiście.

– Odbywałoby się to, naturalnie, pod ścisłym nadzorem medycznym. Tak się składa, że zajmuję się badaniami w tej dziedzinie. Mam na myśli wszystkich mieszańców, tych, w których żyłach nie płynie niemiecka krew: Żydów, Murzynów, Cyganów...

– Ach! – Himmler zatrzymał się i podniósł rękę. – Nie możemy posuwać się zbyt daleko za jednym zamachem. – Wyprostował sylwetkę, jakby stawał na baczność. – Ale mogę wam powiedzieć, że dostąpiłem zaszczytu omawiania tych kwestii z *Führerem*. Genetyczna i rasowa czystość niemieckiego narodu jest integralną i nierozłączną częścią naszej Rzeszy.

Ściszył głos i wszyscy nachylili się do niego. – Ale czyż nie są to rzeczy ze sobą powiązane? Konieczność oczyszczenia świata z bolszewizmu; dane nam przez Boga zadanie pozbycia się jadu zatruwającego czystość rasy; nasze prawo do przestrzeni życiowej? Tak, przyznajmy otwarcie, że niemiecki naród toczy walkę z wielogłową hydrą: z Żydami, z masonerią, z jezuitami, z bolszewikami. Z *Mindermssigen*, przedstawicielami gorszej rasy, i z *Untermenschen*, czyli podludźmi. Jak uczy historia, walka ta nie jest niczym nowym – była i jest naturalnym porządkiem życia na naszej planecie. Czyż w czasach starożytnych Żydzi nie zgładzili króla Persji, owego wielkiego królestwa aryjskiego, wraz z całą arystokracją? Tak oto ludy aryjskie zostały zniewolone przez Żydów, a czystość ich rasy zbrukana przez mieszane związki, co

doprowadziło do tego, że z wysoko rozwiniętej kultury aryjskiej nie przetrwało nic poza słowami: „Istniał kiedyś naród”. Bój wiedziony między ludźmi i Mermenschen to reguła znana od wieków. Ta walka na śmierć i życie jest tak samo prawem natury, jak walka człowieka z zarazą i jak zmagania zarazków ze zdrowym, wiejskim organizmem. Zapewniam wszystkich, że *Führer* ma te sprawy codziennie na uwadze i że niezadługo wyda odpowiednie decyzje. A więc cieszymy się teraz spacerem w samym sercu niemieckiego *Volk*.

Zawróciliśmy i zaczęliśmy iść w kierunku miejsca, z którego dochodziły odgłosy polowania. Słysząc było rytmiczne trzaski strzelb. Himmler skrzywił się z wyrazem niechęci na twarzy.

– Co za okropieństwo! Jaką przyjemność grubas może czerpać z tego, że rozrywa na strzepy te biedne stworzenia? Czy natura nie jest cudownie piękna? Każde zwierzę ma prawo do życia, czyż nie? W swoim czasie musiałem zastrzelić bezbronne stworzenie, łagodnego, skubiącego trawę jelenia, i mówię wam, że było to zwykłe morderstwo. Jako *Reichsführer* zamierzam wydać przepisy ochraniające zwierzęta. Polowanie na lisy zostanie zakazane! Tak! Dość tych obrzydliwości! Dzieci trzeba uczyć miłości do zwierząt. Utworzymy towarzystwa opieki nad zwierzętami, które będą mogły aresztować i wsadzać do więzień. Zwierzęta muszą mieć swoje prawa podmiotowe. – Wciągnął powietrze przez zęby i wyszczerzył je na myśl o planowanych zakazach. Huber trącił mnie łokciem.

– Chce pan czegoś od szefa? – spytał.

– Owszem.

– Tak myślałem – rzekł flegmatycznie. – To teraz jest

odpowiednia pora.

– Nie przy stole?

– Szef nie wypija więcej niż kieliszek, więc Göring sobie na nim używa – wyjął tonem zaufanego sługi. – Lepiej teraz.

Lawirując w tłumie wiernych akolitów Himmlera, dotarłem wreszcie do niego samego. Huber miał rację: Himmler uśmiechnął się przyjaźnie na mój widok. Perspektywa nowych przepisów wprawiła go w dobry nastrój.

– Miło cię znowu widzieć Nadal latasz? Ale chyba nie na szybowcach. – Miał doskonałą pamięć, podobnie jak najwyższy wódz.

– Pracuję nad udoskonaleniem nowych myśliwców i *Stukasów* – wyjaśniłem.

– To wielka sprawa! Musimy być na powrót silni.

– Będziemy – zapewniłem.

Kurt wyprzedził nas trochę. Puszczal małe gałązki z biegiem strumienia i patrzył, jak walczą z bystrym nurtem wody. Słońce oświetlało mu twarz; śmiał się.

– Cóż za wspaniały okaz! – zachwycił się Himmler. – Jaka doskonałość proporcji. Radość dla oczu. Wypełniająca kosmos powszechna energia psychiczna przejawia się na ziemi w swej najbardziej wzorcowej formie w postaci niebieskookiego, jasnowłosego Aryjczyka. Istotnie, musicie oboje z żoną na leżeć do czysto nordyckiego pnia.

– Tak też jest – nie omieszkałem zapewnić.

– Ciekawe, którego z wielkich, średniowiecznych Germanów jesteś wcieleniem? – zastanawiał się głośno. – Bo ja jestem odrodzonym królem Henrykiem, który tysiąc lat temu kroczył po ziemi. A gdzie twoja żona? Przyszła z tobą



czy zajmuje się domem?

A więc stało się! Poczułem nagłe uderzenie adrenaliny, jakbym wypatrzył drobne czekoladowe krzyże angielskich samolotów i z bijącym sercem szykowałem się do dania nura przy akompaniamencie przeraźliwego świstu wiatru.

– Żałuję, ale ani jedno, ani drugie – zacząłem. – Jak rozumiem – nie było mnie w tym czasie w kraju, bo oblatywałem w Rosji nasze samoloty – z chwilą dojścia *Führera* do władzy nastąpiły zesłane boskim wyrokiem czystki w społeczeństwie, w wyniku których wszystkie niepożądane elementy zostały usunięte?

Himmler spojrział na mnie. Jego niebieskie oczy za grubymi szklami okularów nabrały w jednej chwili czujności. Nie należało nigdy zapominać, że pomimo cechującego go szaleństwa, w innym wymiarze był najzupełniej zdrowy psychicznie – jako wzbudzający grozę drapieżnik w świecie stworzonym przez Hitlera. Niejeden żałował poniewczasie, że pozwalał sobie na dowcipy z obłąkańczych przekonań *Reichsführera*. Ale o tym miałem przekonać się znacznie później, podobnie jak większa część mieszkańców Niemiec.

– Zgadza się – odparł.

– Jednak zdarza się czasem, że wraz z chwastami usuwa się przez pomyłkę dobre rośliny – zasugerowałem. – Moja żona, Hilda, matka Kurta, została aresztowana przez jakąś pomocniczą formację policyjną.

– Ach, tak? – zdziwił się cicho. – Dokąd ją zabrano?

– Z tego, co wiem, do miejsca odosobnienia w Dachau. Pan sprawuje władzę nad obozem, pomyślałem więc, że skoro zaszło oczywiste niedopatrzenie, przyjdę z tym do pana.

– A co robiła twoja żona za poprzedniej władzy? – W jego głosie wyczuwało się ostrożność. – Zajmowała się domem?

– Oczywiście. Opiekowała się naszym synem. Miała paru przyjaciół związanych z teatrem – możliwe, że z tej właśnie przyczyny zabrano ją przez pomyłkę...

„Przyjaciele związani z teatrem”. Nic wielkiego, tylko Brecht, Dix i Weill – ludzie, których kroczący obok mnie człowiek zastrzeliłby z największą przyjemnością.

– Angażowała się w politykę? Roześmiałem się.

– Czy kobiety w ogóle się do tego nadają?

– Niektórym się wydaje, że tak – burknął ponuro. – Takie zamykamy, żeby dać im szansę na reedukację.

Przystanął na nakrapianej słońcem ścieżce i zapatrzył się na Kurta. Następnie odwrócił się i obrzucił mnie spojrzeniem, na podobieństwo farmera oglądającego konia pod kątem ewentualnego nabycia. Kiedyś hodował kurczaki (choć bez powodzenia) i pewnie dlatego, przynajmniej w oczach otaczającego go tłumu astrologów, zielarzy i homeopatów, uchodził za eksperta w dziedzinie genetyki.

– Naprawdę doskonały... – szepnął. Raptem podjął decyzję. – Widzę, drogi Hansie, że jesteś członkiem partii.

– Naturalnie.

– Należysz do SS?

– Dopiero co wróciłem z Rosji... – bąknąłem przepaszająco.

– Huber!

– Tak jest, *Reichsführer* – ryknął Huber, zagłuszając pochlebców i sprawiając, że mali mieszkańcy lasu pochowali się w krzakach.

– Hans pragnie przyłączyć się do nas. Zajmij się tym.

– Rozkaz.

– A twój syn ile ma teraz lat?

– Dwanaście.

– Idealnie! W sam raz do rozpoczęcia następnego etapu edukacji. Na polecenie samego *Führera* otwieram właśnie nowe szkoły, mające kształcić naszą przyszłą elitę. Co ty na to? Czy twój Kurt, najwspanialszy okaz nordyckiego młodzieńca, jaki zdarzyło mi się widzieć, dołączy do nas?

Kurt stał całkiem blisko i nadstawiał ucha. Spojrzał teraz Himmlerowi prosto w twarz i spytał:

– Czy mama wróci?

– Ależ tak! Po prostu zaszła pomyłka. Twój ojciec jutro po nią pojedzie. Ale do rzeczy: wstąpisz do naszej nowej szkoły? – Odwrócił się ku mnie i, promieniejąc zadowoleniem, wyjaśnił: – Szkoła mieści się w zamku Wallenburg! Nasi nowi rycerze krzyżowi będą ćwiczyć się w siedzibie ich poprzedników. No więc?

– Dziękuję panu – odparł Kurt. – To wielki zaszczyt.

– A zatem załatwione! Huber, zajdź do mnie później. Chcę, żebyś udał się tam jutro razem z Hansem. I dopilnuj, żeby dostał mundur.

– *Jawohl, mein Reichsführer!*

Wyszliśmy na łąkę. Nagle doleciał nas odór krwi i wnątrności: to myśliwi Göringa patroszyli jelenia przed zabraniem go ze sobą.

– Co za zezwierżenie! – wzdrygnął się Himmler.

*Berlin*

– Ja tu nie zostanę – zapowiedziała. Odsunęła się od okna, ale spoglądała nadal ponad koronami drzew. Jej ogoloną głowę pokrywał delikatny ciemny meszek. Zrzuciła już z siebie kapiące od brudu łachmany i wykąpała się; zdawało się, że nigdy nie wyjdzie z wanny. Potem ubrała się w bluzkę i spódnicę, które wisiały na niej jak na szczytce.

– To wszystko przeminie – pocieszałem ją. – SA to zwykła hołota. Po prostu korzystają z okazji i wyrównują stare rachunki.

Odwróciła się i podniosła posiniaczone, pocięte dłonie, opuchnięte i pełne szram.

– *Arbeit macht frei* – syknęła wściekle. – „Praca czyni wolnym” – taki napis wisi nad główną bramą. Obozem nie kieruje już SA, ale Himmler. To on kazał powiesić to hasło. – Obróciła się do mnie plecami. – Wykonali je z kutego żelaza, żeby długo przetrwało.

– Himmler to wariat – przekonywałem ją. – Dobrze to wiem, bo spędziłem z nim cały ranek, kiedy zabiegałem o twoje uwolnienie.

– Dziękuję, Hans – szepnęła.

– Zwykły świr – powtórzyłem. – Wygłasza wniosłe

tyrady o czystości rasowej, a otaczają go przeróżnego autoramentu szalbierze: zielarze, astrologowie, tak zwani genetycy – do wyboru, do koloru. Göring to jedynie spasiony gangster, Goebbels jest jeszcze większym świrem niż Himmler, a Hitler bije ich wszystkich na głowę! Naprawdę myślisz, że taka banda wariatów może utrzymać się długo u władzy? A pozostali członkowie rządu: von Schleicher, von Papen, Hugenberg, von Blomberg, von Neumann i cała reszta? Przecież oni nie są nazistami.

– Tam, gdzie byłam – zaczęła cicho – to, co powiedziałeś, zaprowadziłoby cię na szubienicę. Już za to tylko, że nie ukłoniłeś się strażnikowi, dostawałeś baty, a potem siedziałeś o chlebie i wodzie w lodowatej celi. Czy nie rozumiesz, Hans, że domem wariatów zaczęli rządzić wariaci? Do tego... miejsca trafiają ci, którzy powinni stać na czele społeczeństwa. Siedzą tam przedstawiciele rządu, kościoła, biznesu, ludzie teatru, dziennikarze. Socjaldemokraci i komuniści, konserwatyści i monarchiści, żydowscy przedsiębiorcy i dziennikarze, duchowni i pisarze, artyści i muzycy-wszyscy jednakowo robiący pod siebie ze strachu. Przez kogo? Przez... tamtych! Strażnicy! Dno! Zwykłe śmieci, świńska hołota, półanalfabeci. Wiesz, jak nas nienawidzili? Nienawidzili każdego, kto był bardziej wykształcony, lepszy od nich, kto miał delikatne dłonie. Mogli z tobą zrobić, co im się żywnie podobało! I nie wolno ci było prosić o litość...

Widziałem ich już wcześniej. Największe męty z całej SA: wypasione świny o grubych karkach, w butach jak rury, wystających spod brunatnych bryczesów; małe oczka o tępym wyrazie, pełne nienawiści i przekonania o własnej wyższości.

Stojąc do mnie plecami, powtórzyła raz jeszcze:

– Ja tu nie zostanę. Nie wrócę, dopóki walka nie będzie wygrana.

– Jaka walka?

– Każdy musi opowiedzieć się dzisiaj po którejś stronie: albo my, albo oni. Albo jesteś komunistą, albo nazistą. – Odwróciła się do mnie. – Ale ty wolisz nie wybierać. Myślisz, że wystarczy wtulić głowę w ramiona, mówić, co należy i prężyć się przy każdej okazji z głośnym *Heil Hitler*, Ale ja ci oświadczam, że to nie wystarczy. Trzeba jeszcze uwierzyć – jednej stronie albo drugiej.

– Kiedy ja nie wierzę ani jednym, ani drugim.

– To zgniotą cię między sobą jak robaka! – podniosła nieoczekiwanie głos. Stała przy oknie, drżąc na całym ciele. – Posłuchaj, Hans... Po przegranej wojnie próbowałeś odnaleźć to, co miałeś jako pilot: kogoś kto by tobą kierował. Zajęty sobą, nie spostrzegłeś, co się wokół dzieje. My – wiesz, kogo mam na myśli – po wojnie przegraliśmy bitwę, zostaliśmy pobici przez Freikorps – ale to była tylko potyczka! Potem odnieśliśmy zwycięstwo. Kultura, architektura, sztuka, muzyka – to wszystko stworzyliśmy my, nie oni. Z *Mlisation*, nie *Volk*. Wdeptaliśmy ich w ziemię, to było wspaniałe. A teraz znów oni wygrali – choć naprawdę nie wiem, jak to się stało. Zostaliśmy rozproszeni i pobici.

Objęła się ramionami, jakby zrobiło jej się zimno.

– Jestem bojowniczką – ciągnęła. – Kiepska była ze mnie żona i matka, bardzo mi przykro z tego powodu. Nigdy nie powinniśmy się pobierać, dzisiaj to wiem. Ktoś taki jak ja nie nadaje się do małżeństwa. Przed laty powiedziałam ci, że chcę wziąć udział w budowie nowego świata i dopięłam

swego – ja, kobieta. Ten cel znaczył dla mnie więcej niż cokolwiek innego. Przepraszam... Kiepska żona, fatalna matka... Każ to wypisać na moim kamieniu nagrobnym. Ale taka już jestem. I nie mogę się teraz zatrzymać: wyemigruję podobnie jak reszta i stamtąd będę kontynuować walkę.

– Po stronie komunistów?

– Oczywiście. A kto inny stąd wyjeżdża? Tylko komuniści walczą z faszystami.

– W Rosji – ważyłem starannie słowa – komuniści wsadzają ludzi do obozów albo rozstrzelują.

– Nie można stworzyć nowego świata inaczej, jak poprzez rozbicie stare go – odparła takim tonem, jakby mówiła do dziecka.

– To wiem. Tylko czy Hitler nie robi właśnie tego samego? Zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy.

– Hitler i naziści to ostatnie narośle kapitalistycznego porządku. To oczywiste, że chcą zniszczyć takich jak my, ludzi reprezentujących nadchodzący nowy świat. To, co robią Rosjanie, to oczyszczanie społeczeństwa ze starych, reakcyjnych elementów, tych, którzy uciskają lud w ludowym państwie.

Odwróciła się i poszła w kierunku swojej sypialni. Należał tylko do niej – przecież od pewnego czasu nie byliśmy już razem.

– Dziękuję, że mnie stamtąd wyrwałeś. Dziwię się nawet, że po tym, co zrobiłam, nie zostawiłeś mnie swojemu losowi. Opiekuj się Kurtem. Boże, ale ze mnie wyrodna matka! – Wchodząc do pokoju, jeszcze raz obejrzała się. – Kto będzie następny, Hans? Jeżeli ci wariaci pozbędą się wszystkich zdrowych na umyśle, przeciwko komu zwrócą się wtedy?

Kiedy nazajutrz obudziłem się, już jej nie było. Mundur SS, czarny i złowieszczy, który Himmler kazał dla mnie przygotować, wisiał w szafie. Hilda przypięła do niego szpilką karteczkę z krótkim wierszykiem autorstwa jakiegoś Anglika. Wyjąłem szpilkę i przeczytałem:

Raz młoda dama z miasta Ryga  
Na tygrysa wsiadła, by  
pośmigać...



*Berlin, czerwiec 1934 roku*

Pracowałem dla Göringa. W kłębowskiu hien, które znaczyły początek hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy, Göring był tym, który ogłosił się *der Eiseme*, czyli „Żelaznym”. Był panem Prus i tajnej policji; Gestapo należało do niego. Wiedział wszakże dobrze, że zagłębiając zęby w trupie Weimaru nie można poprzestać na oderwaniu kończyny; dopiero strawiwszy go można było nim na dobre zawładnąć. Lecz przedtem trzeba było go połknąć, a to nie wydawało się sprawą łatwą, skoro Göringa otaczali ludzie tacy jak Rohm z trzymilionową armią SA-manów, Goebbels stojący na czele Ministerstwa Propagandy, Bormann – zausznik Hitlera i Himmler z demonicznym Heydrichem (ci ostatni mieli zaledwie po trzydzieści lat). Göring musiał znać Himmlera znacznie lepiej niż ja; bo chociaż ten zielarz-okularnik był bez wątpienia chory na umyśle, to na polu władzy okazywał się zajadłym, groźnym rywalem, który zabrał w końcu „Żelaznemu” Göringowi Gestapo – a przecież Göring nie bez przyczyny zyskał sobie miano zabójcy.

Göring prawdopodobnie zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę, bo zabrał się za organizację instytucji (choć

Hitler powierzył mu gospodarkę, co zresztą przyniosło kompletny chaos), której nikt nie byłby w stanie wyrwać mu z rąk: mówię o lotnictwie. Kiedy wypląnęła sprawa dowództwa, nie sposób było znaleźć lepszego kandydata: autentyczny, obsypany medalami as lotnictwa, wzbudzający respekt innych pilotów. Gdyby na czele Luftwaffe postawiono Himmlera, Goebbelsa, Röhma, Bormanna, Heydricha czy któregokolwiek z pozostałych, to śmialibyśmy się takiemu prosto w twarz. Göring natomiast był tym, który wzbijał się ongiś, tak jak my, w podniebne, zimne pole śmierci.

W swoim pałacu przy Leipzigerstrasse przydzielił mi osobny pokój. Któregoś wieczoru, słysząc dobiegające z dołu odgłosy poruszenia, wyjrzałem przez okno i ujrzałem żołnierzy Reichswehry tworzących kordon wokół budynku. Zadarłem głowę i zobaczyłem, że strzelcy karabinów maszynowych zajmują pozycje na dachach. Kiedy wyszedłem na korytarz, przekonałem się, że zwykły o tej porze dnia spokój został nieoczekiwanie zakłócony: tu i ówdzie stali adiutanci w mundurach, oficerowie Gestapo o twarzach błyszczących gorączką, urzędnicy z papierzyskami i uzbrojeni esesmani, podczas gdy z odległych zakątków budynku przybywali inni uczestnicy spektaklu, prezentując poważne miny i wymagające podpisu dokumenty. Służba w liberii Göringa uwijała się z tacami pełnymi kanapek.

Wyglądało na to, że centrum aktywności mieści się w gabinecie Göringa, przestronnym pokoju, który pełnił dawniej funkcję sali balowej. Na drzewcach z brązu, zamocowanych na wyłożonych marmurem ścianach, wisały dwie ogromne flagi ze swastyką. Duże drzwi

gabinetu były na wpół otwarte i dostrzegłem przez nie „Żelaznego” Göringa, strojnego w białą tunikę i komponujące się z nią buty z cholewami. Był również jego sekretarz, bodajże Koemer, oraz obaj *Diaskuren*, diabelscy bliźnięta w czarnych jak sadza mundurach: Himmler i Heydrich. Cała trójka zdawała się być w szampańskich nastrojach: raz po raz dobiegały mnie ryki Göringa i piskliwy śmiech Himmlera. Niezadługo obaj *Diaskuren* ukazali się w drzwiach i ruszyli szybkim krokiem korytarzem w asyście wartownika SS. Göring dojrzał mnie zza swojego biurka.

– Hans! – wrzasnął. – *Komm*, właśnie miałem po ciebie posłać. Wewnątrz dużej sali rozstawiono biurka z telefonami i posadzono personel do ich odbierania.

– Potrzebuję wysłać kogoś zaufanego do Monachium – usłyszałem.

– A co się dzieje?

– Dobieramy się do tego skurwiela Röhma – wyjaśnił z szerokim uśmiechem i błyskiem w oku. Plasnął potężną pięścią w otwartą dłoń. – W *Junkersie Führera* jest wolne miejsce na dzisiejszy lot. Chcę, żebyś poleciał. I zabierz pistolet.

Trzy silniki buczały w nieco niezgodnym tonie, wypełniając lekkim drżeniem duży przedział dla pasażerów. Wzbijaliśmy się przez otaczające nas chmury; czerń nieba przesycona była światłem księżyca. Hitler siedział na samym przedzie, ubrany w skórzany płaszcz, i wpatrywał się w milczeniu przed siebie. W fotelach za nim górowały zwaliste sylwetki jego osobistych ochroniarzy w czarnych mundurach *Leibstandarte*. Pomiedzy nimi usadowił się *Obergruppenführer* SA, Lutze, zastępca Röhma;

jego twarz rozświetlał upiorny grymas oczekiwania. Naprzeciwko mnie siedział Goebbels, który przybył oddzielnie, dzierżąc gruby plik papierów. Przeglądał je teraz przy świetle małej lampki nad fotelem, robiąc od czasu do czasu jakieś zapiski na odwrocie stron. Wreszcie pozbierał wszystkie kartki i spojrzał na mnie; drobny, wysuszony człowieczek o niezmiernie przenikliwych oczach.

– Pan jest człowiekiem Göringa z *Jasta* Richthofena – powiedział domyślnie.

– Hans Wolff – przedstawiłem się.

Po jego twarzy przebiegł szczerzy uśmiech. Pobiegł wzrokiem do przodu, gdzie Hitler wciąż wpatrywał się przed siebie, i wyciągnął do mnie plik papierów.

– Proszę, śmiało – zachęcił. – Każdy może zajrzeć.

Wzięłem kartki do ręki. Pierwsza nosiła tytuł: LISTA RZESZY: OSOBY NIEPOŻĄDANE i wypełniona była nazwiskami. Znalazłem tam całe dowództwo SA – z wyjątkiem Lutzego, który siedział teraz w fotelu przede mną, oblizując wargi.

Było także wiele innych postaci, wśród nich większość członków rządu narodowego, które nie należały do partii nazistowskiej. Von Schleicher, były kanclerz; Bruning, również piastujący kiedyś to stanowisko; von Bredow, zastępca Schleichera; von Kahr, który wystąpił przeciwko Hitlerowi w czasie nieudanego puczu nazistowskiego w 1923 roku; katolik Klausener; wicekanclerz von Papen i jego ideolog, Edgar Jung; Georg Strasser...

Dalej lista zmieniała swój charakter, przechodząc w serię ręcznie dopisanych nazwisk opatrzonych parafkami. Spostrzegłem, że Heydrich dopisał szefa Gestapo, Rudolfa

Dielsa, lecz Göring z kolei anulował tę decyzję. Himmler, Heydrich, Göring, a za ich przykładem Goebbels, wydatnie powiększyli wykaz. Ten ostatni własnoręcznie wciągnął i sygnował nazwisko Strassera, swojego dawnego wroga.

*Wir misten aus!* „Wyczyścimy stajnię z gnoju” – stare hasło wyborcze nazistów. Dzień wielkiego sprzątnia właśnie nadszedł.

Zmusiłem się do przejrzenia listy. Gdzieś pośrodku natrafiłem na nazwisko Hoepnera i jego monachijski adres. Miałem przy sobie pióro; na tej wysokości przeciekało, plamiąc mi palce atramentem. Goebbels wyglądał przez okno, patrząc w zamyśleniu w swoją przyszłość. Przekreśliłem nazwisko Hoepnera. Powyżej, przy nazwisku jednego ze skazańców, widniał zatwierdzający tę decyzję podpis Göringa. Sfałszowałem jego inicjały.

Wycierając dłonie w chusteczkę, oddałem listę Goebbelsowi.

– I jak, ktoś się panu naraził? – spytał uprzejmie.

– Już jest na liście – wyjaśniłem z uśmiechem. – Widocznie jeszcze komuś nadepnął na odcisk.

Wybuchnął śmiechem.

Obudziłem się w swoim fotelu przy kominku, wstrząśnięty nagłym dreszczem. Ogień nie wygasł, polana wciąż się żarzyły. Serce biło mi jak młotem. Co się stało?

Ktoś krzyczał. Byłem pewny, że przed chwilą słyszałem czyjś krzyk.

Podniosłem się na sztywnych nogach i dorzuciłem polano do kominka. Pokuśtykałem do okna. Trzeba trochę czasu, żeby moje stawy zdążyły się rozruszać; nie lubią, by czyjeś wrzaski budziły je po nocy, wolą osiem godzin

słodkiej beczynności. W lodowatym, czystym powietrzu, słabe światło gwiazd dobywało z ciemności zarys górskiego stoku. Nasłuchiwałem, ale wokół panowała cisza, przerywana jedynie trzaskaniem polana ogarnianego przez języki ognia. W jasnożółtym blasku płomieni widziałem oczekujące mnie biurko z notesem, gotowe na nadejście poranka.

O czym myślałem? Moje sny były przeplatane wspomnieniami. Ktoś krzyczał? Tak, ale był to krzyk rozpisany na wiele postaci. Strzały i przekleństwa, odgłosy pęknięcia czaszek pod ciosami pałek, ryk rozkazów i pełen niedowierzania wrzask umierających. *Hen Hitler! Heil Hitler! Sieg heil! Sieg heil...* Ofiary wydawały ostatnie tchnienie z imieniem swego mordercy na ustach.

Stałem patrząc w zimny blask płomieni i czułem, jak oblewa mnie lodowaty pot. Nalałem sobie odrobinę wódki i z kieliszkiem powróciłem na fotel.

Przeraźliwy ryk... Silniki olbrzymich, odkrytych Mercedesów zaryczały przerażająco...

Ogromne pojazdy powiozły nas o pierwszym brzasku dnia z płyty lotniska. W budynku Ministerstwa Spraw Wewnętrznych esesmani wyciągnęli z pokojów dwóch miejscowych dowódców SA, Schneidhubera i Schmida. Szczercząc zęby w uśmiechu, patrzyli na ich wystraszone, zaskoczone miny, podczas gdy Hitler, nie szczędząc przekleństw i razów, zrywał im z ramion epolety. Krzyczał z taką furią, że pryskał im śliną na twarze.

Wśliznąłem się do jednego z pokojów, dużej sali przyjęć. Za biurkiem siedział esesman. Wewnątrz panował półmrok, ciężkie aksamitne zasłony były wciąż zasunięte.

– Przyjechałem z *Führerem* – wrzasnąłem. – Muszę

porozmawiać przez telefon z Göringiem.

Esesman – młody, jak wszyscy w SS – zerwał się na równe nogi i podsunął mi aparat. Chwyciłem słuchawkę i wykręciłem numer.

W pokoju unosił się zapach stęchlizny. Powinni pootwierać na oścież okna.

Dzwoniłem na miejscowy numer. Usłyszałem niewyraźny głos wyrwanego ze snu Hoepnera.

– Jesteśmy już w Monachium! – wrzasnąłem. – *Führer* zaczął od zrobienia porządku w ministerstwie, potem pójdziemy po resztę.

Po drugiej stronie zaległa cisza. Słyszałem dobiegające za drzwi wrzaski Hitlera i żalosne beczenie tych z SA.

– To ty, Hans? – spytał Hoepner, zdjęty nagłym strachem.

– Wszystkich zdrajców czeka śmierć! – krzyknąłem.

– Dziękuję, Hans. Uciekam.

Usłyszałem trzask odkładanej słuchawki i sam położyłem słuchawkę na widełki.

Nagle wokół mnie rozbłysły światła; zapłonął olbrzymi żyrandol, mieniący się kolorami tęczy. Obróciwszy się na pięcie, ujrzałem Hitlera stojącego w drzwiach pokoju i kilku miejscowych esesmanów, którzy cisnęli się do niego z dumnymi minami.

Żyrandol oświetlił bezwładną masę ciał, które leżały na wypolerowanym parkiecie, tworząc zakrwawiony stos. Wszyscy należeli do SA, na co wskazywały ich mundury. Na wezwanie Hitlera stawili się na wielki zjazd, ubrawszy się odświętnie na powitanie swojego *Führera*.

Hitler oglądał zwał trupów, mrużąc oczy i wykrzywając dziko twarz.

– Dobra robota! – wykrzyknął raptem. – Dokończmy teraz dzieła! – Odwrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając za sobą kałuże krzepnącej krwi.

Żółć podeszła mi do gardła. Przełknąłem ślinę i ruszyłem za Hitlerem. Na korytarzu esesmani, pokrzykując i śmiejąc się, kopali Schneidhubera i Schmida. Pomalowane na kremowo ściany pokrywały się krwią, a oni, wśród rechotu oprawców, wciąż błagali o litość. Hitler zmierzał prosto do wyjścia, podążyłem więc za nim w zbitej masie gestapowców i esesmanów.

Z rykiem silników pod lśniącymi maskami odkrytych Mercedesów pędziliśmy szeroką drogą do kurortu Bad Wiese. Robotnicy rolni pierzchali w popłochu na bok przed śpieszącymi masywnymi limuzynami.

Kiedy zatrzymaliśmy się z piskiem potężnych opon przed luksusowym zajazdem górskim, oddział SS był już na miejscu – żołnierze w czarnych mundurach, uzbrojeni w pistolety i broń maszynową. Kierował nimi Huber, rwący się do akcji z zażartością dobermana. Obskoczyli ze wszystkich stron swojego *Führera*, który ze szpicrutą w ręku wszedł rażnym krokiem do dużego budynku, a tuż za nim Goebbels, biegnący za wodzem niczym pies.

Rohm jeszcze spał, mając u boku młodego kochanka. Jego galowy mundur *Stabschefa* wisiał blisko łóżka, czekając na chwilę, gdy drugi najpotężniejszy człowiek w Niemczech wystąpi w nim na powitanie pierwszego.

– *Heil, mein Führer!* – krzyknął sennym głosem, zanim wyciągnęli go z pokoju. Jego kochasia zrzucili po schodach, a potem kopniakami rozwalili drzwi sypialni Heinesa, szefa śląskiej SA. Heines był w łóżku ze swoim szoferem o blond włosach; mieli pod poduszkami pistolety, ale zdążyli tylko



wrzasnąć, kiedy Huber i jego chłopcy poczęstowali ich gradem kul.

Na dziedzińcu, gdzie przygotowano już stoły do śniadania, esesmani prowadzili członków SA. Ubrani w gatki lub bryczesy, szli bosonodzy, zakrwawieni i kompletnie ogłupiali. Dostrzegłszy Hitlera, który przyglądał się im z wysokości balkonu, podnieśli ręce w nazistowskim pozdrowieniu – i wtedy dosięgły ich strzały. *Heil Hitler! Heil Hitler?* – krzyczeli, podczas gdy ludzie Hubera pakowali w nich kule. Białe obrusy pokryły się krwią. Starannie zagrabiony i wysprzątnany bawarski trawnik zapaskudziły strzępki mózgow i posoka.

Hitler patrzył z pogardą na swoich wrogów.

Rohm przeżył kilka dni. W Berlinie Heydrich zabił Strassera, starego towarzysza partyjnego Hitlera; strzelił do niego przez okratowane okno jego celi i śmiał się jak wariat, kiedy tamten leżał i wykrwawiał się na śmierć. Generała von Schleichera zamordowali w jego gabinecie. Kiedy nadbiegła żona generała, zrobili z nią to samo po prostu dla rozrywki.

Rohm musiał umrzeć. Tak czy inaczej, przygotowywał spisek przeciwko Hitlerowi. Być może zamierzał zatruć wegetariańskie jedzenie, jakie zamówił specjalnie dla swego wodza na planowaną wielką fetę. Czy to zresztą ważne? Musiał zginąć i już. Jaki byłby sens wybić całą resztę, a dowódcę pozostawić przy życiu? Göring kazał mi przy tym być.

Załatwił to Huber. Najpierw dali Röhmowi *Browninga* z jednym nabojem, mówiąc, żeby postąpił jak dżentelmen; ale Rohm przez całe życie ani razu nie był dżentelmenem – miał dżentelmenów w głębokiej pogardzie. Huber

kopniakiem otworzył drzwi celi i zobaczył, że Rohm, z obnażoną klatką piersiową, wciąż siedzi żywy.

– Strzelaj, kanalio! – krzyknął na widok Hubera i dostał w krtań. – *Mein Führer!* – wrzasnął. Krew tryskała jak z fontanny. Huber poprawił i Rohm poleciał do tyłu, zwalając się na podłogę celi. Huber wpakował mu trzecią kulę w głowę.

Potem wyszedł i, chowając pistolet, mruknął, nie bardzo wiadomo do kogo adresując te słowa:

– Pedalstwo nie wychodzi na dobre.

Jednak homoseksualne skłonności Röhma wyszły na dobre samemu Huberowi – w trzy dni później rozkazem Hitlera został awansowany do stopnia *Standartenführera* SS. Zaproszono go również na zakrapianą szampanem ucztę, jaką Göring wyprawił dla wszystkich w swoim pałacu, kiedy to Hitler, po trzech dniach krwawej masakry obejmującej cały kraj, wydał rozkaz zakończenia egzekucji.

Wielka sala balowa była pełna służących w liberii, którzy roznosili na tacach najlepszy francuski szampan i przekąski, krążąc pośród tłumu mężczyzn w czarnych mundurach SS. Göring był w swoim żywiole. Udowodniwszy, że słusznie nazywają go „Żelaznym” Göringiem, wesoły gospodarz tryskał teraz humorem.

Mignęła mi postać generała von Fritscha w mundurze Reichswehry. Miał ziemistą twarz, a widok otaczających go czarnych mundurów sprawiał, że z trudem utrzymywał kieliszek w trzęsącej się ręce.

Generałowie (rodowa arystokracja co do jednego) zachowali swoją wysoką pozycję, majątki ziemskie i urzędy. Pomogli przecież Hitlerowi rozprawić się z Röhmem, nieokrzesanym i parweniuszem, i z jego pyszałkowatymi

zbirami. Von Fritsch był jednym z tych generałów. Kiedy patrzył tak wokół siebie na siejące grozę rekiny, które wyłoniły się nie wiadomo jakim cudem z mrocznych głębin, w których sam teraz pływał, widziałem, że zaczyna zdawać sobie sprawę o wiele za późno – z ceny, jaką przychodzi za to wszystko zapłacić. O wiele za późno. Mówiło się, że podziela upodobanie Rohma do młodych chłopców, więc Himmler załatwił go politycznie w kilka lat później. Jednak von Fritsch, w przeciwieństwie do Röhma, był dżentelmenem: kiedy przyszła wojna, ruszył na nią i dał się zabić. Jego ciało zabrano z pola walki i wysłano do kraju, gdzie wyprawiono mu uroczysty pogrzeb z pełną pompą należną osobie jego rangi.

Gregor Strasser natomiast wrócił do żony w małym słoiku, na którym ktoś nabazgrolił: UR. 30.05.1892 – ZM. 30.06.1934. GESTAPO, BERLIN. Inni towarzysze partyjni powrócili do domów w formie popiołu w małych tekturowych pudełkach wysłanych pocztą za potwierdzeniem odbioru.

Przez resztę nocy kiepsko spałem – to, że w ogóle przysnąłem, było tylko zasługą wypitego alkoholu. Wstałem wcześniej i zamierzałem poświęcić cały ranek pamiętnikowi. Wróciwszy z wychodka na tyłach budynku (typowe wiejskie domy nie mają kanalizacji), ubrałem się i wytknąłem nos przez frontowe drzwi. Zimne powietrze niesło ze sobą zapowiedź śniegu. Na niebie ścieliły się wysokie, pierzaste chmury.

Przy budynkach gospodarczych wypatrzyłem biały samochód. Znowu *on* – Kapuściany Oddech. Chyba usłyszał skrzypnięcie dębowych rzeźbionych drzwi (według projektu Speera), bo pobiegł wzrokiem w górę i pomachał mi ręką.

Podszedł do tyłu samochodu, otworzył tylne drzwi i, wyjąwszy pudło, ruszył z nim w moim kierunku.

– Przejeżdżałem przez wioskę – zaczął – i postanowiłem przywieźć panu zapasy. Sklepiarz mówi, że mięso jeszcze nie dotarło, więc później sam je dostarczy – albo ja, jeśli będę akurat wtedy przejeżdżał. – Postawił pudło z zakupami na werandzie.

– Nie ma pan żadnych służbowych obowiązków? – zdenerwowałem się.

– Ależ mam – odparł spokojnym głosem policjant. – Matka Natura ponownie zaatakowała.

– Kto tym razem? Kolejny pechowy restaurator?

– Poszerzyli zakres działania. Porwali francuskiego ministra rolnictwa – zwolennika nowoczesnych metod gospodarki rolnej, a jednocześnie zapalonego myśliwego. Poluje na jelenie i dziki.

– A dlaczego Francuz?

– Pewnie by pokazać, że walka z tyranią współczesnego człowieka nie zna granic – wyjaśnił ze wzruszeniem ramion.

– Powinniście złapać tych *Schweinehund*. Kto wie, co im jeszcze przyjdzie do głowy.

– Tak, kto to może wiedzieć? – powtórzył za mną. – W każdym razie sądzimy, że obecnie szykują się do przypuszczenia pierwszego ataku na mieszkańców miast. Zaczęli od pojedynczych zamachów, teraz przejdą do grupowych.

– O jakie zamachy może chodzić?

– Użyją gazu paraliżująco-drgawkowego. Wypuszczając go w metrze, mogą spowodować śmierć wielu ludzi.

Popatrzyłem na malowniczą dolinę.

– *Gniss Gott* – westchnąłem. – Mało tego było w przeszłości? Dlaczego zwykli ludzie, krzątający się wokół swoich codziennych spraw, mają być zagazowani?

– Można zakładać, że większość z nich to konsumenci mięsa, czyli osoby przyczyniające się do mającego miejsce holokaustu – odparł bez wyrazu.

– Hitler nazywał ich *Untemenschen*, czyli podludźmi, niepożądanymi elementami. I zamykał ich w komorach gazowych.

– Tak, wiem. Oczywiście, w tym czasie nie było mnie jeszcze na świecie.

– Jeśli nie chcecie powrotu tamtych dni, to lepiej ich znajdźcie – powie działem krótko.

– Nie ma obawy. – Odwrócił się i zbiegł susami w dół stoku do samochodu. Pojazd ruszył z rżeniem zimnego silnika, strzelając z rury wydechowej. Wycieraczki oczyściły przednią szybę z rosy i samochód pojechał w dół ścieżki, zmierzając do mostku przerzuconego nad parowem. Stałem i patrzyłem za nim. Jestem inżynierem i potrafię bez trudu poznać pracę zimnego silnika. Dostrzegłem też grubą warstwę rosy na samochodzie. Zabrałem pudło z produktami spożywczymi z werandy i zaniósłem do domu. Puszki i opakowania, warzywa i paczki – wszystko było lodowato zimne. Pobiegłem wzrokiem w dół zbocza: rzeka wiła się szarą wstęgą dnem doliny, schodząc setki metrów poniżej miejsca, gdzie przycupnęła mała wioska. Wysoko w górach panowała cisza. Nie dochodził stamtąd żaden dźwięk. Nade mną, niesione prądem powietrza, szybowały kanie wypatrując pożywienia.

*Berlin, czerwiec 1936 roku*

Zajmowaliśmy obaj jedno z najlepszych miejsc, odpowiednie dla oficerów naszej rangi. Hoepfner miał na sobie szary mundur Wehrmachtu, ja nosiłem niebieski mundur Luftwaffe.

Baretki z pierwszej wojny światowej błyszczały wielobarwnym rzędem na naszych piersiach.

– *Bmstschmerzen* – zauważył uprzejmym tonem Hoepfner. – To choroba, na którą cierpią Niemcy: dolegliwości piersiowe.

Widzowie napływali do kina nieprzerwanym strumieniem, przechodząc pod ogromnym transparentem zapowiadającym film, który mieliśmy za chwilę obejrzeć: „Triumf woli” w reżyserii Leni Riefenstahl. Boczna ścianę budynku pokrywała namalowana przez Speera ogromna podobizna Hitlera stojącego na podium w Norymberdze.

Światła przygasły i ekran rozjaśnił się blaskiem.

Z chmur pikuje w dół *Junkers*. Maszerują oddziały szturmowe. Tłumy ogarniętych ekstazą ludzi wznoszą oczy na przychodzącego Mesjasza, ręce uniesione wysoko. Podobny do krzyża cień samolotu przesuwają się nad ulicami, rytmiczny stukot butów, swastyki, krzyż. Mesjasz.

Hitler kroczy wśród szeregów. Chorążowie, dzieci, wieśniaczki w tradycyjnych strojach oddających naturę narodu – ich mądre, pogodne twarze kierują się ku *Führerowi*. Ludzie o krzepkich sylwetkach i blond włosach opromienieni wdzięcznym, radosnym uśmiechem. Młodzież: Hitlerjugend. Zbite szeregi orkiestry: jaskrawo zdobione werble, trębacze dzierżący chorągwie pokryte runicznym pismem. Stadion wypełniony ludźmi, stoją ramie przy ramieniu. Sztandary, flagi, swastyki. Twarze pełne zachwytu i uwielbienia. Hitler. Za nim drobne cienie: Göring, Himmler, Goebbels, Hess... Tylko cienie, nic więcej...

Hitler. Młodzież. Obietnica. Lojalność. Na zawsze pozostaną wierni Hitlerowi.

Świątynia. Świątynia światła. Katedra oślepiającego światła na tle nocnego nieba. Olbrzymie snopy białego światła; sto pięćdziesiąt reflektorów tworzy pinakiel wiary, świątynię dla dusz setek tysięcy stłoczonych w ciasne szeregi wiernych, świątynię dla ducha Niemiec, ducha wszystkich Niemców.

Hitler.

Na koniec Hess wyłaniający się z ciemności, by powiedzieć: „Partia to Hitler. Hitler to Niemcy, a Niemcy to Hitler. Hitler, *sieg heill*”.

Wyszliśmy na zalane czerwcowym słońcem ulice. Wokół nas rozbrzmiewał gwar podekscytowanych widzów. Zdawało się, że tylko my dwaj milczymy. Ochroniały nas mundury, widomy znak naszego poparcia dla reżimu. Pozostali każde święto figurujące w nazistowskim kalendarzu czcili wywieszaniem flag. Były wszędzie.

Hoepfner mocno odchrząknął; za bardzo odstawaliśmy od reszty tłumu.

– Co powiesz na piwo? – zaproponował.

Poszliśmy w dół Unter den Linden. Szeroka aleja była jednym morzem flag ze swastykami, pośród których gdzieś tylko przebijała biel flagi olimpijskiej.

Budynki rządowe obwieszane były girlandami z kwiatów i olbrzymimi złotymi wstęgami. Igrzyska olimpijskie były w pełnym toku, stąd też napisy w rodzaju: ŻYDZI NIEMILE WIDZIANI i ŻYDZI WCHODZĄ NA WŁASNE RYZYKO zostały dyskretnie usunięte, a z parowców wycieczkowych kursujących po Haweli ściągnięto transparenty głoszące: KUPUJĄC OD ŻYDÓW OGRABIASZ WŁASNY NARÓD.

Dziesięć kilometrów dalej na stadionie sportowym Rzeszy Hitler, który nie cierpiał sportu, oglądał przebieg igrzysk, a Leni Riefenstahl filmowała go.

– Jak twój syn? – zainteresował się Hoepfner.

– Nie widuję go tak często, jak bym tego chciał. Mnóstwo czasu zajmuje mu szkoła i zdaje się, że ją polubił. Jest już w wieku, kiedy chłopcy lubią przebywać z rówieśnikami. Dużo czasu spędzają na świeżym powietrzu: uprawiają wspinaczkę górską, skaczą ze spadochronem, strzelają do celu. Kurtowi przypadło to do gustu.

– A czytać umie? – zażartował Hoepfner.

– Owszem, czyta, chociaż głównie miernotę. Na przykład opowieści z Dzikiego Zachodu napisane przez Karola Maya. Kowboje i Indianie mówiący po niemiecku!

– My mamy swój *Drang nach Osten* – podsumował zwięźle Hoepfner. – Parcie na wschód, inaczej mówiąc poszukiwanie *tebensmum*. A co u Hildy?

– Nie mam pojęcia, gdzie teraz jest. Podobno była w Paryżu, uczestniczyła we Froncie Antyfaszystowskim, ale



ktoś mi mówił, że miała pojechać do Moskwy.

Usiedliśmy przy stoliku w cieniu lip. Zjawił się kelner z piwem.

– *Gott mit uns* – powiedział cynicznie Hoepfner, ścisząc głos. Podniósł szklanicę. *Prosit*.

– Wygląda na to, że Bóg już z nami jest – zauważyłem.

– Riefenstahl to młoda, sprytna kobieta – zmienił temat. – Goebbels wścieka się, bo nie chce pójść z nim do łóżka.

– Bardzo mądrze, tylko czy uda jej się od tego wymigać?

– Wymagania wobec urodziwych kobiet pragnących odnieść sukces w przemyśle filmowym Rzeszy były powszechnie znane i mało pociągające.

– I nie pozwala, by wtrącał się w sprawach artystycznych – podkreślił Hoepfner. – Zresztą nie musi go słuchać, bo odpowiada wyłącznie przed Hitlerem. Daje wodzowi to, co ten potrzebuje – mit tworzony wokół jego osoby.

– Hilda byłaby wściekła widząc, że do tego celu wykorzystują wszystkie atrybuty kultury stworzonej przez Republikę Weimarską.

– Mesjasz – mruknął cicho Hoepfner, niemal z niedowierzaniem. – Jak to możliwe, że my, oficerowie, składamy osobistą przysięgę, biorąc Boga na świadka, Adolfowi Hitlerowi, *Führerowi* Rzeszy Niemieckiej i narodu niemieckiego? W ten sposób czynimy go królem, monarchą. Więcej nawet – czyż nie widzimy w nim Wybrańca, Mesjasza? Kto by pomyślał, że kapral Hitler może stać się Mesjaszem?

– Po to właśnie wymyślono propagandę, nieprawdaż? „Wielkie kłamstwo” – jak mówi Goebbels. Miałem okazję z nim porozmawiać, kiedy lecieliśmy do Monachium.

– Wkrótce chyba wylatujesz gdzieś dalej, zgadza się? –

spytał domyślnie Hoepfner. Minął już czas zabijania, był więc teraz w miarę bezpieczny. Wrócił do wojska, ale z tego, co wiedziałem, swoje poglądy trzymał w tajemnicy przed wszystkimi, z wyjątkiem nader szczupłego grona ludzi, do których i ja się zaliczałem.

– Hiszpania – odparłem krótko. – Zdaniem Göringa rozpoczynająca się tam wojna stwarza doskonałą okazję do sprawdzenia naszych nowych samo lotów w warunkach bojowych.

– A co mamy?

– Wszystko, czego wymaga nowa doktryna walki: bombowce nurkujące, samoloty transportowe, myśliwce. Göring ma rację, trzeba je przetestować.

– Będzie wojna – szepnął Hoepfner, jakby nieobecny, wybiegając pustym spojrzeniem ponad aleją.

– Ale nie u nas, tylko w Hiszpanii; weźmiemy w niej ograniczony udział. A niby z kim mielibyśmy walczyć?

– Ze wszystkimi, aż do końca. Tak powiedział Hitler.

– Kiedy to powiedział?

– W swoim szkaradnym dziełku „Mein Kampf”. Mam egzemplarz i czytam sobie co jakiś czas. Potrafię rzucać cytatami z pamięci, jak każdy wzorowy nazista. „Kto chce żyć, musi walczyć, a kto nie chce walczyć... nie ma prawa do istnienia”. Zauważyłem, że jak na razie Hitler realizuje wszystko, co zapowiedział. Obalił demokrację w kraju, prześladowuje Żydów, a siebie wykreował na bohaterskiego, od dawna wyczekiwanego wodza. I rzeczywiście jest *Führerem*. Nikt nie może go oskarżyć o skrywanie intencji, skoro tak ściśle je realizuje. Mam ci zacytować kolejny fragment? „My, narodowi socjaliści, odcinamy się świadomie od przedwojennej polityki zagranicznej Niemiec.

Zaczynamy od punktu, na którym poprzestaliśmy sześćset lat temu. Kończymy nieustanny niemiecki marsz na południe i zachód i kierujemy nasze spojrzenie ku ziemiom na wschodzie. Zrywamy nareszcie z kolonialno-handlową polityką okresu przedwojennego i zwracamy się ku terytorialnej polityce przyszłości. A jeśli mowa o terytorium w Europie, to możemy mieć na myśli tylko Rosję i jej państwa wasalne”. Przeczytałem to wczorajszej nocy.

– Przecież nikomu przy zdrowych zmysłach nie przyszłoby do głowy zaatakować Rosję – zaprotestowałem. – Zdajesz sobie sprawę, jaki to kolos?

– Nie powiedziałem, że Hitler jest przy zdrowych zmysłach – zauważył spokojnie Hoepfner. – Mówiłem jedynie, że robi to, co zapowiedział. Sam widzisz, że nie jest niczym ograniczony. Ludzie go uwielbiają, a on daje im wszystko, co chcą. Wymordował przywódców SA, typów takich jak Rohm, którzy naród napełniali przerażeniem, i co? Ludzie byli mu wdzięczni. A czy wkraczając w marcu do Nadrenii nie udowodnił, że jest „żelaznym” przywódcą? Francuzi i Brytyjczycy po prostu się wycofali. Jaki będzie następny krok? Konfiskata całego majątku żydowskiego? Rodacy z całą pewnością nie będą mieli mu tego za złe, a zyskane w ten sposób pieniądze pomogą w opłaceniu kosztów nowych rodzajów broni. A potem? Ponowne przyłączenie mniejszości niemieckich żyjących w Austrii, Polsce i Czechosłowacji? Powiedział, że to zrobi, i ja mu wierzę. A ludzie tylko temu przyklasną. Widzisz, jak pomyśleć w ten sposób, to wszystko układa się w sensowną całość. *Lebensmum*, zabijanie, niszczenie, unicestwienie międzynarodowego żydostwa, oczyszczanie krwi narodu, zduszenie międzynarodowej bolszewicko-żydowsko-

marksistowskiej konspiracji.

Hoeppner wychylił duszkiem piwo i dał znak kelnerowi, żeby przyniósł następne.

– Na wojnie kapral Hitler lubił zabijać i niszczyć, nigdy nie mogłem go zastopować. Uwielbiał wojnę, z błotem i wszystkimi jej okropnościami. Tak, dobrze znam mojego małego kaprala...

Przyniesiono piwo. Pośród monotonnego hałasu ulicznego dały się raptem słyszeć podniesione głosy wykrzykujące jakąś piosenkę. Aleją posuwali się pijani żołnierze SS. Kiedy podeszli bliżej, mogliśmy rozróżnić słowa piosenki.

Były proste, z powtarzającym się refrenem: „Kiedy skończą się igrzyska, do gazu pójda Żydziska...”

– Żydzi są plagą świata – dobiegł mnie szept Hoeppnera; zrozumiałem, że posłużył się kolejnym cytatem. Upił piwa, jakby chciał w ten sposób zmyć obraz pijanych żołdaków.

Nagle zmienili zgodnie nutę i zaczęli wrzaskliwie śpiewać pieśń Horsta Wessela. Tydzień Piosenki Niemieckiej dopiero co się skończył.

– Wiesz, co musimy zrobić? – Pochylił się w moją stronę i przeszedł w szept, że ledwo go słyszałem: – Musimy zabić tego małego sukinsyna.

*Berlin, listopad 1938 roku*

– I jak? – zapytał. – Spiszą się jak należy?

Z ogromną ostrożnością Hitler przypiął mi do munduru złote odznaczenie – Krzyż za Hiszpanię z brylantami. Sam miał na sobie prosty żołnierski mundur z opaską na ramieniu i Krzyż Żelazny I klasy. Poprawił mi odznaczenie, aż uznał, że wisi jak należy. W jego oddechu czuło się lekko słodkawy zapach, jak od zgniłej śliwki, zupełnie jakby zjadł furę ciastek z kremem.

Strzelił oczami w górę i utkwił we mnie wzrok. – No więc? Uda się?

Sześć tysięcy metrów nad ziemią, czyste, lodowate niebo.

Pomarszczona, brązowo-zielona Guadalajara rozrzucona pod nami jak mapa. Cztery *Messerschmitty Bf-109* w szyku czwórkowym, w odległości około dwustu metrów jeden od drugiego.

Są. Duża grupa lecących w szyku republikańskich *I-16*: ciemne sylwetki na tle ziemi, mknące niczym rój szarańczy, w środku bombowce *SB*, ociążałe jak chrząszcze. Skręciły i zaczęły wchodzić na nowy kurs. Obniżyłem nos maszyny: inni poszli moim śladem. Zerknąwszy w bok, mogłem dostrzec czerwone pasy na kadłubach nieprzyjacielskich

samolotów, coraz wyraźniejsze w miarę jak zbliżaliśmy się lotem nurkowym.

Nie widzieli nas. W celownik zaczął mi wchodzić jeden z *I-16*, maruder z tyłu szyku. Nowicjusz. Pamiętam, pomyślałem sobie wtedy, że ktoś powinien go ostrzec, powinien powiedzieć, co może mu się przytrafić. Nie strzelałem, dopóki nie miałem go całego w celowniku. Kawałki z trafionego samolotu przeleciały koło mojej kabiny. Położył się na bok, ciągnąc za sobą sznur czarnego dymu. Byłem tuż nad nim. Z rozerwanego szyku oderwał się w szaleńczym pędzie bombowiec *SB*, rosyjska *Katiusza*. Zacieśniłem skręt, ostrzeliwując go krótkimi seriami. Widziałem, jak pociski z działek rozrywają poszycie kadłuba, biegnąc w kierunku kabiny; nagle eksplodowały zbiorniki paliwa i bombowiec zmienił się w kulę ognia.

Z każdej strony roilo się od samolotów. Niebo zasnuwały pojedyncze ogony dymu. Brudny olej z bombowca zamazał mi wiatrochron. Otworzyłem ogień do kolejnego *I-16*; ten runął nosem niemal pionowo w dół. Ruszyłem za nim. Rosyjski myśliwiec spadał lotem nurkowym z ogromną prędkością. Obróciłem się w fotelu i przez osłonę kabiny spojrzałem za siebie: nie zauważyłem nic poza paroma pionowymi smugami czarnego dymu na tle brudnego nieba. Puściłem z daleka serię do uciekającego samolotu. Nowicjusz dawał się zwykle zastraszyć i skręcał, zmniejszając tym samym odległość dzielącą go od goniącego, i następna seria kończyła sprawę.

Ale tamten nie dał się nabrać. Mknęliśmy lotem błyskawicy ku ziemi, która rosła w oczach, odkrywając coraz więcej szczegółów: pola, drzewa, lasy, strumienie. *I-16* wyrównał i miotał się niczym trąba powietrzna, starając się

wykorzystać każdą dostępną osłonę, każdy załom i spadek terenu, las i dolinę. Przemknął nad polami, wzbijając za sobą tumany kurzu. Trafiłem w kamienny mur i jego fragmenty poleciały wysoko w górę. Kolejne pociski rozbiły na drzazgi jakieś drzewo i zapaliły suche siano.

Wioska, w niej kościół ze strzelistą wieżą. Zobaczył ją zbyt późno. Skoczył w górę, ukazując się wyraźnie na tle nieba. Strzeliłem. Myśliwiec runął na cmentarz na skraju wioski, roztrzaskując grobowce i pokrywając groby płaszczem ognia. Wzleciałem w puste niebo.

Patrzyłem na stojącego przede mną Hitlera. W niecałe sześć miesięcy odniósł dwa zwycięstwa. Austria była obecnie częścią Niemiec; Czechosłowacja, rozczłonkowana i rozbrojona, przestała praktycznie istnieć. Wszystko to osiągnął na drodze wojny politycznej, nie działaniami wojskowymi. Nie musiał stosować siły, wystarczyła sama groźba jej użycia. Hiszpania była jedynym miejscem, gdzie armia niemiecka sprawdziła się w boju. I Hitler chciał wiedzieć, czy wojsko wykona zadania, które przed nim stawiał.

Generałowie obawiali się, że jego poczynania doprowadzą do wojny z imperialnymi siłami Francji i Wielkiej Brytanii. Lękali się powtórzenia 1914 roku. Szeptano się, że byli tacy, co planowali uwięzić Hitlera, a nawet pozbawić go życia, zanim posunie się zbyt daleko.

Kto miał rację, a kto się mylił? Deladier i Chamberlain dawali mu wszystko, czego żądał; ganiłi po całej Europie, by akceptować swymi podpisami przekazywanie mu terytoriów innych państw, w strachu przed wojną gotowi na wszystko, byle go udobruchać.

Hitler wypracował nowy rodzaj wojny politycznej. Na

jego koncie widniały same zwycięstwa. Generałowie zostali upokorzeni, spiskowcy uciszeni i pozbawieni siły. Mapa zmieniła swój kształt.

Hitler udekorował mi pierś małą złotą odznaką. Jego samego zdobyły zgoła inne odznaczenia: prawdziwe kraje i żywi, oddający mu hołd ludzie. To on za każdym razem miał rację.

Jego wyłupiaste niebieskie oczy zawisły badawczo na moich oczach.

Nie wszyscy poddadzą się bez walki. Przykładem Polacy. „My to nie Czesi” – odgrażają się. Francuzi także stawiają opór. Potomkowie króla Słońce i Napoleona nie mogą nie walczyć. Brytyjczycy, bezpiecznie oddzieleni czterdziestokilometrowym pasem wody, również nie złożą broni, mają walkę we krwi. Przez całe stulecia gotowi byli do podjęcia boju z każdym przeciwnikiem, dowodem czego fakt, że zbudowali największe imperium świata.

Czy uda się? Czy nowy sposób prowadzenia wojny okaże się skuteczny? Czołgi, artyleria i wsparcie z powietrza, oddziały szturmowe. Szybkość. Jedno potężne uderzenie. Czy to się uda? Czy wszystkie elementy składowe są odpowiedniej jakości? Czy systemy kontroli i dowodzenia stopią je w jedno masywne ostrze?

Wojna błyskawiczna. *Blitzkrieg*.

*Klotzen, nicht kleckem*. Nie pukać, lecz walić.

Adolf Hitler był *Führerem*. Ostateczne decyzje spoczywały w rękach jednego człowieka. Do tej pory zawsze miał rację. Wersal okazał się niczym więcej jak świstkiem papieru, rok 1918 tylko wspomnieniem, Republika Weimarska wyblakłym epizodem.

– Więc? – powtórzył. – Spiszą się jak należy? Uda się?



– Tak – odparłem.

Siedziałem przy domowym biurku i pracowałem nad raportem. Właściwie miałem napisać dwa: jeden, pełny, na jakieś dwieście stron i drugi zaledwie trzystronicowy. Krótszy był zarazem ważniejszy, miał bowiem trafić do Göringa. Göring nie przepadał za czytaniem i z góry odrzucał wszystko, co przekraczało cztery strony objętości. Lepiej poprzestać na trzech. Siedziałem więc tego wieczoru przy biurku, próbując streścić na trzech stronach najważniejsze rzeczy. Kurtka mundurowa wraz z medalami wisiała na oparciu krzesła: jak przekonał się o tym cesarz przed trzydziestu laty, opłacało się nosić wojskowy mundur. Planowałem niezadługo wyskoczyć na dół do restauracji i zjeść kolację. Wiodłem samotne życie: Hilda wyjechała, nie wiedziałem nawet dokąd, Kurt zaś rzadko przychodził do domu, woląc raczej towarzystwo kolegów. Oddając mu sprawiedliwość, ostatnio bardzo długo przebywałem poza domem.

W szybie okiennej zamigotał pomarańczowy odbłask. Zaciekawiony, podniosłem oczy znad biurka: okno płonęło żywym blaskiem. Pożar! Wstałem i rozsunałem do końca zasłony: z ciemności wyłaniał się budynek ogarnięty pierwszymi płomieniami. Chwyciłem za słuchawkę i zadzwoniłem po straż pożarną.

– W pobliżu wybuchł groźny pożar! – krzyknąłem i podałem swój adres.

– Dziękuję – odpowiedział mi spokojny kobiecy głos.

– Przysyłajcie wozy ze sprzętem gaśniczym, i to jak najszybciej!

– Mieliśmy już wiadomość o tym pożarze – usłyszałem.

Stałem w oknie i czekałem, ale nikt się nie zjawiał. Ulicą

przebiegło kilku mężczyzn; rozległ się brzęk rozbijanego szkła i krzyki. Założyłem mundur, narzuciłem płaszcz, bo było zimno, i zszedłem na dół.

Puściłem się szybkim krokiem do pożaru. Kiedy wyszedłem z za rogu ulicy, ogarnąłem wzrokiem całą scenę: płonąła synagoga. Blisko świątyni stał tłum żołnierzy SA. Zanosząc się śmiechem, grzali sobie dłonie w ciepłe olbrzymiego pożaru. Wtem część dachu zapadła się i wysoko, w ciemne niebo wzbił się rój czerwonożłoty iskier. Z bocznych drzwi wypadła jakaś postać. Na ten widok żołnierze wydali pijacki ryk radości. Uciekał rabin, powiewając długimi pejsami i otrzepując tłące się szaty: ukrywał się w bożnicy, aż żar płomieni zmusił go do ucieczki.

Na widok szturmowców próbował skryć się w ciemności. Byli jednak młodszy od niego i szybko go dopadli. Usłyszałem jego przeraźliwy krzyk, gdy rzucili go na chodnik. Rozejrzawszy się niepewnie wokół siebie, dostrzegłem policjanta; stał w progu jednego ze sklepów i przyglądał się wszystkiemu w milczeniu.

– Hej! – zawołałem. – Niech pan ich powstrzyma, zanim go zabiją! Popatrz na mnie bez słowa.

Szturmowcy chwycili rabina i, unosząc go ponad głowami, pobiegli do synagogi. Machał tylko ślamazarnie rękami i wykrzykiwał coś w jidysz. Złapawszy go za ręce i nogi, zaczęli nim huśtać na wprost ściany ognia; przez rozbite okno w górze buchały płomienie.

– *Eins!* – zaczęli wyliczać. Przyglądający się kompani dołączyli się do chóru.

– *Zwei!* – ryknęli zgodnie.

Podbiegli do buchającego pieca i, wzięwszy potężny

rozmach, cisnęli rabina do środka.

– *Drei!*

Zapisał w śmiertelnej trwodze, staczając się w płomienie. Po chwili zaległa cisza; słyhać było jedynie ryki szalejącego pożaru i triumfujący śmiech morderców. Wyciągnęli z kieszeni butelki i zaczęli się raczyć alkoholem. Na koniec spokojnie odeszli ulicą. Spojrzałem na policjanta.

– Taki mam rozkaz – bąknął nieswoim głosem. – Muszę słuhać rozkazów, robię, co mi każą.

Pomyślałem o Eisenmannie. Puściłem się biegiem ulicami. Pod nogami chrzęściło mi szkło z potłuczonych szyb żydowskich sklepów. Na każdym kroku widać było ryczących, pijanych szturmowców SA, którzy unosili złupione towary. W powietrzu rozchodził się swąd dymu.

Mundur oficera Luftwaffe okazał się na tyle wystarczającym argumentem dla czujnego portiera w kamienicy Eisenmanna, że wpuścił mnie do środka. Wbiegłem po schodach na górę.

Przycisnąłem dzwonek i krzyknąłem: – To ja, Hans!

Drzwi otworzyły się szybko. Eisenmann wciągnął mnie błyskawicznie do środka i zamknął drzwi. Mieszkanie było ciemne i nieoświetlone, jeśli nie liczyć migotliwej łuny pożarów.

– Szturmowcy SA urządzają pogrom! – zacząłem.

– Wiem – szepnął. – Wiedziałem, że tak będzie – mamy dziś dziewiąty listopada.

– I co z...?

W tym momencie zrozumiałem: dziewiąty listopada, święty dzień dla *Frontkämpfers* i SA, rocznica nieudanego puczu. Każdego roku w Monachium organizowali wielki zjazd, na którym nigdy nie zabrakło Hitlera.

– Byłem pewny, że to nastąpi – ciągnął Eisenmann bardzo cicho, spoglądając przez okno na trupioblade niebo, pilnując się, by nie pokazać twarzy. – Byłem pewny od czasu, gdy tamten chłopak zabił dyplomatę w Paryżu. Był Żydem. Jego rodzinę deportowali do Polski, a krewnych powybijali. Tak, wiedziałem, że coś takiego musi się zdarzyć.

– Gdzie twoja rodzina? Uśmiechnął się krzywo w ciemności.

– Wyprawiłem ich z kraju, kiedy jeszcze mogłem. Są „na wakacjach” w Ameryce. Mam tam brata.

– Do diabła, dlaczego nie pojechałeś z nimi? Sam przed chwilą byłem świadkiem, jak zabili rabina...

– To kolejny pogrom... Żydzi zawsze tracili życie w pogromach – odparł fatalistycznie.

– Ale skoro wysłałeś rodzinę, dlaczego sam zostałeś?

– Z czym miałem jechać? – spytał z dziką zawziętością. – Cały swój kapitał mam ulokowany w tutejszych interesach. Do licha, nie po to pracowałem tyle lat, żeby teraz guzik z tego mieć. Jestem za stary, żeby zaczynać od nowa. Muszę odzyskać kapitał.

– Wiesz, że Göring nawołuje do usunięcia wszystkich Żydów z biznesu?

– Oczywiście, że wiem – sarknął Eisenmann pogardliwie. – Myślisz, że nie dostrzegam poczynań Grubasa? Widziałem, co stało się w Austrii po zajęciu jej przez nazistów. Jestem biznesmenem, mam swoje sposoby zdobywania informacji. Ale Grubas nie zamierza pozwolić, by dawni *Frontkämpfers* wzięli wszystko, o nie.

Wskazując ręką za okno, mówił dalej:

– Wszystko, na co żołdacy mogą liczyć to, co zdołają

udźwignąć. Prawdziwe bogactwo Göring przejmie dla siebie, dla swojego imperium, zgadza się? Ale mojej firmy nie dostanie, o nie!

– Jesteś pewny? – nie potrafiłem ukryć lekkiego zdenerwowania. – Grubas nie jest takim błaznem, jak ci się wydaje. To człowiek o niepohamowanej zachłanności i zawsze zdobywa to, czego chce.

– Nie może położyć łapy na czymś, co nie należy do mnie – odrzekł Eisenmann z zadowoleniem. – Firma nie figuruje już pod moim nazwiskiem. Na początku roku sprzedałem wszystko Peltzowi, mojemu dyrektorowi, który jest stuprocentowym Aryjczykiem. I to na bardzo rozsądnych warunkach. Będzie mnie spłacał z zysków. W dwa lata zbiorę tyle, ile mi trzeba i wtedy pojedę do Ameryki. – Wybiegł ponurym spojrzeniem w ciemność za oknem. – Przez cztery lata walczyłem na froncie z prawdziwymi żołnierzami. Mam Krzyż Żelazny I klasy. Niech mnie diabli, jeśli miałbym uciekać z tego bagna jak inni.

Pobyłem u niego jeszcze trochę. Siedząc w ciemności, wypiliśmy dwie butelki wina. Kiedy wracałem do domu, ulice były wszędzie zasłane potłuczonym szkłem. *Kristallnacht*, „Kryształowa Noc” – tak ją z uciechą nazwało SA.

Wyjrzałem przez okno. Niebo miało dziwny żółtawoszary kolor i było ciężkie od śniegowych chmur. Palce zeszywniały mi od pisania; kartki w notatniku pokryły się równymi linijkami pisma. Postanowiłem przywieźć parę wózków drewna z szopy. Założyłem watowaną kurtkę i wyszedłem, kierując się do dużej stodoły, która góruje nad stromym stokiem ciągnącym się w dół łąki. Wózek czekał w pogotowiu obok stosów

porąbanych polan. Siekiera tkwiła nadal wbita w pniak, w sąsiedztwie młotka i klinów. Niektórzy grają w golfa, ja rąbię drewno. Mam już ponad dziewięćdziesiątkę i, podziękować Bogu, wciąż jestem sprawny. Zabrałem się do ładowania polan na wózek. To dosyć szczególna konstrukcja: centralna część nośna porusza się na gąsienicach, napędzanych przez zasilany akumulatorem silnik elektryczny.

Zajęty byłem pracą, kiedy u wejścia mignął mi jakiś cień.

– *Gott im Himmel!* – westchnąłem. – Czy nie mogę mieć spokoju? Znowu *on*, jakżeby inaczej. Jestem już mocno przygłuchy, skoro nie słyszałem nadjeżdżającego samochodu.

Podniósł rękę i uśmiechnął się przeprasząco.

– Wiem, wiem – uprzedził mnie. – Przepraszam, że znowu pana niepokoję, ale jest już potwierdzenie w jednej sprawie.

– Ach, tak? – nie kryłem irytacji. – Cóż to takiego, że nie można było z tym poczekać do wiosny?

– Mamy podstawy do przypuszczeń, że członkowie ściganej przez nas grupy terrorystycznej mogą znajdować się w tej okolicy.

– A niby czego mieliby tu szukać? Nie ma tu żadnych restauracji, zakładów spożywczych ani ministerstw, które mogliby niszczyć. Jestem tylko ja, a cóż może ich interesować moja osoba?

– Pana posiadłość leży na prawdziwym odludziu – zaznaczył Kapuściany Oddech. – Gdyby potrzebowali miejsca na spotkania, to znaleźliby tu wymarzone warunki, nikt by ich nie zobaczył.

– Tak pan sady?

– Muszę się do czegoś przyznać... Widzi pan, wczorajszą noc spędziłem na czuwaniu w pobliżu pańskiego domu. Ale nic nie zauważyłem.

To wyjaśniałoby rosę na samochodzie. Wyciągnął z kieszeni podłużny czarny przedmiot.

– Mogę to panu dać?

– Co to jest?

– Telefon odparł, uśmiechając się na widok mojej zaskoczonyj miny. – Aparat przenośny. Skoro pana telefon nie jest podłączony...

Wziąłem do ręki nadspodziewanie lekkie urządzenie i zacząłem je uważnie oglądać.

– Sprytnie pomyślane – mruknąłem.

– Wystarczy, że wciśnie pan te guziki. Proszę spojrzeć, pod tą taśmą klejącą umieściłem swój numer. Jeśli zobaczy pan cokolwiek, powtarzam, cokolwiek podejrzanego, proszę do mnie bezzwłocznie dzwonić.

– W porządku. – Schowałem aparat do kieszeni kurtki. – Czyli jeszcze nie schwytaliście tych szaleńców. A co z tym francuskim ministrem, którego porwali?

– Odnalazł się.

Z tonu jego głosu mogłem poznać, że pechowego polityka nie przyłapano na zażywaniu odpoczynku po nadmiarze uciech w łóżku kochanki.

– Gdzie?

– W Brukseli, w centrum Unii Europejskiej, znajduje się ogromne biuro, które zajmuje się wspólną polityką rolną państw członkowskich.

– Skoro pan tak mówi.

– Tam też go znaleziono. Na ścianie.

– Ścianie?

– To znaczy... Widziałem u pana łeb upolowanego dzika... Zrobili z nim to samo: przymocowali głowę do drewnianej tarczy i zawiesili wysoko na ścianie. Odkrycia dokonała z samego rana sekretarka.

– Jakimi tępakami musimy być w oczach tych szaleńców!  
– westchnąłem po chwili. – Bo kiedy zostaną w końcu schwytani, jedyne, co możemy im zrobić, to skazać na dożywocie. Cóż za brak wyobraźni! Czy nie powinno się ich przynajmniej posiekać na drobniutkie kawałki i rozrzucić dla użyczenia ziemi?

– Najpierw musimy ich złapać – bąknął cicho.

– Jestem pewny, że niemiecka policja dysponuje wystarczającymi środkami, żeby sprostać temu zadaniu. Chociaż wygląda na to, że terroryści rozwijają skrzydła.

– Właśnie. Naszym zdaniem ruch ma wymiar międzynarodowy, a maso we zamachy terrorystyczne mają nastąpić jednocześnie w wielu różnych krajach...

Mówiąc to nie spuszczał zafascynowanego spojrzenia z mojego wózka.

– *Was ist...?* To coś jak mały czołg?

– W pewnym sensie. Zaprojektowałem podobny model do prowadzenia walk wewnątrz budynków. Był wyposażony w kamery telewizyjne za szkłem pancernym i w różnego rodzaju broń. Na tych gąsienicach potrafi wjechać po schodach i jest na tyle mocny, że może przebijać się przez cienkie ściany i drzwi. Wychodziłem z założenia, że lepiej skorzystać z maszyny, niż ryzykować życiem żołnierzy oddziałów elitarnych. Ale panowie wojskowi, którym śmierć żołnierzy nigdy nie przeszkadzała, nie przyjęli mojego pomysłu – i dlatego właśnie używam go teraz do wożenia drewna.



Policjant, który przywykł tymczasem do półmroku, wpatrywał się z jeszcze większym niedowierzaniem w obiekt zajmujący resztę stodoły.

– Czy to jakiś samolot? – spytał z rosnącym zdumieniem. Cóż, ja przyzwyczailem się już chyba do jego widoku. Nie szokuje mnie jak dawniej, ale dobrze pamiętam, co czułem, kiedy ujrzałem go pierwszy raz. Trzeba wiedzieć, że w czasach, gdy powstawał, najlepsze myśliwce miały śmigła i podwozie, wyglądały potężnie i masywnie. Tymczasem *Messerschmitt Me-163* przypomina jajo ze skośnymi skrzydłami. Istna rakietka. Pilot wskakuje w nie go niczym w elegancki garniturek.

Jest to również najbardziej niebezpieczny samolot, jaki kiedykolwiek stworzono. I to dla wszystkich. Gdyby zbliżyć się nim na odległość strzału do ciężkiego bombowca, takiej na przykład *Latającej Fortecy*, to cała załoga bombowca mogłaby pożegnać się z życiem. Ale kiedy pilot musiał zejść w dół i posadzić maszynę na ziemi, ta wciąż była rasowym zabójcą: w głębi zbiorników znajdowały się resztki paliwa raketowego, zdolne unicestwić pilota i samolot. Prawdziwe jajo – ślady po lądowaniu bez kół pokryły cały teren awaryjnego lądowiska.

– Tak, myśliwiec – odparłem. – Należy do mnie.

– Jak tutaj dotarł?

– Przyleciałem na nim. – Wyszedłem przed drzwi, żeby mu lepiej pokazać – Przeleciałem nad tamtymi drzewami i wylądowałem na ścieżce.

– Kiedy to było?

– Piątego kwietnia 1945 roku. Był pogodny wiosenny dzień, rosły kwiaty. Pamiętam, że po wyjściu z kabiny usiadłem wśród kwiatów.

– I stoi tutaj od pięćdziesięciu lat?

– Tak. Spoczywa na wózku startowym. O, widzi pan: dwa koła na osi, które odpadają po starcie samolotu; zdobyłem go już po zakończeniu wojny.

Stał obok myśliwca i potrzęsał głową w zadziwieniu. Krzyże na skrzydłach mocno wyblakły, ale czarno-biały *Hakenkreuz* wymalowany na sterze był nadal dobrze widoczny. Samolot pokrywała warstwa kurzu. Zanotowałem w myślach, że muszę go od czasu do czasu przemywać.

– Mógłby jeszcze polecieć?

– Sądzę, że tak – trzeba by tylko mieć paliwo *C-stoff* i *T-stoff*, no i kogoś chętnego, żeby nim poleciał.

– Niesamowite... Jak stąd można wystartować?

– To nie byłoby takie łatwe. Sam się nad tym zastanawiałem. – Wskazałem w dół łąki. – Myślę, że należałoby obrać kierunek prosto na parów; oczywiście mając nadzieję, że nic się nie przytrafi. Ale gdy znajdzie się w powietrzu, jest się bezpiecznym, bo tak naprawdę dalej zachowuje się jak szybowiec. Silnik rakietowy wyrzuca go wysoko w niebo, a potem można szybować, i to z bardzo dużą prędkością.

Mówiąc to stałem obok *Kometa*, bo taką właśnie nazwę myśliwiec zyskał sobie wśród nas w czasie wojny. Wtem zauważyłem pod ścianą jakieś grube żelazne pręty. Patrzyłem na nie z rosnącym zdziwieniem. Pamięć potrafi płatać mi figle i jest dość wybiórcza. Przypominam sobie doskonale kolor oczu Hildy, ale za nic nie pamiętam, jak naprawdę nazywa się Kapuściany Oddech. To, co leżało na podłodze, stanowiło części różna – różna tak dużych rozmiarów, że można by upiec świnie. Nie pamiętałem,

żebym je tam kładł; powinny były stać oparte o ścianę, bo nie używałem ich od ponad dwudziestu lat.

Zmarszczyłem czoło. Podszedłem i poustawiałem pręty na swoim miejscu. Kiedy skończyłem, spojrzałem zdumionym wzrokiem na rękę.

– O co chodzi? – spytał Kapuściany Oddech.

– Pobrudziłem się tłuszczem... Ktoś najwyraźniej używał mojego różna.

– Ależ... kuchmistrza upiekli właśnie na różnie – szepnął cicho.

– Wygląda na to, że może mieć pan rację co do tych terrorystów.

– Tak... Muszę zorganizować obserwację terenu. Nie boi się pan tu zostać?

– Jestem starym człowiekiem, jedną nogą już w grobie. – Pstryknąłem przełącznikiem i potężny silnik elektryczny zawarczał. Prądnica włączyła się z jazgotliwym, szybkim terkotem i wózek wyjechał zgrabnie na zewnątrz, kierując się pod górę do domu.

– Muszę wracać do swoich obowiązków – stwierdziłem. – Dziękuję za telefon. Jak zobaczę tych pańskich szaleńców, to zadzwonię do pana.

Ruszyłem ścieżką za wypełnionym drewnem wózkiem. Z żółtoołowianego nieba posypały się drobne płatki śniegu. Wkrótce Boże Narodzenie.

Wózek bez trudu pokonał schodki. Zatrzymałem go na werandzie i wyładowałem drewno do dużego kosza, który stoi w holu. Postanowiłem, że trochę popracuję i wybiorę się po kolejną porcję drewna. Gdy ziemię pokryje gruba warstwa śniegu, nie będę się raczej wypuszczał z domu.

Dołożyłem polan do kominka. Kapuściany Oddech

odjechał. Usiadłem przy biurku. Znowu było wczoraj...

Za oknami padał śnieg. Ulice Berlina znaczyły czarne ślady po pojazdach, które przebiły się przez śnieżną biel. Pokój przesycony był zapachem małej sosnowej choinki, którą postawiłem w rogu przy oknie. Kurt śpiewał w wannie; szykował się do powrotu na zamek. Miałem nadzieję, że spędzi ze mną Boże Narodzenie, ale postanowił wracać. Obchodzili właśnie ponowne narodziny boga Słońce i chciał być w tym czasie wśród kolegów. Skończył już osiemnaście lat i wyrósł na dorodnego młodzieńca. Miał ładny baryton, który mogłem teraz podziwiać w próbie śpiewu:

*Ktokolwiek stanie przeciwko nam  
Z rąk naszych padnie sam.  
Nasze życia w lojalnej wierze  
Tobie ślubujemy, Führerze.  
Nie trzeba nam Chrystusa prawd;  
Adolf Hitler nam Wodzem i Przewodnikiem  
I naszym Orędownikiem.  
Tych więzów nie zerwą Kościoła fagasy,  
Myśmy dziećmi Hitlera po wszystkie czasy.*

Kurt przygotowywał się na święto ponownych narodzin Słońca, które miało odrodzić się z popiołów w czasie przesilenia zimowego. Zbierali się tego dnia wokół roziskrzanej choinki postawionej w zamkowej zbrojowni. Czuli, jak dusze pradawnych rycerzy germańskich, poskromicielei gorszych ras, przybywają z Walhalli, aby odrodzić się w ich ciałach. Wiem o tym, bo sam mi powiedział. Co do mnie, nie wierzę w żadnego boga i dlatego było mi trudno ustosunkować się do tych

wymysłów. Ponieważ nie uznaję także boskiej natury Adolfa Hitlera, nie było mi łatwo pogodzić się z myślą, że mój syn jest o niej święcie przekonany.

Zbyt późno dotarła do mnie prawda, że zmarnowałem swoje życie. Na stole leżał plecak, zwykły skautowski plecak z brezentu, pobrudzony trawą i ziemią. Obok piętrzył się niewielki stosik książek, starych i nowych, gotowych do zabrania. Wśród nich „Książę piechoty” Jiingera, mocno sfatygowany od częstego czytania, jiinger trafia mi do przekonania: podobnie jak ja, nigdy nie mógł otrząsnąć się z wojny, wciąż próbował przejść do porządku dziennego nad żarliwymi emocjami, jakie wyzwała walka.

Co jeszcze? Powieść Hermanna Hessego „Demian”. Instrukcje obchodzenia się z bronią, poplamione i ciągle pachnące oliwą do czyszczenia broni, dotyczące karabinka *Kar 98* i pistoletu maszynowego *MP-18*, który wyglądał jak lampa lutownicza. A to kto? Knut Hamsun? Nigdy o takim nie słyszałem. „Pan”, „Włóczęgi”, „Błogosławieństwo ziemi”... Zajrzałem do notki wydawniczej ostatniej książki: wyłaniał się z niej obraz na wpół mistycznego dzieła, hymnu na cześć rytmów ziemi i pór roku; autor ostrzegał, że jeśli nie będziemy żyć z nimi w harmonii, czeka nas wszystkich zagłada. Dorzuciłem ją do reszty. Koniec świata jest zawsze tuż-tuż, lecz w jakiś niezbadany sposób ulega niezmiennie przesunięciu.

Kurt tymczasem wyszedł z wanny i krzątał się w swoim pokoju. Kiedy w chwilę później wyszedł, doznałem niemałego wstrząsu. Był cały ubrany na czarno; zniknął gdzieś jego junkierski szarobrązowy mundur, a na to miejsce pojawił się kompletny strój esesmana. Jedynie na kołnierzyku nie było jeszcze naszywek.

– Co o tym myślisz? – spytał z dumą w głosie.

– Nie wiedziałem, że chcesz wstąpić do SS – bąknąłem. – Jesteś przekonany, że...

– Przekonany? A do czego innego mnie przygotowują? Na razie jestem jeszcze kandydatem, ale dwudziestego kwietnia, w dzień urodzin *Führera*, dostanę książeczkę i naszywki. Nie jesteś ze mnie dumny?

– Mógłbym postarać ci się o przyjęcie do Luftwaffe...

– *Nein, nein!* – krzyknął niecierpliwie. – Szanuję cię, ale nic nie rozumiesz. My, członkowie SS, idziemy na spotkanie z przeznaczeniem. Czekają nas prace bogów.

– Mówisz o Bogu? – zająknąłem się zaskoczony.

– Nie o bogu żydowskim, o którym uczą w kościołach, ale o pradawnych germańskich bogach z krwi i ziemi, *Blut und Boden*.

Spakował książki i paczkę żywnościową. – Czas już bliski – zapowiedział. Uznałem, że lepiej nie drążyć tego tematu. – Szkoda, że nie możesz zostać.

– Muszę wracać. To dla nas ważny moment. A ty co będziesz robił?

– Pewnie wyląduję u Eisenmanna. Też jest sam. Kurt zmarszczył czoło.

– Eisenmann?

– Znajomy z frontu.

– Zabrzmiało mi to jak żydowskie nazwisko.

– Bo jest Żydem – rzekłem cicho. – I Niemcem, który walczył na wojnie i został za to udekorowany Krzyżem Żelaznym I klasy.

– Widzisz? Wszędzie ich pełno.

– Nic dziwnego, są przecież narodem rozrzuconym po całym świecie. Kiwnął energicznie głową.

– Właśnie! Rozbiegli się po całym świecie i dlatego mogą spiskować na szkodę wszystkich narodów.

– Eisenmann jest tylko biznesmenem – usiłowałem zaprotestować.

– A skąd wiesz? Jeżeli nawet, to jest również członkiem plemienia Judy i, jako taki, dąży do zniszczenia rzemieślników żydowskimi metodami produkcji masowej.

– Co ty wygadujesz?

– To ty nic nie wiesz? – zdenerwował się. – Nie wiesz, że plemiona Izraela uknuły plan zniewolenia świata? Czy nie ma ich wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć? Bolszewicy to Żydzi, masoneria to przyczółek żydowski, chrześcijaństwo to nic innego jak organizacja żydowska. Zadaniem Niemiec w XX wieku jest uwolnienie świata od żydowskiego spisku.

– Kto ci tego wszystkiego naopowiadał?

– *Führer* – szepnął żarliwie. – Adolf Hitler we własnej osobie przybył na zamek i przemawiał do nas. Mówił o podstępności Żydów, o ich wszechobecności. Dlatego my, członkowie SS, musimy się w tym do nich upodobnić, musimy stać się równie podstępni i wszechobecni. Jesteśmy wybrani przez dawnych bogów, aby oswobodzić świat od wysłanników diabła, czyli od Żydów.

Zapałał się coraz bardziej.

– Czyż początek nie został już zrobiony? Czy przed pojęciem władzy przez Hitlera Żydzi nie panoszyli się wszędzie? Plemiona Issachara i Zabulo na wzniosły się na szczyty. Żydzi wykpiwali starą klasę wojskową, szydzili sobie z naszego patriotyzmu, głosili idee wolnomyślicielstwa i radykalizmu. Na każdym kroku widziało się ich plugawe pisma, wszystkie teatry wystawiały ich sztuki. I czyż nie zostali zmieceni przez Adolfa Hitlera?

A co było w Rosji? Nawoływali do rewolucji i dopięli swego. A u nas, czy plemię Manassesa nie przechwyciło całej prasy niemieckiej? Tylko dzięki Adolfowi Hitlerowi odzyskaliśmy ją z powrotem.

Zapiął paski plecaka i zarzucił go sobie na plecy.

– Jezus Chrystus też był Żydem – dorzucił pogardliwie. – To Adolf Hitler, nasz *Führer*, został namaszczony, by poprowadzić nas ku ziemi obiecanej.

Stałem w oknie i patrzyłem, jak oddala się ulicą.

Od tamtej pory prawie go nie widywałem. Pewnej nocy w 1943 roku *Lancaster* zrzucił bombę prosto na naszą kamienicę, dając tym samym wszystkim jego mieszkańcom prawo do nadania Göringowi miana kłamcy; wszak Grubas chętnie się zawsze, że na Niemcy nie spadnie ani jedna bomba. Tymczasem bomby leciały z nieba jak deszcz.

Nie było mnie w tym czasie w domu. Rzadko w nim zresztą mieszkalem, bo przebywałem wówczas na dalekim wyjeździe, oblatując *Messerschmitta Me-163*. Dużo wcześniej zaś brałem udział w okupowaniu innych krajów. Wojna potoczyła się tak, jak Hitler przewidywał. Najpierw Polska, potem Norwegia, Holandia, Belgia i Francja. Błyskawiczna wojna, błyskawiczne zwycięstwa. Göring przydzielił mi eskadrę *Messerschmittów Bf-109 VI* pułku *Schlageter*. Byłem w stopniu podpułkownika.

Luftwaffe robiła to, czego od niej oczekiwano. Działaliśmy jako artyleria lotnicza wspierająca działania wojsk lądowych, zapewnialiśmy myśliwską osłonę pola walki, nękaliliśmy siły nieprzyjaciela, bombardowaliśmy jego oddziały zaopatrzeniowe i ośrodki łączności. Sami mieliśmy doskonałą łączność wewnętrzną, zostaliśmy dobrze wyszkoleni do wykonania postawionych zadań i mieliśmy



przewagę liczebną. Nasi przeciwnicy nie byli w stanie zgrupować sił powietrznych w jedną całość ani skutecznie współpracować przy obieraniu głównych celów i taktyki pola walki. W tej sytuacji za każdym razem mieliśmy do czynienia z lotnictwem jednego kraju – i niszczyliśmy je.

A zatem przez jakiś czas nie było mnie w Berlinie. Nie widziałem się z Kurtem, który tymczasem został oficerem Waffen SS. Tak naprawdę straciłem go o wiele wcześniej.

Kiedy zdobyliśmy Paryż, a dym z płonących składów zaopatrzenia i plamy ropy wokół Dunkierki przetarły się na tyle, że widać było wyludnione plaże i opustoszałe morze (brytyjscy żołnierze zdołali się bowiem ewakuować się do kraju), otrzymałem przepustkę i przyjechałem do Berlina.

Pierwszego dnia, gdy zapadła już noc, rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Otworzywszy je, zobaczyłem Eisenmanna. Był wychudły i najwyraźniej wystraszony. Mimo ciepłej pogody miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy.

– Dzięki Bogu, już wróciłeś – ucieszył się, spieszenie przekraczając próg. Zdjął płaszcz, i wtedy ujrzałem przyszytą do marynarki żółtą gwiazdę. – Pomóż mi się stąd wydostać. Ukrywam się z kilkoma komunistami – wyjaśniał szybko. – SS przyszło do fabryki, żeby mnie aresztować, ale mnie tam nie było. Zabrali Peltza, mojego dyrektora.

– To ten, któremu sprzedałeś całe przedsiębiorstwo?

– Tak... *Scheisse*, jak mogłem być tak głupi! Widzisz, cały czas myślałem, że wszystkie draństwa, jakich nam nie szczędzą – te ich: „Żydzi wchodzą na własne ryzyko”, nawet palenie synagog – że robią to po to, żeby nas zastraszyć. Do tego stopnia w to wierzyłem, że z pewną ulgą powitałem Ustawy Norymberskie! Sądziłem, że jeśli zgodzimy się na

rolę obywateli drugiej kategorii, to dadzą nam spokój! Powinienem być uciekać, Hans...

Patrzył na mnie ze strachem w zapadniętych oczach.

– Po prostu nas zabijają. W Polsce za oddziałami wojska wkraczało SS i mordowało Żydów. Polowali na nich na ulicach, obrzucali ich granatami dla rozrywki, zamykali w synagogach i palili żywcem. Bo, jak mówili, wszyscy Żydzi muszą być *ausgebrannt und vemichtet* – spaleni i zniszczeni, wymordowani...

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Mam swoje źródła informacji – szeptał, jakby mnie nie usłyszał. – Jestem szefem dużego przedsiębiorstwa, docierają do mnie różne rzeczy... Wiem, że zagazowują wszystkich Żydów ze szpitali psychiatrycznych... Pozakładali specjalne kartoteki i nadali odrębny status Żydom, Cyganom i Murzynom. Prowadzą oficjalny rejestr, Hans. Wiedzą, kim kto jest...

– Posłuchaj, Klaus! – przerwałem ostro. – Za dzień, dwa wracam na front, wtedy ci już nie pomogę. Czego ode mnie oczekujesz?

– SS zabrało Peltza za prowadzenie interesów z Żydami... Jestem poszukiwany... Muszę wydostać się z kraju.

– Nie mogę zrzucić cię z myśliwca jak bombę... Niech się zastanowie... Już wiem: oddaj fabrykę Göringowi, przekaz mu swoje mieszkanie i dom na wsi w zamian za paszport z wizą wyjazdową. Jutro będę się z nim widział w związku z wojną powietrzną z Wielką Brytanią, porozmawiam z nim przy okazji w twojej sprawie.

– Ale czy poślakomi się na mój skromny majątek? – W głosie Eisenmanna brzmiały na równi nadzieja i strach.

– Göring niczego nie odrzuca – zapewniłem go. – To

wielki, tłusty rekin, pływający w wodzie pełnej innych rekinów, chwytą więc wszystko, co wpada mu w paszczę.

I tak się też stało. Nazajutrz, w trakcie omawiania zbliżającej się bitwy powietrznej z RAF-em, napomknąłem Göringowi o Eisenmannie. Göring zapewniał solennie *Führera*, iż Luftwaffe zada Brytyjczykom tak ogromne straty, że będą błagać o pokój, a do mnie i mnie podobnych należało słowa te przekuć w bojowy czyn. Pęczniał z radości na myśl, że będzie mógł podarować tak cenny prezent Hitlerowi – jedynemu człowiekowi, przed którym odczuwał strach. Na moją wzmiankę o możliwości zwiększenia stanu posiadania w zamian za stempel w paszporcie (którą uczyniłem niemalże mimochodem, wspominając, że chodzi o starego towarzysza frontowego Eisenmanna) Göring zareagował z równie nieobecna mina i chwyciwszy za telefon zlecił zajęcie się tą sprawą jednemu ze swych podwładnych, porucznikowi Schmittowi.

Eisenmann zatrzymał się u mnie. Następnego dnia wspólnie ze Schmittem omówił pośpiesznie wszystkie szczegóły, w następstwie czego fabryka uwolniła się z uścisku SS i została włączona w przepastne, bezkształtne imperium przemysłowe, nazwane od imienia człowieka, który był jego właścicielem – Hermanna Göringa. Domy Eisenmanna zostały zapisane w formie darowizny Göringowi – dość dogodna forma przekupstwa.

Spakowałem swoje rzeczy. Wracalem na front, wojna z Wielką Brytanią zaczynała się lada dzień. Rozległ się dzwonek u drzwi i wszedł uśmiechnięty młody Schmitt, trzymając paszport ze wbitą wizą wyjazdową.

– Chodźmy, *Hen Eisenmann* – powiedział. – Zawiozę pana na dworzec. Eisenmann uściśnął mi rękę ze łzami

w zapadłych oczach.

Dziękuję, dziękuję ci tysiącrotnie... – słowa ugrzęzły mu w gardle. Wychodząc ze Schmittem do windy, unosił ze sobą tylko jedną małą walizkę. I życie.

Zamknąłem mieszkanie i powróciłem na front.

*Wrzesień 1940 roku*

Z wysokości dwóch tysięcy metrów kanał La Manche wyglądał jak pomarszczone worki pod oczami, a woda przybrała trupi kolor. Tlen w masce miał smak gumy. *Bf-109* z dowodzonej przeze mnie eskadry osiągnęły pułap i zataczały teraz kręgi w powietrzu, czekając na wzbijające się powoli bombowce. Szybciej, szybciej! – niecierpliwiłem się. Po dotarciu nad cel pozostanie nam strasznie mało czasu. Musieliśmy jeszcze odrzucić zbiorniki, a tymczasem część myśliwców, zamienionych rozkazem Göringa w bombowce, wlokła się ociężałe pod nami, dźwigając 250-kilogramowe bomby.

Bombowce dołączyły wreszcie do nas: w mieszanym szyku leciały dwusilnikowe *Heinkle* i bombowce nurkujące, *Stukasy*. Wybrzeże Calais wtopiło się w ścielącą się za nami mgłę i wkrótce ujrzelśmy słynne białe klify.

A oto i Londyn z wijącą się, szeroką wstęgą Tamizy. Ogień zaporowy artylerii przeciwlotniczej, wznoszący się nad rozmieszczonymi pod nami balonami zaporowymi. Bombowce skaczą nerwowo.

Gdzie są brytyjskie myśliwce?

Że nas wypatrzą, to pewne. Mają radar, znają nasze

dokładne położenie, wysokość i kurs; naziemni kontrolerzy nakierują ich na nas.

*Messerschmitty* wyrywają się to w lewo, to w prawo, niczym psy na uwięzi. Nie wolno nam zostawić bombowców. To bardzo nieprzyjemne uczucie, w ten sposób inicjatywę oddaje się w ręce nieprzyjaciela. Od początku kampanii, którą Brytyjczycy nazwali Bitwą o Anglię, straciłem ponad połowę pilotów. My również zestrzeliwaliśmy pilotów RAF-u – widząc jednak, jak opadają na spadochronach, wiedziałem, że nazajutrz – albo nawet jeszcze tego samego dnia – mogę spotkać ich znowu na swojej drodze.

Nie przestawałem obracać głową na wszystkie strony, wypatrując oznak nieprzyjaciela. Jest. Błysk światła nad nami – słońce odbite od skrzydła.

– Uwaga, są nad nami, godzina trzecia.

Uwolniłem kciukiem bezpiecznik karabinów maszynowych i nastawiłem celownik. Londyn widziany przez celownik zajaśniał swoim blaskiem. Moi chłopcy zamiatali nerwowo ogonami samolotów, skacząc to w lewo, to w prawo, jakby pobudzeni elektrycznym impulsem.

– Do dowódcy Żółtej: sześć samolotów nad nami! Godzina dziewiąta.

– Niebieski do dowódcy Żółtej: dziesięć *Spitfire*’ów nad nami! Godzina ósma.

Z radia docierały gorączkowe głosy. Raptem w bębunki uderzył mnie krzyk:

– Do dowódcy Żółtej: atakują od prawej!

Pobiegłem szybko wzrokiem w prawo i zobaczyłem chmurę *Hurricane*’ów spadających na nas prosto ze słońca. Było ich ze trzydzieści. Cztery czy pięć siedziało mi na

ogonie, oddalone nie więcej niż sześćset metrów.

– Zwrot w prawo o sto osiemdziesiąt stopni! Wykonać natychmiast! Położyłem samolot w ostrym skręcie. Pocisk smugowy przemknął kilka metrów od końcówki skrzydła. Odciągnąłem dźwignię przepustnicy do końca. *Heinkle* i *Stukasy* rozpierzchały się jak kurczaki gonione przez lisa. Jeden ze *Stukasów* eksplodował i zwałił się na lecącego pod nim *Heinkla*: niebo zasnuło się smugami dymu z ginących samolotów.

*Spitfire!* Przyciągnąłem drążek i z silnikiem ryczącym na pełnych obrotach skoczyłem niemal pionowo w górę.

Zwinne, zielono-brązowe *Spitfire*'ry śmigały między nami niczym strzały, pomijając zupełnie nasze myśliwce i pędząc dla zadania śmiertelnego ciosu bombowcom. Strzeliłem z czterdziestostopniowego odchylenia, ale chybiłem. Wypatrzyłem jednego! Ściągnąłem drążek do końca.

Pociemniało mi w oczach; siła przeciążenia ściągnęła mi maskę w dół twarzy, zdrapując naskórek z nosa. Krew lała się po brodzie.

Miałem go! Otworzyłem ogień, strzelając krótkimi seriami z karabinów maszynowych i działka. Widziałem, jak pociski eksplodują, trafiając w podstawę skrzydła.

Nagle opadł nosem w dół. Ruszyłem za nim, nabierając szybkości: pięćset pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, sześćset... *Spitfire* utrzymywał odległość. Wypuściłem serię i siła odrzutu spowolniła lot maszyny. Cały czas leciałem z boku. Pilot obejrzał się na mnie i zobaczyłem jego twarz: wyglądał jak dziwny okaz owada o wylupiastych oczach.

Powietrze było czyste. Czarne pionowe słupy dymu znaczyły stopy pogrzebowe zestrzelonych samolotów. Na

łąkach rozrzucone były płonące szczątki.

Drogi i wioski śmigały pod naszymi skrzydłami. Raptem znaleźliśmy się tuż nad ziemią; przemknąłem ze świstem koło wieży kościelnej. Teraz był już mój. Otworzyłem ogień i ujrzałem kłęb dymu. Osłona kabiny Anglika odpadła i poszybowała w moją stronę, mieniając się w słońcu. Pilot odepchnął drążek ginącej maszyny i skoczył. Po chwili na niebie wykwitła biała czasza spadochronu, na której zaczął opadać ku ziemi.

*Spitfire* zderzył się z ziemią z ogromnym impetem, rozrzucając na wszystkie strony palące się kawałki. Znacząc swój szlak płonącym paliwem, przewalił się przez łąkę, przebił się przez ogrodzenie i spadł na nasyp w fontannie iskier.

Jezu!

Coś trafiło w tablicę przyrządów. Poczułem na twarzy okruchy szkła i strumień wrzącej cieczy. Ryknąłem z bólu. Pociągnąłem drążek, miotałem się w lewo i w prawo, tańcząc stopami na pedałach orczyka i widząc, jak pociski smugowe przecinają powietrze. Gaz do dechy!

Obejrzałem się rozpaczliwie: miałem za sobą *Spitfire'a*. Podążał widocznie za swoim kolegą, kiedy atakowałem tamtego. Skrzydła błyskały mu ogniem, gdy pruł do mnie seriami pocisków, odpłacając mi pięknym za nadobne.

Ujście Tamizy; statek z marynarzami, wymachującymi w podekscytowaniu rękami na nasz widok. Przelecieliśmy koło nich jak burza, wzbijając za sobą wodę.

Nagle dym, maszyną wstrząsnęły eksplozje: zostałem trafiony. Naraz jakby jakiś olbrzym zdzielił mnie w ramię swoim buciorem. Krew opryskała szybę kabiny. Pociągnąłem drążek na siebie i wzbiłem się w górę: jeżeli



przyjdzie mi skakać, muszę wznieść się wyżej.

Gdzie teraz jest?

Dokładnie za mną. Już nie żyję.

Ale dlaczego nie strzela?

Wciąż leciałem, coraz wyżej i wyżej. *Spitfire* raptem odpadł i zawrócił do bazy.

Zabrakło mu amunicji! Byłem nadal wśród żywych.

Lewe ramię miałem wygięte pod dziwnym kątem. Przyrządy pokładowe wisiały na uzwojeniach i przewodach, przez puste oprawki dobywał się dym. Na zewnątrz olej skrapiał wiatrochron maziowatą mżawką.

Zwiększyłem delikatnie obroty silnika. Żyroskopowy wskaźnik kursu obracał się bez ładu i składu. Ustaliłem kurs za pomocą zwykłego kompasu; czułem się, jak rybak wracający do domu z ładownią pełną dorsza.

Dostrzegłem pod sobą ruch. Boże, byle tylko nie nieprzyjacielski myśliwiec! Mój *Messerschmitt* trząsał się jak wiekowy starzec, w tyle kadłuba łomotała jakaś urwana część.

Na szczęście to tylko *Stukas*. Samolot ciągnął za sobą ogon dymu. W odruchu bratniej pomocy ruszyłem ostrożnie w jego kierunku. Zbliżywszy się, ujrzałem dziury po pociskach i roztrzaskaną osłonę kabiny. Pojedynczy kaem tkwił wycelowany beznadziejnie w górę. Oszklenie było zachłapane krwią, pokancerowane ciało strzelca pokładowego zwisało bezwładnie w fotelu. Widząc nadlatujący samolot, pilot podniósł trwożliwie wzrok i, uspokojony, pomachał do mnie krótko.

Towarzyszyłem mu jakiś czas, gdy nagle zauważyłem pod sobą błysk ognia, po którym cienki ogon czarnego dymu, wijący się za *Stukasem*, rozrósł się raptownie

w szeroką wstęgę. Wnętrze kabiny bombardiera rozświetlał szalejący pożar; widziałem, jak pilot miota się na wszystkie strony, próbując otworzyć osłonę.

Bombowiec przewrócił się na ogon i runął do morza. Kiedy fale się uspokoiły, pozostała po nim jedynie ulotna smuga dymu.

Wśród strzępów tablicy przyrządów rozbłysła czerwona lampka: kończyło mi się paliwo. Byłem nad Calais. Ziemia. Znajdowałem się na wysokości stu metrów, kiedy silnik zakrzuszył się. Śmigło zatrzymało się. Miałem pod sobą pole. Skąd wiał wiatr? *Scheisse*, leciałem z wiatrem. Pod skrzydłami przemknęły drzewa małego sadu. Podciągnąłem się na pasach. Tuż przede mną wyskoczył jakiś mur. W dole łany zbóż. Opuściłem nos maszyny, ziemia była tuż-tuż.

Pierwszy, potężny wstrząs: *Messerschmitt* zaczął skakać przede mną jak łódź na bystrzynach rzeki. Skrzydła złożyły się, jakby były zrobione z bibułki. Uszy wypełnił mi piekielny zgrzyt. Osłoniłem zdrowym ramieniem twarz...

Wtem zaległa przejmująca cisza. Siedziałem jak zamroczony, gdy nagle uderzył mnie podmuch gorąca. Zacząłem szarpać zaczepy kabiny, czując zapach wrzącego oleju, który po chwili zapalił się gwałtownym płomieniem. Walcząc z ciężką osłoną, zdołałem ją w końcu podnieść. Zwaliłem się całym ciężarem ciała na poszarpane resztki skrzydła. Pozbierałem się jakoś i, kuśtykając, zacząłem uciekać od wraku. Dobiegły mnie eksplozje, dym, stukot wybuchającej amunicji, swąd palącego się siana. W ustach czułem smak krwi.

Schmitt – tak się nazywał, porucznik Schmitt. Nasza grupa złożona z dowódców eskadr myśliwskich stała obok wagonów, czekając aż *der Dicke* wynurzy się z pociągu.

Grubas kazał na siebie czekać, by pokazać, jak nisko nas ceni. Schmitt, który sam wyłonił się niedawno z długiego szeregu wagonów, zdobionych niebiesko-złotymi barwami godnymi sali jadalnej Romanowów, stał teraz z boku jak cała reszta. Zrezygnowałem z próby podrapania swędzącego miejsca pod gipsem na ręce i zbliżyłem się do niego ostrożnym krokiem.

– A, witam pana pułkownika – odezwał się. – Jestem pewny, że pan marszałek lada moment wyjdzie.

– Nie wątpię, jeśli nie chce przegapić startu bombowców.

– Pan marszałek nie jest zbyt zadowolony – ostrzegł mnie. – Obiecał osobiście *Führerowi*, że Luftwaffe rzuci Wielką Brytanię na kolana. A tymczasem ponosimy tak duże straty, że nalotów trzeba dokonywać nocą.

– Nie wydaje mi się, abyśmy my, piloci, uważali kiedykolwiek za możliwe ograniczenie potencjału Anglii przez ataki z powietrza – bez względu na to, co obiecywał marszałek Rzeszy.

Rozejrzałem się wokół siebie. Piloci chodzili bez celu po peronie, postawiwszy futrzane kołnierze przed narastającym chłodem.

– Pamięta pan, poruczniku, tego starego *Frontkämpfer*, któremu pan pomagał? Tego, co to przekazał Göringowi swoją fabrykę i domy?

– Mówi pan o tym Żydzie?

– Właśnie. Zdawało mi się, że odprowadzał go pan do pociągu, zgadza się? Otóż jego żona, która mieszka w Ameryce, napisała mi w liście, że na niego czekała, ale on do tej pory nie odezwał się.

Schmitt wpatrywał się intensywnie w paznokcie. – Pewnie wkrótce się zjawi – zasugerował.

– Nie dał znaku życia.

– Pułkowniku, *die Juden sind unser Unglück* – zauważył z nutą znużenia. – Żydzi są przyczyną naszych nieszczęść. Kto by się przejmował losem jakiegoś Żyda? Czy to takie ważne, gdzie jest?

– Dla mnie tak – nie ustępowałem.

– A więc dobrze! Wsadziłem go do pociągu, tak jak mi kazał marszałek.

– Do jakiego pociągu?

Na twarzy Schmitta pojawił się nieoczekiwane uśmiech. – Tak, jak mi polecono! Wsiadł do pociągu, który jechał do Polski. – Zwrócił się twarzą do mnie. – Marszałek i *Reichsführer* Himmler zdają sobie sprawę z nowej sytuacji. Nie są zainteresowani dalszymi wyjazdami Żydów z kraju. Wszystkich Żydów trzeba zmusić do pracy, żeby odkupili zniszczenia, jakie wyrządzili naszej ojczyźnie. A więc Żyd Eisenmann jest teraz w Polsce i pracuje dla *Vaterlandu*. A, już idzie marszałek!

Drzwi wagonu otworzyły się i Göring precyzyjnie przeszedł przez przejście. Jaśniał pełnym blaskiem w nowym mundurze marszałkowskim, na który składało się kilka metrów kwadratowych szafirowego materiału, zdobionego złotymi sznurami. Posłał nam chmurne spojrzenie przez warstwę makijażu i poczłapał kaczym krokiem do samochodu. Wsiadliśmy w swoje auta i cała kawalkada skierowała się na lotnisko, gdzie *Heinkle* i *Ju-88* szykowały się do startu. Göringowi na ten widok humor jakby się poprawił.

– Nareszcie! – krzyknął. – Teraz zmiażdziemy Anglików. Osłona nocy zapewni to, czego nie były w stanie zapewnić myśliwce w ciągu dnia – bezpieczeństwo dla bombowców.

Wśród pilotów zapanowało pełne napięcia zdenerwowanie. Kilku młodszych zerknęło w moją stronę: wiedzieli, że latałem z Göringiem w Cyrku Richthofena.

– Trochę to niesprawiedliwe, panie marszałku – zakrzyknąłem. Odwrócił się do mnie – A, to ty, Wolff! – sarknął. – Spojrzał pogardliwie na moją rękę i pokaleczoną twarz. – Co ci się stało? Upiłeś się i spadłeś ze schodów? Uważasz, że oceniam was niesprawiedliwie? To powiedz mi, dlaczego jestem zmuszony wysyłać bombowce nocą, hm? Słucham!

– Po pierwsze, *Stukasy* w konfrontacji z dobrymi myśliwcami są jak kaczki na strzelnicy. Nie możemy zapewnić im osłony w czasie lotu nurkowego, więc *Hurricane'y* i *Spitfire'y* zjadają je żywcem.

– *Stukasy* wycofaliśmy, a wy innych bombowców też nie potraficie osłaniać.

– Wina błędnej taktyki – odparłem krótko. – Jesteśmy myśliwcami i jako tacy powinniśmy mieć swobodę przemieszczania się, bo tylko wtedy możemy być skutecznymi obrońcami. Nie pamięta pan, co mówił nasz dawny dowódca *Freiherr von Richthofen*? „Piloci myśliwców muszą mieć możliwość swobodnego penetrowania przydzielonego im obszaru działania, a wypatrzywszy nieprzyjaciela przystępują do ataku i zestrzeliwiają go. Całe inne gadanie to zwykłe brednie”. A nas zmusza się do stosowania zupełnie innej taktyki.

– To moja taktyka! – warknął niebezpiecznie. – I byłaby skuteczna, gdy bym miał pilotów zamiast bab! Zobaczmy, jak spiszą się załogi bombowców!

Straciłem wielu swoich chłopców, podobnie jak reszta stojących koło mnie dowódców; przez cały czas

wypełnialiśmy wszystko, co do nas należało. Na myśl o tym wezbrał we mnie gniew.

– Chociaż naszym kolegom z bombowców – tak jak i nam, pilotom myśliwców – nie brakuje odwagi, to nie uda im się złamać Anglików, co najwyżej bardziej ich rozjuszyć.

– A to niby dlaczego, jeśli wolno wiedzieć? – spytał miękko Göring. Część pilotów zaczęła się powoli ode mnie odsuwać: potrafili odczytać oznaki nadciągającego niebezpieczeństwa.

– To średnie samoloty bombowe – zacząłem. – Mogą przenosić lekkie ładunki, a do tego nie mamy ich w wystarczającej ilości. Praktycznie wszystkie posiadane maszyny wysyłamy na linię frontu. Nie tworzymy odpowiednich rezerw, więc na skutek ciągłych strat nasza szpica uderzeniowa zostanie w końcu okrojona do mizernego kikuta. Osiągamy jedynie tyle, że dajemy Anglikom okazję do zdobycia doświadczenia i wkrótce sami się zjawią, by oddać nam wet za wet.

– W przyszłym roku będzie gotowy czterosilnikowy bombowiec *Heinkel He-177*, a wtedy wykończymy Brytyjczyków!

– To chybiona konstrukcja. Pomysł zastosowania czterech silników do napędu dwóch śmigieł jest pozbawiony sensu. Nic z tego nie będzie.

– Phi! O wiele bardziej niż nowinki techniczne liczy się bohaterska postawa jednostki.

– Jeżeli samolot od strony konstrukcyjnej i produkcyjnej nie spełnia wymogów walki powietrznej, to z równym powodzeniem można by posyłać bohaterskich pilotów na *Fokkerach* z 1918 roku – odpaliłem.

Bombowce rozgrzewały silniki, rozbłyskując

w gęstniejącym mroku niebieskawymi płomieniami. Tocząc się ociężale po trawie, jeden po drugim wzbijały się w powietrze i brały kurs na wybrzeże. Wkrótce pomruk silników zamarł w ciemności i pozostaliśmy sami na pustym lotnisku. Göring patrzył za odlatującymi maszynami; powoli z jego twarzy zniknął uśmiech.

Odwrócił się i zaczął kroczyć do samochodu. Nagle przystanął i wykonał błyskawiczny obrót na pięcie w moją stronę.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego nasze myśliwce zawaliły sprawę? Bo dowodziły nimi stare pryki bez jaj, takie jak ty! Na stanowiskach dowódczych potrzebuję ludzi młodych i odważnych. Popatrz na siebie! Utyłeś i wyłysiałeś, wyglądasz jak stara papuga! Nie nadajesz się do tego. Mówisz, że jesteś takim specem od techniki, co? Bardzo dobrze! Twoje miejsce jest na tyłach, wśród innych tchórzy, parszywych cywilów, co dekują się przy pracy nad samolotami. Tu jesteś skończony! Na froncie potrzebujemy tylko bohaterów.

– Bardzo dobrze, panie marszałku – odrzekłem zimno. Nie panując dłużej nad słowami, dorzuciłem: – Rozumiem zatem, że skoro pan sam jest coraz grubszy, starszy i wystrojony dokładnie jak papuga, to ma pan zamiar także odejść.

Stałem i wyglądałem przez okno. Lis biegł susami przez łąkę, przyprószoną już śniegiem. Wpadł między drzewa i zniknął. Nagle w niebo wyskoczyły kanie i z głośnym skrzekiem zaczęły zataczać kręgi, sadowiąc się po chwili na gałęziach w wojowniczym nastroju. Najwyraźniej tam, w dole, musiała leżeć jakaś padlina, a lis przeszkodził im w przyjemnym (jak dla nich) zajęciu oczyszczania jej do

gołych kości. Zimy panują tu srogie, więc ptaki starają się najeść do syta, kiedy tylko nadarza się okazja.

Göring odzyskał na tyle humor, że załatwił mi nowe stanowisko; nie skierowano mnie do przerzucania papierków, co spotkało niektórych starych lotników. Nigdy już jednak nie był tak życzliwy jak dawniej. Pewnie i dlatego, że od momentu rozpoczęcia Bitwy o Anglię jego Luftwaffe nie spisywała się równie dobrze jak niegdyś. Tak jak szczęście coraz bardziej odwracało się od Luftwaffe, tak i on popadał w coraz większą niełaskę u Hitlera, jedyne go człowieka, który napawał go lękiem. Zgodnie z moją przepowiednią, naloty bombowców nie zdołały złamać oporu Anglików. Ponosiliśmy tak duże straty, że w końcu zmuszeni byliśmy zaniechać ataków. I wtedy wojna przeniosła się na wschód. Zaatakowaliśmy Rosję...

Ja tymczasem objąłem stanowisko inżyniera i pilota oblatywacza nowego modelu *Messerschmitta*. Göring, dając jeszcze na koniec ujście swojej złości, nakazał, by mnie, jako wybitnemu znawcy techniki i osobie obdarzonej niezwykle wysokim mniemaniem o własnej odwadze, powierzano najbardziej niebezpieczne z opracowywanych projektów. Takim to sposobem zostałem włączony w prace nad rozwojem myśliwca o napędzie rakietowym *Messerschmitt Me-163*. W czerwcu, kiedy potężne siły niemieckie w ramach planu Barbarossa przełamywały granicę rosyjską na liczącym trzy tysiące kilometrów froncie, ja siedziałem w Peenemunde, gdzie ulokowano naszą ekipę prowadzącą badania nad nowym, przełomowym modelem myśliwca. Dla mnie wojna nagle jakby przeniosła się na inną planetę. Byłem pilotem oblatywaczem, inżynierem do prac badawczo-rozwojowych – i nikt do mnie nie strzelał.



Powróciłem w lata dwudzieste: znowu latałem na szybowcach.

W latach dwudziestych latałem na zupełnie niezwykłym szybowcu o nazwie *Storche* czyli „Bocian”, stworzonym przez pewnego młodego konstruktora, który nazywał się Alexander Lippisch. Samolot nie miał ogona – został pomyślany jako jedno wielkie „latające skrzydło”. Lippisch był gorącym zwolennikiem tego rodzaju konstrukcji i wkrótce zaprezentował bezogonową maszynę o skośnych skrzydłach, która miała kształt greckiej litery delta. Ówczesne Ministerstwo Lotnictwa wykazało typową dla biurokratów inteligencję, wyrokując, że z uwagi na brak ogona maszyna nie jest bezpieczna.

Czas mijał. W 1940 roku Lippisch miał już gotowy projekt niewielkiego myśliwca o skośnych skrzydłach, który mógł być napędzany bardzo małym i lekkim silnikiem raketowym konstrukcji Helmutha Waltera. Silnik pracował na mieszance nadtlenu wodoru i różnych węglowodorów, znanej jako *T-stoff* oraz mieszance *C-stoff*, stanowiącej połączenie wodzianu hydrazyny z alkoholem metylowym. Dodanie do siebie obu mieszanek wywoływało reakcję, która – jeśli mieszanki znajdowały się w komorze spalania silnika – wytwarzała potężną siłę ciągu.

Proces ten odbywał się w bardzo starannie kontrolowanych warunkach. Dla zilustrowania skali niebezpieczeństwa wystarczy przytoczyć następujący przykład: gdyby mechanik wylał (co istotnie się zdarzyło) litr czy dwa *C-stoffu* do wiadra z resztkami *T-stoffu*, to przepadłby wraz z wiadrem w oślepiającym błysku fioletowego dymu.

*Messerschmitt Me-163 Komet*, zabierał ze sobą dwie tony

*C-stoffu* i *T-stoffu*.

Trzeba jeszcze dodać, że *T-stoff* zapalał się przy najmniejszym zetknięciu się z substancją organiczną, *C-stoff* natomiast rozpuszczał wszystko, nie oszczędzając naturalnie i samego pilota.

Ale napędzany nimi silnik był w stanie dokonać takiego oto wyczynu: podczas gdy samolot o napędzie tłokowym potrzebował często pół godziny na osiągnięcie docelowego pułapu, to *Messerschmittowi Me-163* wystarczała na to jedna minuta; o ile ten pierwszy mógł latać z prędkością sześciuset kilometrów na godzinę, myśliwiec raketowy dochodził do bariery dźwięku, przekraczając prędkość tysiąca kilometrów.

Czym innym jednak było wprowadzenie tego projektu w życie. W czasie gdy zespół konstruktorski pracował nad rozwinięciem projektu, część z nas zmagala się z kadłubem. Po wyczerpaniu się paliwa, *Me-163* zamieniał się w szybki szybowiec – zaczęliśmy więc od szybowców. *Versuch*, czyli „model eksperymentalny 163AV” był tak szybki, że od momentu wyczerpania się paliwa do lądowania pokonywał około stu sześćdziesięciu kilometrów. Według obliczeń, w pełni wyposażony myśliwiec *Me-163B* powinien usiąść na ziemi na wysuwanej płozie (był zaprojektowany jako maszyna bez kół) po przebyciu dwustu sześćdziesięciu kilometrów. Maszyna startowała z odrzucanego po starcie wózka a lądowała na płozie.

Ponieważ *Me-163* zachowywał się jak szybowiec, pilot przy podchodzeniu do lądowania nie miał wsparcia ze strony napędu. Zatem lądowanie musiało się powieść za pierwszym razem. Jeśli tak było, pilot wysiadał z kabiny i szedł do kantyny na piwo. Jeżeli zaś było nieudane, w grę

wchodzić mogły różne warianty zakończenia, począwszy od rozerwania pilota na kawałki, a skończywszy na rozpuszczeniu go niczym pastylki aspiryny w żrących chemikaliach. Nie przypadkiem więc *Me-163* w niedługim czasie zyskał sobie określenie „diabelskich sań”.

Widać z tego, jak ważne było właściwe podejście do lądowania. Dla szkolenia pilotów w tym zakresie posłużyliśmy się szybowcami, zaczynając od standardowych typu *Grunau Baby* a następnie przechodząc na szybowce typu *Habicht*. Wraz ze wzrostem umiejętności lotników, skracaliśmy skrzydła szybowców. Wkrótce śmigły w powietrzu niczym pociski. Loty przeniosły się teraz do Bad Zwischenahn – w urokliwy i pełen sielanki krajobraz fryzyjskich wsi. Lippisch nie mógł dojść do porozumienia z profesorem Messerschmittem, którego zakłady budowały wspomniany myśliwiec, i w 1943 roku przeniósł się do Wiednia, gdzie stanął na czele instytutu badań aerodynamicznych. Tam właśnie opracował projekty ponaddzwiękowych myśliwców odrzutowych o skrzydłach w kształcie litery delta. Nigdy już się nie spotkaliśmy, za to po zakończeniu wojny sporo o nim czytałem. Szefowie amerykańskiego koncernu Convair, będąc pod wrażeniem jego pomysłów, postanowili je wykorzystać. W ten sposób powstały ponaddzwiękowe odrzutowce, takie jak *Delta Dagger* i *Delta Dart* oraz bombowiec *B-58 Hustkr*, który – podobnie jak *Me-163* – wyprzedzał o dziesięć lat swoją epokę.

W pięknej wiejskiej okolicy nad jeziorem Zwischenahn pracowaliśmy nad przekształceniem eksperymentalnego modelu w uzbrojony myśliwiec, niszczące narzędzie wojny.

Niebo nad Niemcami, nawet w nocy, przemierzały floty

brytyjskich czterosilnikowych bombowców, zamieniając całe miasta w płonące zgliszcza, a Amerykanie w swoich Latających Fortecach w świetle dnia obracali w perzynę nasze obiekty przemysłowe. Gdyby udało się nam opracować, a następnie wyprodukować odpowiednią liczbę *Me-163*, otrzymalibyśmy broń zdolną do zadania Amerykanom tak poważnych strat, że musieliby zaprzestać swoich ataków.

W Bad Zwischenahn żyliśmy z dala od wojny. W końcu jednak wojna zawitała i tam: otrzymałem list od Hoepnera, w którym pisał, że przyjeżdża na urlop z frontu wschodniego. Umówiliśmy się na kolację w znanej mi restauracyjce w Bad Zwischenahn.

– Podobno nie powinienem pytać, co tutaj robicie – odezwał się Hoepner żartobliwie.

– Fakt, pracujemy nad supertajnym projektem – przyznałem. Hoepner postarzał się bardzo od naszego ostatniego spotkania; leczył się po odniesionych ranach nóg i musiał posługiwać się laską. Ale poza tym był to wciąż ten sam Hoepner. Tak jak ja, miał stopień pułkownika.

– Nic nie szkodzi – ciągnął. – Sam też muszę w niektórych sprawach trzymać język za zębami. No, co tu dobrego dają? Słyszałem, że można tu nieźle zjeść.

– Właściciel zawarł jakąś umowę z miejscowymi rolnikami. Poza tym uzupełnia menu rybami, które sam łowi w jeziorze. Na początek radzę ci spróbować wędzonego węgorza, coś wspaniałego! Jakby tego było mało, ma jeszcze piwniczkę z przedwojennymi winami!

– Rzeczywiście dobre – orzekł Hoepner z namaszczeniem, zanurzywszy usta w tokaju.

– Lepsze niż na froncie – zauważyłem prowokująco.

– A, na froncie... Tam częstują nas kulami i bombami. I nienawiścią, która otacza nas ze wszystkich stron, kiedy wycofujemy się przez ruiny miast i wsi, które wcześniej widziały nasz triumfalny wjazd. Mimo wszystko myślę, że mieliśmy szansę wygrać.

– Tak uważasz?

– Jestem o tym przekonany. – Rozejrzał się dookoła, ale siedzieliśmy w zacisznym miejscu, gdzie nikt nie mógł nas podsłuchać. – Mieszkańcy Związku Radzieckiego nienawidzili Stalina za los, jaki im zgotował – wyjaśniał cichym, lecz wyraźnym szeptem. – Stalin wymordował, zagłodził na śmierć i prześladował miliony ludzi. Kiedy wkroczyliśmy na Ukrainę, mieszkańcy przyjęli nas jak wyzwolicieli. Gotowi byli walczyć u naszego boku i iść aż do Moskwy, by tam zatknąć głowę Stalina na pal! Ręczę ci, niewiele było trzeba, żeby przeciągnąć ich na naszą stronę: żołnierze i oficerowie dezercerowali do nas całymi tysiącami. Ale sytuacja zmieniła się, kiedy SS przystąpiło do zabijania ludzi...

– Kogo masz na myśli?

– *Einsatzkommando*, oddziały likwidacyjne. Teoretycznie mają zabijać bolszewickich komisarzy, ale sam widziałem masowe groby kobiet, dzieci i starców... Działają na rozkaz samego Hitlera, według którego Słowianie, podobnie jak Żydzi, należą do klasy podludzi, dlatego trzeba ich zetrzeć z powierzchni ziemi. Prowadzimy wojnę rasową: mordujemy Żydów, Słowian, Cyganów, właśnie tych, którzy mogliby przyczynić się do naszego zwycięstwa.

– Eisenmanna wysłali do Polski – wyrzuciłem z siebie. – Próbowałem mu pomóc w wydostaniu się z kraju, ale trafił do Polski do obozu pracy przy musowej.

– Esenmann był Żydem, więc teraz już najpewniej nie żyje – objaśnił cicho Hoepner. – Himmler kazał założyć w Polsce wielkie obozy koncentracyjne, w których odbywa się masowa eksterminacja Żydów. Za jednym zamachem morduje się ogromne rzesze ludzi...

– Skąd masz taką pewność?

– Widzisz... jestem w sztabie Grupy Armii „Środek” dowodzonej przez von Tresckowa. Mamy swoje sposoby zdobywania informacji. Więźniów przywozi się pociągami, a potem... zagazowuje. Eisenmann do tej pory na pewno podzielił los reszty, a jego ciało zostało spalone w wielkim piecu.

– To szaleństwo – wydukałem. – Himmler to pomylenie, wariat o mózgu przeżartym marchewką...

– Jak również biurokrata i człowiek, który do samego końca będzie wykonywał wolę Hitlera. Stoi na czele sprawnej organizacji, stworzonej tylko po to, by łapać i eliminować Żydów i innych *Untermenschen*.

Hoepner umilkł na krótko. Wreszcie wziął do rąk sztucę i zabrał się na powrót do szynki.

– Szczęściarz z ciebie! – westchnął. – Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek jadł równie smaczną szynkę, nawet w czasach pokoju.

– Świnie są daleko od frontu, martwią się jedynie o pełne koryta.

– Ładnie tu u was, naprawdę ładnie. A jak ci się tu pracuje po powrocie z frontu?

– Byłem dumny z tego, że mogę dowodzić swoimi chłopcami. I walczył bym nadal, gdyby nie Grubas: całą winą za niepowodzenia w Bitwie o Anglię obarczył pilotów starszych wiekiem... Mnie nawet nazwał tchórzem...

Hoepfner skrzywił twarz z niesmakiem.

– Zawsze cię miałem za mało rozważnego, choć pewnie i taka postawa może mieć swoje plusy – mruknął. – Ale w twoją odwagę nigdy nie wątpiłem. Coś mi się jednak zdaje, że wciąż nie masz od niego spokoju, nawet tutaj. Przyznaj się?

– Nie ma najmniejszego pojęcia o tym, że prowadzenie wojny powietrznej łączy się nierozdzielnie z produkcją i zaopatrzeniem. Strategia wojny powietrznej, o której wie tyle co nic, zależy całkowicie od rozwoju nowych broni i masowej produkcji samolotów. Kiedy ta sfera jest uporządkowana, wtedy można oczywiście przejść do kwestii czysto wojskowej natury – ale nie wcześniej.

Nie przerywając, ciągnąłem:

– Stawianie przez niego na pierwszym miejscu młodych oficerów też nam nie wychodzi na dobre. Do tego nie ukrywa pogardy dla inżynierów i cywilów, czyli tych, na których spoczywa obowiązek produkcji nowych broni. Niedawno próbował nawet doprowadzić do rozstrzelania części naszej kadry, bo – jak twierdził – nie pracujemy dostatecznie szybko!

– Starzy *Frontkämpfers* są niewiele lepsi – poskarżył się Hoepfner. – Pełnią stanowiska dowódcze przekraczające ich możliwości. Byłem przy tym, jak generał Bittrich starał się wyłożyć Seppowi Dietrichowi, który wcześniej był szoferem i ochroniarzem Hitlera, podstawowe zasady strategii w zestawieniu z taktyką. Dla Dietricha, który, jak wiesz, jest obecnie generałem Waffen SS, taktyka jest sprawą prostą: atakować i zniszczyć nieprzyjaciela bez oglądania się na straty w ludziach. A strategia? Nie mógł w ogóle pojąć, co to takiego.

Upił nieco wina.

– A jak twój syn? – zmienił temat.

– Kurt nie żyje odparłem, nie zmieniając tonu głosu. – Jego oddział został starty na miazgę gdzieś pod Stalingradem. Służył w armii von Paulusa. Hitler miał już wydać von Paulusowi rozkaz odwrotu, kiedy Göring zaczął go chełpliwie zapewniać, że może dostarczać wojskom pod Stalingradem zaopatrzenie drogą powietrzną. Ta gruba świnia zrobiłaby wszystko, byle się podlizać Hitlerowi... No więc Hitler zabronił im się wycofywać i teraz wszyscy nie żyją... A Grubas ma nowy mundur.

– Tak mi przykro... Tylu ludzi już zginęło...

– Straciłem go dużo wcześniej. Pozwoliłem mu pójść do szkoły w zamku Wallenberg, nie mając pojęcia, że jest to miejsce indoktrynacji młodzieży.

Kiedy się zorientowałem, było za późno. Kurt miał charakter Hildy: musiał w coś wierzyć, gotów był dać się porwać każdej ideologii. Tak jak matka. Hilda była przekonana, że komunizm to nowy, lepszy świat. Kurt przesiąkł tymi wszystkimi bzdurami o *Rassenschande*, o zatruwaniu czystości krwi...

– Nie sądzę, żebyś się orientował, gdzie jest teraz Hilda?

– A czy dzisiaj w ogóle wiadomo, gdzie się kto podziewa?

– zauważyłem z goryczą.

– To prawda. Gdzie na przykład podziiała się Grupa Armii „Środek”? W ubiegłym roku nasze straty były większe od uzupełnień o ponad milion żołnierzy. Wyobrażasz sobie, milion ludzi! Obliczyłem nawet datę, kiedy Wehrmacht przestanie istnieć. Wszystkich nas czeka krwawa łaźnia.

Kelner przyniósł kawę – prawdziwą kawę. Nasz zespół oblatywaczy był dobrze zaopatrzony w herbatę i kawę,



przyniosłem więc trochę owych rarytasów właścicielowi restauracji. Poczęstowałem Hoepnera cygarem i przez chwilę wydmuchiwaaliśmy dym, rozkoszując się aromatem przedniego tytoniu.

– Ofiar będzie dużo więcej – podjął cicho Hoepner. – Anglicy i Ameryka nie zbliżają się do nas od strony Włoch. Wkrótce też dokonają desantu z Wielkiej Brytanii na wybrzeże Francji i stamtąd wkroczą do Niemiec, a jednocześnie ze wschodu nadciągną Rosjanie. Himmler w tym czasie rozgrzewać będzie do czerwoności swoje piece krematoryjne, realizując w praktyce ostateczne rozstrzygnięcie kwestii żydowskiej w wersji Hitlera. Nie potrafię powiedzieć, ilu ludzi jeszcze zginie. A co czeka Niemców, którzy dożyją końca wojny? Dominacja stalinowskiego reżimu, równie nieludzkiego jak ten, który nas obecnie uciska. Nie mówiąc o hańbie, jaka spłynie na nas za to, że dopuściliśmy do tego wszystkiego. Zwycięzcy wkroczą do obozów koncentracyjnych i odkryją dzieło Himmlera, pogrążając w niesławie cały naród niemiecki. Chyba że...

– Chyba że co?

Hoepner nie od razu odpowiedział, wpatrując się w żarzący się koniuszek cygara.

– Naprawdę wyśmienite... – mruknął. – Przyszłe pokolenia mogą oczyścić się z piętna hańby, zrzucając z siebie jarzmo niewoli. – Mówił tak, jakby cytował fragment wiersza. Podniósł oczy znad cygara i spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem. – Potrzebna mi jest bomba, Hans.

– Bomba? powtórzyłem, ścisząc głos. – Jaka bomba? Duża?

– Nie taka, do której przeniesienia konieczny byłby samolot. Myślę o nie wielkiej bombie, którą można schować do teczki. Mam mówić dalej, czy wolałbyś o niczym nie wiedzieć?

– Mów – rzekłem stanowczo. – Powiedz, czego potrzebujesz.

– Powinna to być bomba o wystarczająco dużej mocy, by uśmiercić ludzi w obrębie jednego pokoju. Musi mieć zapalnik czasowy, żeby osoba, która ją przyniesie, zdążyła się oddalić. Mechanizm zegarowy i zapalnik powinny być na tyle proste, by mógł je ustawić ktoś, kto ma tylko jedną rękę, i to z trzema palcami. Może potrzebne będą dwie bomby tej samej konstrukcji.

Siedziałem przy małym stoliku i myślałem. W bazie miałem nieduży warsztat. Byłem kwalifikowanym inżynierem, zdolnym do samodzielnych modyfikacji w eksperymentalnym modelu samolotu, nad którym pracowaliśmy. Miałem dostęp do niezbędnych materiałów wybuchowych. Trzy palce... Potrzebne będą chyba szczypce... Do tego zapalnik kwasowy.

Zaciągnąłem się wybornym aromatycznym dymem cygara i wypuściłem z ust srebrnoszarą wstęgę.

– Jak długo zamierzasz tu zostać? – spytałem. – Musisz zrobić sobie wycieczkę łodzią po jeziorze. To największa tutejsza atrakcja.

– Z przyjemnością – odpowiedział ze spokojem. – Jak sądzisz, ile czasu zajmie mi zwiedzanie?

– Trzy dni powinny wystarczyć. Na pewno nie więcej.

Stałem i wyglądałem przez okno, jak to mam w zwyczaju. Wysoko nad doliną, ponad poziomem mojego domostwa, krążyła pustułka. Jestem co nieco przygłuchy,

ale wzrok mam nadal bystry. Pilot myśliwca nie może mieć kłopotów ze wzrokiem. Musi dostrzec w oddali maleńkie, pędzące kropki, musi wypatrzeć skrzydła pod słońce, nie może przegapić mignięcia brunatnych krzyży. Ci, którym się to nie udaje, spadają zestrzeleni przez tych, którzy są od nich lepsi.

Pustułka złożyła nagle skrzydła i runęła w dół jak włócznia. Gdzie była jej ofiara?

Oto i ona: szary, smukły, szybko mknący gołąb. Wszystkie stworzenia muszą jeść, zwłaszcza zimą. Te, które nie mogą napchać sobie brzuchów, giną od zimna. Gołąb dostrzegł pustułkę – skręcił i dał nura w bok. Ścigający go drapieżnik rozłożył skrzydła i, lawirując w powietrzu, rozpoczął taniec śmierci.

Z ziemi widać było zbliżające się Latające Fortece: szły dużymi, rozległymi falangami, ciągnąc za sobą szerokie smugi. Nasze maleńkie myśliwce raketowe *Me-163 Komet*, zaczęły śmigać niczym filigranowe cacka, nurkując między bombowce i broniące je, zwrotne myśliwce nieprzyjaciela, i ostrzeliwując potężne kadłuby samolotów. Od czasu do czasu na ziemię spadał trafiony bombowiec, rozsiewając po niebie deszcz błyszczących szczątków.

Amerykanie w swoich *Mustangach* już nas wypatrzyli i ruszyli za nami. Doskonale się orientowali, że mają do czynienia z szybowcami, których piloci – w przeciwieństwie do nich – nie mogą liczyć na wsparcie silnika. Zapędzając nas na ziemię wiedzieli, że nie mamy innego wyjścia, jak wylądować; ale by wylądować, musieliśmy przez kilka sekund lecieć prosto, równoległe do podłoża, nie mogąc spodziewać się pomocy ze strony naszej artylerii przeciwlotniczej, która bała się otworzyć ogień w obawie, że

może trafić właśnie nas.

Stałem na dole i czekałem, aż nasi wylądują. Tymczasem z nieba nad Lipskiem bombowce nieprzyjaciela zrzucały bomby burzące prosto w ścielące się pod nimi piekło płomieni. Celowali w olbrzymią chmurę duszącego, gryzącego dymu, jaka unosiła się nieprzerwanie nad ruinami, które kiedyś były miastem.

Zobaczyłem samolot sierżanta Kolba. Skręcając i lawirując, prawie skacząc w powietrzu, umykał przed goniącym go *Mustangiem*, który podążał za nim jak cień.

Gołąb wyskoczył nad doliną, z pustułką niemal na ogonie. W lewo, w prawo, w lewo! Nagle drapieznik wykonał błyskawiczny zwrot i spadł jak kamień na ofiarę. Na niebie pozostała kurzawa drobnych piór, które spływały powoli w dół stoku.

Sierżant Kolb wyrównał lot dosłownie w ostatniej sekundzie, prześlizgując się nad drzewami. *Mustang* otworzył ogień z wszystkich sześciu karabinów maszynowych kalibru 12,7 mm. Pociski ścięły wierzchołki drzew, wzbijając wysoko w górę drzazgi, a szybowiec, zajęty płomieniami, opadł na ziemię. Działa artylerii przeciwlotniczej zaczęły strzelać, ale *Mustang* był już daleko, przemykając się nad drzewami i wzbijając się z powrotem ku flocie bombowców.

Pustulka usiadła na łące i, rozejrzawszy się dziko wokół siebie, zamachnęła się haczykowatym dziobem, by wyszarpnąć kawałek mięsa z utrzymanego w szponach gołębia.

Wysiłki naszego zespołu zakończyły się powodzeniem i *Komet* osiągnął zdolność bojową, chociaż nie był wolny od wad, które w czasach pokoju zatrzymałyby samolot na

dłużej na desce konstruktorskiej. Bywało na przykład, że ni stąd, ni zowąd kabina wypełniała się dymem albo samolot eksplodował bez ostrzeżenia. Mając jednak z jednej strony nawalę rosyjską, z drugiej zaś kroczących od morza Anglików i Amerykanów, można było bez wielkiej pomyłki zakładać, że tak czy inaczej śmierć jest nam pisana. Dla nas, pilotów myśliwców, sprawa była prosta: lepiej walczyć w powietrzu, niż trząść się na ziemi ze strachu. Wsiadaliśmy więc w *Me-163* i walczyliśmy.

Dołączyłem jako główny instruktor do jednej z jednostek bojowych, biorąc również udział w lotach przeciwko zapełniającym nasze niebo flotom potężnych bombowców. Nasze *Me-163* stały ukryte w lasach wokół lotniska. Piloci wyznaczeni do dyżuru bojowego siedzieli w kabinach i drzemali niespokojnie nad tablicami przyrządów w oczekiwaniu na rozkazy startowe.

Był gorący lipcowy dzień. Z nieba lał się żar. Siedziałem w otwartej kabinie, chroniąc się pod parasolem przed promieniami słońca. Bzyczały owady, w powietrzu unosił się wszechobecny smród chemikaliów.

Z drzemki wyrwał mnie trzask radiotelefonu.

– To ty, Günther? – zgłosiłem się przez radio. Günther był kontrolerem obszaru i naprowadzał nas na lecące wysoko w górze ofiary.

– Tak, Hans, to ja. Do startu zostało jeszcze parę minut, ale pomyślałem, że chciałbyś pewnie usłyszeć najświeższa nowinę.

– Co takiego?

– Dokonano zamachu na *Führera*. Posłużyli się bombą.

– Zabili go?

– Nie. Wybuch rozerwał kilka towarzyszących mu osób,

ale on sam ocalał. Widać diabeł miał pieczę nad swoim krewniakiem. – Kiedy to było? – spytałem.

– Dwa dni temu.

Siedziałem bez słowa w małej, ciasnej kabinie, myśląc tylko o jednym: teraz wojna będzie toczyć się dalej, aż całe Niemcy zamienią się w zgliszcza, które staną się grobem dla większości z nas.

– Daj mi znać, kiedy mam startować – powiedziałem do Günthera. Nadlatywali. W naszym kierunku przesuwały się białe smugi rozkwitające na błękitnym niebie. Rozległ się łoskot zamykanych osłon. Z pierwszego *Me-163* wystrzelił sноп falistego dymu. Zaraz potem rozrywający bębenki ryk, ogłuszający nawet pod osłoną kabin; potężny, wściekły syk, jakby ktoś zanurzał w wodzie olbrzymie, rozpalone do czerwoności żelazo – to oddech Zygfyrdowego smoka. Ogromny, fioletowoczarny obłok, popychający rozedrgane skrzydlate jajo. *Komet* oderwał się od ziemi, odrzucając koła i wystrzelił w niebo, znikając w błękicie, pozostawiając za sobą niemal pionowy, fioletowy ogon dymu, który rozpląwał się powoli w powietrzu.

Raz, dwa, trzy... Kolej na mnie...

Przeciążenie wbiło mnie w oparcie fotela. Patrząc to na pas startowy, to na wskaźniki przyrządów, wcisnąłem powoli pedał orczyka. Stery zagrały na wietrze, trawa zmieniła się w szybko przemykającą, brązowozieloną plamę... Oderwałem się od ziemi. Na wysokości pięciu metrów odrzuciłem podwozie i myśliwiec zaczął nabierać prędkości. Wyrównałem lot i pomknąłem nad lotniskiem. Rzuciło mną, jakbym jechał po kocich łbach. Nad skrajem pasa rzuciłem szybkie spojrzenie na prędkościomierz: osiemset kilometrów. Ściągnąłem drążek i wystrzeliłem

w górę jak strzała wypuszczona z łuku.

A oto i one: zbite w stado kolosy, rozsiewające po niebie białe smugi kondensacyjne. Ochraniały je, rozglądające się czujnie na wszystkie strony, myśliwce eskorty. Dwanaście kilometrów. Byłem nad nimi jak samotny orzeł. Silnik raketowy zamarł. Słysząc było tylko świst rzadkiego powietrza uderzającego o gładkie poszycie, gdy przechyliłem samolot w dół i zanurkowałem ku lecącym pode mną olbrzymim, błyszczącym potworom.

Zaświecił się celownik, przełącznik uzbrojenia zapalił się na czerwono. Mając z tyłu słońce, spadałem jak anioł zagłady na Latającą Fortecę. Kiedy znalazłem się już w obrębie pola śmierci, nacisnąłem przycisk i zahuczały działka ukryte w nasadzie płata. Skrzydło masywnego bombowca wygięło się w miejscu zetknięcia z kadłubem i naraz oderwało się. Samolot zaczął koziółkować, choć jego wielkie silniki wciąż obracały potężnymi śmigłami. Maszyny wokół lecącego wraku pierzchały w popłochu; spadał nieuchronnie na ziemię... Rzuciłem się w sam środek formacji i wieżyczki strzelców rozżarzyły się na moje powitanie pomarańczowożółtym ogniem. Powtórnie otworzyłem ogień – i oto z kolejnego kolosa buchnął dym. Obrazki niczym ze zdjęć: maleńkie sylwetki przycupnięte wokół karabinów pod osłoną okrągłych szklanych kapsułek; szary dym i połyskujące złościście wstęgi pocisków.

Wtem poczułem uderzenie, *Komet* zatrzęsł się. Formacja srebrzystych bombowców parła nieubłaganie przed siebie. Daleko w dole, za mgielną zasłoną, śmigała zielonobrazowa ziemia.

Zakrztusiłem się pod maską, bo nagleabinę wypełniła para. Oczy zaszyły mi łzami. Wrząca para zamieniła się

w jednej chwili w lodowatą mgłę.

Lód. Osłona kabiny pokryła się od wewnątrz grubą warstwą szronu, przebijające się przez nią promienie słońca oślepiały mnie. Wokół panowała cisza, mącona jedynie świstem wiatru uderzającego o spadający myśliwiec. Zdrapywałem zaciekle szron z osłony, próbując coś dojrzeć. Jednym lodowatym oddechem Mroźny Władca zasnuł śnieżną bielą całą tablicę przyrządów. Nic nie widziałem. Samolot zaczął się gwałtownie trząść. Trąciłem nad nim kontrolę...

Wierzgnął jak niesforny wierzchowiec i naraz poczęło mną rzucać na wszystkie strony. Głowa skakała mi niczym piłka, uderzając o osłonę kabiny.

Szamocząc się w kabinie, próbowałem zeskrobać szron. Wąski przesmyk jasności, a w nim wirująca ziemia: znowu widziałem. Przesunąłem w prawo drążek i wcisnąłem pedał orczyka. Świat wokół mnie uspokoił się, skrzydła przerwały swój diabelski taniec – poszybowałem w dół.

Dostrzegłem miasto, za nim nasze lotnisko... Przeleciałem jak strzała nad progiem pasa i wypuściłem płożę. Odbiłem się z hukiem od ziemi. Ślizgając się na płozie, wytraciłem prędkość i zatrzymałem się. Mały myśliwiec opadł na jedno skrzydło, przypominając teraz zmęczonego motyla.

Poczłapałem po suchej, spalonej słońcem trawie do pokoju operacyjnego. Ekipa naziemna tymczasem odholowała ciągnikiem *Me-163* do hangaru, żeby naprawić odniesione w walce uszkodzenia. Lód na osłonie kabiny wciąż błyszczał w słońcu niczym kryształ.

Pchnąłem drzwi centrum operacyjnego i wszedłem do środka, rzucając spadochron na krzesło. Günther siedział



przy stole kontroli i w milczeniu spoglądał trwożliwie na otaczających go uzbrojonych mężczyzn.

– Do diabła, co to ma...? – zdążyłem tylko krzyknąć. Jeden z esesmanów, szczupły i młody, o twarzy lisa, rozpromienił się.

– Pułkownik Wolff! – zawołał radośnie. – Myśleliśmy, że już się pana nie doczekamy!

Trzasnął mnie szpicrutą po twarzy, aż przeleciałem przez pokój. Przy akompaniamencie nienawistnych wrzasków przygwoździli mnie ciosami do podłogi. Potem wywlekli mnie, cisnęli w ciemne wnętrze ciężarówki i, zamknąwszy drzwi, powieźli ze sobą.

Docierał do mnie jakiś głos. Przeżarty papierosami i alkoholem, wykrzykiwał coś swobodnie, sprawdzał jakąś listę, od czasu do czasu groźnie powarkując. Napływał do mnie przez szyb wentylacyjny celi.

Nie należał do Rascha – głos Rascha dobrze znałem. To Rasch przecież wrzeszczał mi prosto do ucha, kiedy siedziałem przywiązany do ciężkiego drewnianego krzesła; to on nakazywał mnie bić, gdy nie byłem w stanie podać potrzebnych nazwisk. Rasch był owym młodym oficerem o lisiej twarzy, który przyszedł mnie aresztować. Poddawany przez jedenaście lat nieustannej indoktrynacji, widział we mnie posłańca diabła. Kiedy gestapowcy zmęczeni się biciem, wziął gumowa pałę i sam zaczął mnie okładać. Nazywał to „zaostrzonym przesłuchaniem”.

W uszach nieprzerwanie dźwięczał mi odgłos uderzeń. Hoepfner nie żyje, zamach się nie udał. Zabrali go razem ze współnikiem, który podłożył bombę, pułkownikiem Klausem von Stauffenbergiem. Czekali na wiadomość w Ministerstwie Wojny na Bendlerstrasse; gdyby Hitler

zginął, oni mieli przejąć kontrolę. Bomba pozostawiona przez von Stauffenberga w teczce pod stołem, przy którym siedział Hitler, została przez kogoś bezwiednie przesunięta i gdy wybuchła, Hitler tylko mocno się przestraszył. Eksplozja osmałiła mu spodnie, oszołomiła na moment, a kiedy przyszedł do siebie, stał się jeszcze bardziej wściekły i żądny zemsty niż dotychczas.

Hoepfner i von Stauffenberg nie żyją: rozstrzelano ich z paroma innymi na dziedzińcu. Teraz Hitler pałał chęcią zemsty na wszystkich, którzy mogli w jakikolwiek sposób uczestniczyć w spisku.

Głos wciąż płynął do mnie przez szyb wentylacyjny: wyczytywał nazwiska, sprawdzał z kimś listę.

Głos ten nie był mi obcy.

Usiadłem na gołych deskach, które tworzyły pod ścianą rodzaj prymitywnej pryczy. Syknąłem z bólu.

– Huber! – krzyknąłem. – To ja, Hans Joachim, pilot! Głos zawahał się i zamarł.

Jestem tutaj, w celi! – krzyczałem. – To ja, Wolff, Hans Joachim Wolff. Kamienna podłoga rozbrzmiała stukotem butów. Siedziałem w berlińskim więzieniu Ploetzensee. Szczeknęły otwierane drzwi celi i do środka wszedł Huber. Dał znak wartownikowi, żeby poczekał na zewnątrz. Wbił we mnie wzrok.

– Nieźle pan oberwał, kapitanie zauważył, siadając koło mnie na pryczy.

– Awansowali mnie na pułkownika.

– Mnie też – pochwalił się. Miał na sobie mundur Waffen SS. Wyjął paczkę papierosów i poczęstował mnie. Czuję, jak dym rozchodzi mi się po całym ciele, łagodząc ból.

– Co pan tu robi? – zainteresował się.

– Myślą, że miałem coś wspólnego z zamachem na życie *Führera*. A niby jak mógłbym mieć? Jestem tylko pilotem.

– Rozstrzelali Hoepfnera – zauważył.

– To i mnie pewnie wykończą, jeśli tu zostanę.

Zaraz... Przecież Huber sporządza jakąś listę, szuka do czegoś ludzi...

– A co pan tu robi? – spytałem.

– Przesłał mnie *Obergruppenführer von dem Bach-Zelewski* – odparł lakonicznie. – Mam zbierać z dwie setki kryminalistów nadających się do walki.

– Po co?

– Żeby wyróżnili Polaków – odpowiedział bez zająknięcia.

– Te polskie świny urządziły powstanie w Warszawie, więc Himmler kazał Bachowi-Zelewskiemu zająć się tym.

To nazwisko nie było mi obce. Bach-Zelewski w swoich okularkach bardziej przypominał nauczyciela niż generała SS, ale był ekspertem od tłumienia walk powstańczych.

– Wysyłamy dwie brygady – wyjaśniał Huber, zaciągając się papierosowym dymem. – Oddział Dirlewangera i rosyjską brygadę Kamińskiego. W rzeczywistości to zwykła zbieranina, ale o to właśnie chodzi: mają rozprawić się z Polakami, a jeśli zginą, to nie będziemy nad tym ubolewać.

– Weźcie i mnie.

– Ależ, kapitanie! – zaprotestował. – Rekrutuję oddział spośród hołoty, nie dżentelmenów. Szukam śmieci, prawdziwych mętów...

– Przesłuchuje mnie tu taki młody esesman, nazywa się Rasch. Zapowiedział mi już, że jak uzna, iż nic więcej ze mnie nie wyciągnie, to każe mnie rozstrzelać. Wiem, że to zrobi. To jeden... jeden z tych, co wierzą, że przegrywamy wojnę przez zdrajców...

Huber spojrział na mnie z namysłem i wzruszył szerokimi ramionami.

– Tylko niech pan potem nie mówi, że pana nie ostrzegałem. No dobra, chodźmy. Ciężarówki stoją na dziedzińcu.

Wstałem i pokuśtykałem za Huberem. Czekający na zewnątrz wartownik zrobił zdziwioną minę.

– Tego też zabieram – rzucił krótko Huber.

– *Sturmführer* Rasch kazał go trzymać – sprzeciwił się żołnierz. – Ma go jeszcze przesłuchiwać.

Huber skoczył raptownie, przybliżając do niego pokrytą bliznami twarz.

– Guzik mnie to obchodzi – syknął. – Wolno mi brać, kogo zechcę, rozumiesz? To rozkaz *Reichsführera*.

– Ale...

– Chcesz jutro trafić na front wschodni? – zagroził Huber. Odsunął żołnierza na bok i wyszliśmy z budynku na dziedziniec. Do stojących tam ciężarówek wsiadali ludzie. Huber pchnął mnie lekko, życząc mi szczęścia. Dołączyłem do tłumu i wgramoliłem się do środka. Usłyszałem, jak Huber wykrzykuje rozkazy, wreszcie silnik zapalił z warkotem. Z najbliższych drzwi wypadł jakiś mężczyzna. Rozpoznałem Rascha. Wykrzykiwał gniewnie, rozglądając się za mną, ale ciężarówki wyjeżdżały już przez otwartą bramę. Zauważył mnie i, potrząsając pięścią, zaczął rzucać groźby pod moim adresem, obiecując mi pewną śmierć. Wyjechaliśmy na ulicę, zostawiając za sobą budynek więzienia.

– Nie jest źle – cieszył się mój sąsiad. – Jutro mieli mnie kropnąć.

Męty z więzienia Ploetzensee okazały się w istocie

niemal arystokracją w porównaniu ze zgniłym motłochem, jaki ściągnięto na peryferia Warszawy. Z tamtymi mogłem przynajmniej dogadać się po niemiecku, tutaj miałem do czynienia z przeróżną zbieraniną złożoną z Kałmuków, Turkmenów, Rosjan i Ukraińców. Jedyнным wspólnym mianownikiem była żądza mordu.

Dowodził nami były doktor nauk politycznych na uniwersytecie frankfurckim. Himmler darzył go sympatią i wyciągnął z więzienia, dokąd pan doktor trafił za współżycie seksualne z bardzo młodym chłopcem. Od tego czasu Oskar Dirlewanger zapisał na swoim koncie znacznie więcej wyczynów. Nawet SS nie mogło bez obrzydzenia patrzeć na poczynania jego i dowodzonej przez niego zbieraniny, która wszakże w totalnym bałaganie panującym za linią frontu wschodniego cieszyła się prawie niekontrolowaną swobodą działania.

Armia Krajową rozpoczęła powstanie w Warszawie w przekonaniu, że wojska radzieckie lada dzień rozpoczną wyzwalenie Warszawy. Stalin miał jednak wobec Polski inne plany. Zatrzymał swoją armię po drugiej stronie Wisły, pozwalając, by Niemcy wykonali za niego brudną robotę.

Wehrmacht posłał do akcji oddział Dirlewangera.

Był piąty sierpnia. Przydzielono mi drużynę. Dirlewanger, który otrzymał listę wszystkich więźniów, w dniu mojego przybycia zaprosił mnie na rozmowę do stanowiska dowodzenia, które mieściło się w zdobyczym autobusie.

– Byłeś oficerem – zaczął od stwierdzenia.

– Pułkownikiem – uściśliłem.

Rzucił na stół opaskę z insygniami *Feldfebla*.

– Na zewnątrz czeka twoja drużyna. Nie sądzę, żebyś

bawił się kiedykolwiek w taką robotę, skoro jesteś pilotem?

– Rzeczywiście nie.

– Nie pozwól im zwalniać – warknął. – Żadnych ciężkich łupów, żadnego opóźniania. Mają iść ciągle do przodu i zabijać, kogo tylko zechcą. Jak najwięcej trupów, taki jest rozkaz najwyższych władz. Warszawa ma być zrównana z ziemią wraz ze wszystkimi jej mieszkańcami. Polacy już od bitwy pod Grunwaldem sprawiali nam mnóstwo kłopotu, więc *Führer* postanowił, że problem Polski ma zniknąć dla nas raz na zawsze. Musisz dopilnować, żeby nie objuczali się za bardzo łupami i nie zwalniali marszu. Są tu po to, żeby zabijać. Wszyscy Polacy mają być od ręki likwidowani. Jakby twoi ludzie mieli wątpliwości, zastrzel paru, żeby reszta zrozumiała, o co chodzi.

Zdałem sobie sprawę, że rozmawiam z osobą, która – w swojej dziedzinie – jest niewątpliwym ekspertem.

Dowodzona przeze mnie hałastra składała się w większości z Ukraińców. Żaden nie mówił po niemiecku. Ich widok przywodził mi na myśl watahę dzikich psów.

Byliśmy doskonale wyposażeni. Dano nam umundurowanie *Waffen SS* i pasy *Wehrmachtu* z grubej skóry, przy których nosiliśmy ładownice z amunicją, manierki z wodą, saperki, granaty i bagnety. Sprzączki pasów ozdabiał napis: *GOTT MIT UNS*.

Mieliśmy pistolety maszynowe *MP-40* i karabiny szturmowe *MP-44*, moździerze i miotacze ognia. Wraz z nami do Warszawy wchodziła część czołgów dywizji „*Hermann Göring*”, a stolicę Polski ostrzeliwały działa kolejowe kalibru 600 mm, strzelające pociskami o masie blisko 2.200 kg. Dysponowaliśmy sterowanymi zdalnie miniaturowymi czołgami *Goliath*, które załadowane były

materiałem wybuchowym. Dirlewanger mógł w każdej chwili prosić o wsparcie eskadry *Stukasów*. *Führer* zaopatrzył swoje oddziały we wszystko, co niezbędne do starcia mieszkańców Warszawy z powierzchni ziemi.

Brygada Dirlewangera wkroczyła do miasta wkrótce po wschodzie słońca od strony ulicy Wolskiej. Od północy szły oddziały policyjne, a od południa rosyjska brygada Kamińskiego – ci ostatni spóźnili się o dwie godziny, gdyż przemarsz z przedmieścia urozmaicali sobie pijaństwem.

Odległość od Wolskiej przez Ogród Saski do mostów na Wiśle wynosiła nie więcej jak pięć kilometrów, czyli jakąś godzinę marszu. Nam pokonanie jej zajęło trzy dni.

Wyśmienite wyposażenie wojskowe nie oznaczało wcale, że mieliśmy wykonać zadanie czysto wojskowej natury. Naszymi przeciwnikami byli żołnierze AK, których znacznie przewyższaliśmy liczebnością. A jak miałym nazwać naszych? Bo na pewno nie żołnierzami. Skazańcy? Mordercy? Parszywe kreatury? Głównym zadaniem kreatur służących u Dirlewangera i Kamińskiego było mordowanie nieuzbrojonej ludności. Zabijali bez wyjątku mężczyzn, kobiety, dzieci i niemowlęta. Szturmowali wszystkie domy na pograniczu linii walk, a ich mieszkańców wyganiali na ulice i spędzali na najbliższej zamkniętej przestrzeni. Tam otwierali do nich ogień z karabinów maszynowych. W środek drgającej masy rannych wrzucali ręczne granaty, a resztę dopełniali oblewając ofiary benzyną i podpalając. Mijane przez nas budynki były podpalane, tak więc morderstwa odbywały się w scenerii dymu i płomieni. Istne piekło na ziemi. Nie oszczędzano nikogo, nawet pielęgniarek i zakonnic. Nasi żołdacy wpadali do szpitali, gdzie gwałcili pacjentki i personel, rabując przy tym i siejąc

śmierć.

Zgodnie z rozkazem Dirlewangera starałem się popędzać swój oddział do przodu. Spragnieni łupów i wódki, kobiet i zabijania, patrzyli na mnie z nienawiścią. Uważałem, by cały czas mieć ich przed sobą, jednak wczesnym popołudniem, podobnie jak inni dowódcy, straciłem nad nimi kontrolę. Rozpierzchli się i zniknęli w kurzu i dymie koło jednego ze szpitali. Zmęczony i wycieńczony prażącymi promieniami słońca, schroniłem się w cieniu pobliskiego załomu.

Kiedy słońce przybrało czerwonokrwistą barwę na rozświetlonym płomieniami niebie, nadszedł ze swoim oddziałem jeden z oficerów Dirlewangera.

– Na co czekacie! – wrzasnął na mnie. – Nie posunęliśmy się nawet o kilometr! Generał Rohr żąda naszych głów! Popędź swoich maruderów albo czeka cię kulka!

Rohr dowodził jednostkami Wehrmachtu. Był pruskim generałem ze starej szkoły i domagał się pokonania Armii Krajowej, nie zaś unicestwienia Polaków.

Dźwignąłem się na nogi i pobiegłem do spowitego czerwonym dymem szpitala. Nagle przyszedł mi na myśl Himmler, który za to wszystko odpowiadał. O ile dobrze pamiętałem, właśnie teraz przypadała rocznica urodzin króla Henryka. Tak więc kiedy my mordowaliśmy polską ludność, Himmler w otoczeniu dwunastu rycerzy SS medytował pewnie w zamku Wewelsberg przy tysiącletnim grobowcu założyciela Świętego Cesarstwa Rzymskiego, króla Henryka, za którego wcielenie sam się uważał.

Kopnięciem otworzyłem drzwi i wpadłem na zawałony ciałami korytarz. Pacjenci w porozwijanych bandażach, lekarze w zakrwawionych białych kitlach, na wpół



obnażone pielęgniarki – wszystkich spotkał ten sam los. Zostali zastrzeleni, zatłuczeni kolbami lub zadźgani ostrzami bagnetów. Podłoga była lepka od krzepnącej krwi.

Himmler tymczasem popijał sobie najpewniej w zamku swoją herbatkę ziołową.

Z korytarzy buchał swąd palących się trupów. Przez wybitą szybę docierał warkot zbliżającego się czołgu i zgrzyt gąsienic. Budynek nadal rozbrzmiewał krzykami ofiar i pojedynczymi strzałami.

W niewielkiej sali szpitalnej znalazłem czterech ludzi z mojego oddziału. Byli pijani, oczy mieli przekrwione od alkoholu. Na podłodze, niczym złamana na wpół lalka, leżała starowinka z podciętym gardłem. W rogu pokoju spoczywał lekarz w białym kitlu, z przestrzelonymi dłońmi, którymi próbował widocznie osłaniać się przed kulami. W drugim kącie, pośród opróżnionych butelek, siedzieli dwaj zamroczeni wódką żołnierze. Trzeci rozwalił się na krześle i przesiewał w dłoniach strumienie złotych obrączek, zegarków i biżuterii. Czwarty gwałcił na łóżku pielęgniarkę.

Jedną krótką serią z pistoletu maszynowego zastrzeliłem najpierw dwóch pierwszych, potem dosięgnąłem szabrownika na krześle. Wlali w siebie tyle wódki, że ta rozbryzgała się po całej ścianie. Wszędzie fruwała biżuteria. Ukrainiec gwałcący dziewczynę łypnął na mnie osłupiałym wzrokiem, otwierając szeroko usta. Przystawiłem mu lufę do głowy i strzeliłem, zwalając go na podłogę. Dziewczyna nie krzyczała. Przeturlała się na bok i zwinęła w kłębek.

Sala zaczęła wypełniać się dymem, korytarz rozbłysł nagle żółtawym blaskiem. Straciłem dziewczynę z łóżka.

– Pali się! – krzyknąłem.

Z trudem podniosła się na nogi i ani się obejrzałem, a była już na korytarzu. Biegła potykając się o ciała, ślizgając w kałużach krwi, odbijając się od ścian, aż wreszcie znalazła się na ulicy. Podążałem za nią, goniony dymem zasnuwającym korytarz.

Mówiono, że Himmler cierpi na bóle żołądka i musi łykać specjalne pigułki zawierające kultury bakteryjne wyhodowane z ekskrementów pewnego bułgarskiego chłopca. Dostarczył ich Hitler, który sam aplikował sobie codziennie dawkę.

Rozległa się seria z karabinu i dziewczyna runęła na chodnik jak ustrzelona kaczka. Ulicą ciągnęli kolejni żołnierze z oddziału Dirlewangera. W świetle słońca wyglądali jak skąpani we krwi.

Polacy bili się do końca. Choć brakowało im amunicji, broni, jedzenia, lekarstw i ludzi, to walczyli do ostatniego żołnierza. Kiedy Rohr doprowadził do zaprzestania rzezi, nasze solidnie uzbrojone oddziały mogły przejść do czysto wojskowych działań.

Rohr zapewnił nam wsparcie *Stukasów*, których pięćsetkilogramowe bomby rozwalaly barykady i tworzyły potężne wyrwy w liniach stanowisk ogniowych powstańców. Zniszczyliśmy ich łączność i rozbiliśmy na osobne walczące grupy.

A oni bili się dalej. Ich ulubioną metodą był atak z zaskoczenia: snajperskie kule kładły trupem naszych oficerów, posuwające się oddziały witał deszcz butelek z benzyną. Dirlewanger odpowiedział chwytnością polskich zakładników, którzy przywiązani do drabin zostawali następnie zmuszani do kroczenia przed naszymi żołnierzami.

Polacy nie chcieli z początku strzelać do swoich rodaków. Z czasem jednak – przekonawszy się, że każdy Polak i tak skazany jest na śmierć, że ranni krepowani są ze sobą drutem kolczastym, oblewani benzyną i podpalani – przestali się wahać i zanim sami zginęli, starali się zabić jak najwięcej nieprzyjaciół, nie bacząc, czy są wśród nich zakładnicy.

Dotarcie do Starego Miasta zajęło nam miesiąc. Dirlewanger wprowadził do akcji moździerze kalibru 600 mm, których pociski zrównywały całe kamienice z ziemią, grzebiąc ich mieszkańców.

Mimo to powstańcy walczyli dalej. Wykorzystywali kanały jako drogi transportu i łączności, brnąc nierzadko w sięgający po piersi, szybko płynący strumień nieczystości. Bitwa przeniosła się do podziemi. Wtedy Dirlewanger wpadł na nowy pomysł: wrzucano z góry ręczne granaty, wlewano i podpalano benzynę, a także wpuszczano gaz, który eksplodując przyklepał do ścian kobiety, mężczyźni i szczury.

Na Starym Mieście Polacy walczyli o każdy dom, o każde piętro. Dymiące wyrwy na ulicy znaczyły miejsca, gdzie spadły ich butelki z benzyną. Drogę zaścielała gruba warstwa gruzu i pyłu. Wraz z resztą oddziału kucąłem za wrakiem ciężarówki. Krew leżącego blisko mnie oficera barwiła na czerwono szarawy pył. Puste wnęki okien pobliskiego domu rozbłysły czerwienią, kiedy miotacz ognia podpalił budynek od środka.

Snajper ukryty na górze budynku krzyknął przeraźliwie i zaraz potem z okna wypadł płonący, wrzeszczący kształt, który spadł na ziemię z głuchym plaśnięciem jak worek mokrego piasku. Leżał nieruchomo, trawiony nierównym

plómieniem, śląc w naszą stronę wstęgę czarnego dymu.

Wewnątrz budynku wybuchł granat, zaterkotały karabiny maszynowe. Po chwili oddział wyszedł na ulicę; pośrodku szedł żołnierz z miotaczem ognia, z którego krótkiej, złowieszczej lufy sączył się niebieskawy płomień. Wszyscy jak na komendę ruszyliśmy w kierunku skrzyżowania. Przechodząc obok tłących się jeszcze zwłok snajpera, żołnierz z miotaczem ognia na plecach zatrzymał się i kopnął zabitego w twarz.

– A to suka! – warknął wściekle.

Mijając ciało, spojrzałem w twarz kobiety i nagle zamarłem: to była Hilda.

Poznałem ją, chociaż była nie mniej niż ja utyłana krwią i błotem. Znacznie się postarzała. Jej pokryta zmarszczkami twarz nosiła liczne blizny. Niebieskoszare otwarte oczy spoglądały w nowy świat. Nachyliłem się i przymknąłem je. Jak się tu dostała? Jakąż długą drogę musiała przebyć, żeby znaleźć się w umierającym mieście i spotkać tu swoją śmierć, walcząc u boku Polaków?

Kule z karabinu maszynowego przeleciały blisko mnie: za nami kroczyły już oddziały policyjne Dirlewangera. Zabijali tych, których uznali za maruderów. Zostawiłem Hildę na objętej pożarem ulicy, bez nadziei na to, że ktoś urządzi jej pochówek.

W trzy dni później batalia była wygrana. Zwycięzcy zrównali miasto z ziemią, jak tego żądał Hitler, po czym wycofali się. Wówczas czekający Rosjanie podjęli przerwany marsz i, posuwając się po trupach i zgłiszczach, ruszyli na Berlin.

Dirlewanger odbył paradę zwycięstwa, zanim wkroczyły oddziały ewakuacyjne, by usunąć pozostałych przy życiu

mieszkańców miasta. Niedobitki Armii Krajowej ocalały decyzją dowództwa Wehrmachtu w dowód szacunku dla wojskowych walorów powstańców. Całą ludność cywilną Himmler kazał wywieźć do obozów koncentracyjnych.

Potem miała miejsce defilada zwycięzców. Dirlewanger został udekorowany Krzyżem Rycerskim. Himmler – który nigdy nie zawahał się porzucić przyjaciela w potrzebie – oddał Kamińskiego, opromienionego sławą niemniej ohydną niż Dirlewanger, w ręce generała Wehrmachtu Rohra, który kazał go rozstrzelać.

Kiedy wróciłem ze zrównanego z ziemią miasta, zastałem czekający na mnie samochód. Obok pojazdu stało trzech esesmanów, wśród nich Rasch.

– Pułkownik Wolff – powitał mnie nad wyraz uprzejmie.  
– Jakże się cieszę, że pan przeżył.

Zastrzeliłbym go bez zastanowienia, ale musieliśmy wcześniej zdać broń. Nikt nie odważyłby się wypuścić nas uzbrojonych poza pole śmierci, w jakie zamieniliśmy miasto.

– Mam dla pana mundur, pułkowniku. Czeka też na pana gorąca kąpiel. Nie wątpię, że marzy pan o kąpieli.

Nie kąpałem się od sześciu tygodni i cały czas miałem na sobie ten sam niehumanie brudny, zakrwawiony mundur.

– *Führer* chce pana widzieć.

*„Wilczy Szaniec”, Kętrzyn, wrzesień 1944  
roku*

W odorze nieświeżych ciastek kremowych i na wpół strawionego spaghetti z warzywami umierał człowiek. Stał na krześle – starzec w koszuli bez kołnierzyka, w za dużych spodniach z szorstkiego materiału. Nie miały paska i musiał je przytrzymywać rękami. Na jego twarzy malował się tępy wyraz.

Przy moim boku Hitler ryczał ze śmiechu; czułem napływający od niego smród fermentującej kapusty.

– Pruska świnia! – warknął.

Kat upił potężny łyk wódki z butelki na stole, uśmiechając się diabolicznie. Starzec nie zwracał na niego uwagi. Wtedy kat, grubas w podkoszulku obdarzony potężnym brzuchem, zakołysał krzesłem. Widząc desperackie wysiłki starca o utrzymanie równowagi, siedzący w pobliżu widzowie ryknęli śmiechem. Hitler koło mnie zarechotał, odzyskując dobry humor. Szyję ofiary oplatała wrzynająca się w skórę pętla z cienkiego, połyskliwego drutu.

– Dalej, dalej! – ponaglił Hitler, pochylając się do przodu

w niecierpliwym oczekiwaniu, nie odrywając jasnoniebieskich oczu od rozgrywającej się przed nim sceny.

Na dany znak kat przechylił z rozmysłem krzesło. Uśmiech nie schodził mu z twarzy. Starzec wyprężył stopy, walcząc o utrzymanie się na krześle, lecz nagle ześlizgnął się i zawisł, aż drgnął rzeźnicki hak nad jego głową. Pętla wbiła mu się w ciało. Drapiąc szaleńczo rękami próbował uwolnić się od duszącej go struny fortepianowej, lecz zrywał tylko skórę i krew zaczęła spływać mu po szyi. Oczy wyszły mu na wierzch: umierał. Kat walił się z uciechy rękami po udach i ryczał ze śmiechu, obserwując wysiłki nieszczęśnika.

– Uważaj, teraz będzie śmiesznie – uprzedził mnie Hitler. Kiedy starzec rzucał się w powietrzu jak ryba, spodnie opadły mu aż do kostek. Hitler zaniósł się grubym rechotem i wszyscy mu zawtórowali.

Wisielec wywalił język, oczy uciekły mu w głąb oczodołów. – Szybciej – ponaglił Hitler.

Kat wszedł na krzesło, poruszając się zwinnie jak na swoją tuszę. W ręku trzymał nożyce do cięcia drutu. Jednym zręcznym ruchem ciachnął fortepianową strunę i nieszczęśnik opadł na podłogę, zwijając się w pół niczym szmaciana lalka.

Kamera podążała za nim. Zarejestrowała ruch wychudłego ramienia: zakrwawione palce szarpnęły za pętle. Oczy w trupiej twarzy otworzyły się.

– *Guten Morgen, Feldmarschall!* – wrzasnął Hitler z szyderstwem w głosie. Stary oficer wciągał łapczywie powietrze w płuca, poruszając ciężko klatką piersiową. Kat nachylił się i dźwignął go na nogi. Starzec, w spodniach

opadłych na kostki, chwiał się na wszystkie strony. Z ran na szyi płynęła krew.

– To nie koniec – syknął Hitler zjadliwie. Odwrócił się do mnie. Wory wokół ust drgały mu w nerwowym tiku, wodniste oczy spoglądały z popielatej twarzy. – Popatrzmy, jest jeszcze co oglądać.

Marszałek został wciągnięty z powrotem na krzesło, na suficie zawieszono nową pętlę. Kat łyknął z butelki i syknął dowcipem, na dźwięk którego upiory siedzące wokół pola śmierci zatrzęsły się ze śmiechu. Chwiejący się na krześle marszałek polny von Witzleben zamknął oczy.

Wieszali go pięć razy. Kiedy go odcięli za piątym razem, już nie oddychał.

Zapaliły się światła. Projektor rzucił jeszcze na ekran kilka skaczących klitek i zgasł.

– Oto jak należy traktować te kanalie – zwrócił się do mnie Hitler, kiwając rytmicznie głową i kurczowo zaciskając drżące dłonie. – Nakręciliśmy to w Berlinie, ale Bormann przygotował i tutaj specjalny pokój, gdyby trzeba było zaprosić kogoś do tańca w powietrzu.

Stojący za Hitlerem Rasch odsunął usłużnie krzesło i *Führer* wstał.

– Masz ochotę rzucić okiem? – spytał mnie.

Wysilek, z jakim podniósł się na nogi sprawił, że gazy z żołądka podeszły mu do gardła i czknął na mnie. Miałem wrażenie, jakby ktoś nagle otworzył kosz na śmieci pełen gnijących odpadków.

Ruszył pierwszy, powłócząc nogą i stąpając ciężko jak starzec. Rasch i towarzyszący mu oprawcy szli tuż za mną. Na zewnątrz powitało nas jesienne słońce. Zostawiliśmy za sobą bunkier – masywną betonową konstrukcję podobną do



grobowców starożytnych Egipcjan, o grubych na pięć metrów ścianach, nie pokrytą farbą i pozbawioną okien. Powietrze przesiąknięte było stęchłym zapachem płynącym z otaczającego nas ponurego sosnowego lasu.

Hitler prowadził nas ku długiej, na wpół zrujnowanej szopie. Okna nie miały szyb, na ścianach widniały czarne ślady po pociskach.

– Jesteśmy na miejscu! – krzyknął zapalczywie. – To tutaj plugawi zdrajcy skończyli swe parszywe życie. – Wszedł do środka. Rasch pchnął mnie jego śladem.

We wnętrzu unosił się zapach wilgoci i wciąż utrzymujący się smród po eksplozji. Gruz został uprzątnięty, a podłogę zalano betonem. Na jednej z belek powały świecił się rząd nowych rzeźnickich haków, z których zwisały cienkie, druciane pętłe. Pod jednym z nich stało drewniane kuchenne krzesło. Hitler stał nieruchomo, wpatrując się w haki i zacierając ręce.

– Właż poleciał, nie podnosząc głosu.

– Słucham? – W takich chwilach człowiek doskonale rozumie, o co chodzi, ale stara się odsunąć na jak najdłużej to, co go nieuchronnie czeka.

– Wejdź na krzesło – wyjaśnił Hitler nieomal uprzejmym tonem. – Spróbuj, czy pasuje na twój wzrost.

Poczułem, jak Rasch chwyta mnie za łokieć. Odwróciłem się do niego i, zdjęwszy oficerską czapkę, podałem mu.

– Potrzyмай – rozkazałem. Wszedłem na krzesło i spytałem, spoglądając na stojącego w dole Hitlera: – Mam przymierzyć pętłę? – Lepiej udawać bohatera, bycie beksą nie popłaca.

Chyba zaskoczyłem Hitlera. Uśmiechnął się. – Jasne, przymierz. Wsunąłem pętłę przez głowę i lekko ściągnąłem.

– Marszałek polny nie chciał prosić o litość – pożalił się Hitler, najwyraźniej niezadowolony. – Straciłem wiele zabawy.

Milczałem. Wtem krzesło zakołysało się, pchnięte przez Rascha.

– Ostrożnie... – usłyszałem swój własny głos. Krew nabiegła mi do głowy, czułem dudnienie w uszach. Następne pchnięcie było znacznie silniejsze. Przez sekundę drapałem butami o krzesło, lecz nagle ześlizgnąłem się. Drut wbił mi się w krtań. Miotalem się jak szalony, prężąc rozcapierzone dłonie, chwytając z charkotem resztki uciekającego powietrza, a świat wokół mnie wirował w powolnym tańcu.

Stali i patrzyli na mnie z wyrazem życzliwego zainteresowania. Nic nie słyszałem. Dostrzegłem, jak Hitler mówi coś do Rascha, który odpowiedział mu z pełną szacunku pozą. Widziałem ich poruszające się bezgłośnie usta. Nie czułem nic poza wpijającą mi się w szyję, rozpaloną do czerwoności obręczą. Dłonie opadły mi bezwładnie, światło wpadające przez puste oczodoły okien przygasło. Zapadła ciemność.

Leżałem rżąc na podłodze, ściskając w rękę zakrwawioną, drucianą pętlę. Zakasłałem krwią i z trudem dźwignąłem się na ręce i kolana. Oprychy Rascha podniosły mnie na nogi. Zobaczyłem przed sobą twarz Hitlera. Przypatrywał mi się z zainteresowaniem. Przeżyte podniecenie poruszyło mu wnętrzności i w powietrzu zawisł odór zgniłych warzyw. Beknął i, poruszając energicznie grdyką, przełknął podchodzącą mu pod gardło kwaśną mieszaninę ciastek i spaghetti.

– Jestem żołnierzem... – zdołałem wycharczeć – Razem

walczyliśmy w okopach... – Wyplułem zbierającą mi się w ustach krwawą flegmę. – Moim pragnieniem jest zginąć w boju, w obronie Niemiec i mojego *Führera*. Chcę wzbić się w przestworza i walczyć...

Wpatrywał się we mnie, poruszając ustami w nerwowym tiku. Na koniec skinął głową.

– Nigdy nie wierzyłem, że byłeś jednym z nich – mruknął. Pogrzebał w kieszeni munduru i wyciągnął małe pudełeczko. Otworzywszy je trzęsący mi się palcami, wyjął srebrno-czarny Krzyż Rycerski, *Ritterkreuz*. Sapiąc ciężko, podniósł ręce i zawiesił mi go na szyi. Sztuczne zęby miał szerniałe od rozkładającego się cukru i ciastek kremowych; smród ten owiał mnie, kiedy krzyż zawisł mi na szyi. Pobrudził sobie palce moją krwią, ale zdawał się tego nie zauważać.

Odwrócił się plecami i ruszył, powłócząc nogami, w kierunku szkaradnego masywu gołego bunkra.

– Odesłać go do jednostki – rzucił na odchodnym.

Świeży biały śnieg okrywał górę, niczym dywan czystej wełny. Wziąłem do ręki wstęgę i popatrzyłem na Krzyż Rycerski, wiszący obok „Błękitnego Maksa”. Więcej odznaczeń już nie dostałem – chociaż przed zakończeniem wojny *Führer* przysłał mi jeszcze swój ostatni prezent. Przeciągnąłem bezwiednie palcami po szyi. Blizna była tam, gdzie zawsze – i tak już miało pozostać: powrozowata pręga w miejscu, gdzie fortepianowa struna przecięła mi gardło, rzucała się w oczy jak eksponat na wystawie. Zanim dotarłem do Rastenbergu, jak wtedy nazywał się Kętrzyn, gdzie lekarz opatrzył mi rany, mój mundur *Luftwaffe* zdążył nasiąknąć krwią. Wstałem i schowałem odznaczenia do szuflady. Podeszedłem do okna, żeby popatrzeć na śnieg.

Kanie zataczały kręgi w powietrzu i lądowały przy stoku w miejscu, gdzie przechodził w las. Ptaki odbijały się intensywną czernią od bieli skrzącego się śniegu. Przeszył mnie nagle dreszcz zainteresowania. Kanie najwyraźniej zlatywały się do jakiejś padliny. Naszła mnie ochota, żeby się trochę przespacerować i zaczerpnąć świeżego powietrza. W końcu gdy zima zagości na dobre i pokryje wszystko grubą warstwą śniegu, nie będę się mógł prawie ruszać z domu. Zdjąłem z kołka ciepłą kurtkę, założyłem solidne buty i, wzięwszy pasterski kij, wyszedłem przed dom. Oddychając ostrym świeżym powietrzem, stąpałem po przyjemnie skrzypiącym śniegu (którego skrzypienie nie tyle odbierałem słuchem, co wyczuwałem pod butami), zostawiając za sobą żłobkowane ślady. Dotarwszy na miejsce, krzyknąłem ostro i kanie wzbiły się w powietrze. Krążąc w górze, gniewnie pokrzykiwały. Ziemia przecięta jest tu głębokim, opadającym w dół stoku rowem, gdzie wiosną zbiera się woda ze stopionych śniegów zasilając strumień, który przemienia się w tym czasie w huczący, spieniony potok. Wyschnięty teraz rów porastały krzaki jeżyn pokryte śniegiem. Podeszedłem ostrożnie, podpierając się kijem, i zapuściłem spojrzenie w głąb rowu.

Na krzakach jeżyn wisiał trup mężczyzny.

Był nagi, bez głowy. Tu właśnie ucztowały kanie.

Stałem i wyteżalem wzrok. Nie było wątpliwości – miałem przed sobą ludzkie zwłoki. Zwłoki mężczyzny, którego sprawnie pozbawiono głowy. Zaraz, o czym to mówił Kapuściany Oddech? O ministrze, którego głową udekorowano ścianę jego własnego gabinetu...

Patrzyłem w dolinę i rozmyślałem, starając się dojść z tym wszystkim do ładu.

Coś koło mnie przeleciało.

Szybując bezgłośnie z wiatrem, kołysząc łagodnie skrzydłami, przemknął obok mnie biały papierowy samolocik. Typowy samolocik z papieru, jaki składa się pod osłoną ławki, a wyczekawszy chwili, gdy nauczyciel matematyki nie patrzy w jego stronę, posyła w klasę w nadziei, że trafi nim w ucho kolegi. Samolocik, przeleciawszy w dół stoku, poszybował nad dolinę.

Odwróciłem się, by zobaczyć, kto rzuca we mnie papierowymi samolocikami. Na górze stoku nikogo nie było. Stały tam tylko budynki gospodarcze, z górującą nad nimi starą kamienną oborą.

Nie mam powodu narzekać na wzrok. Owszem, jestem co nieco przygłuchy, ale moje oczy wciąż dobrze widzą i jeśli nawet nie tak doskonale jak wtedy, gdy byłem podniebnym wojownikiem, to na pewno lepiej niż oczy większości ludzi.

W małym, wysoko położonym okienku obory migąco coś białego. Ktoś tam był.

A w rosnących na moim terenie krzakach jeżyn leżały pozbawione głowy zwłoki mężczyzny.

Doszedłem do wniosku, że osoba, która machała teraz do mnie z okna obory małą białą flagą, jest tą samą osobą, która posłała wcześniej papierową strzałkę dla zwrócenia mojej uwagi. Gdyby ktoś planował skrócić mnie o głowę i rzucić w krzaki, to mógłby tego dokonać nie siląc się na zwabianie mnie na górę do obory.

Zacząłem się więc wspinać, znacząc swój szlak odciskami butów w mieniącym się w słońcu śniegu i dziurami po kiju, którym się podpierałem.

Od czasu mojej ostatniej bytności w oborze upłynęło

sporo czasu. Kiedyś obchodziłem teren posiadłości codziennie, ale z wiekiem człowiek staje się coraz mniej ruchliwy. Kiedy dotarłem wreszcie na górę stoku, obszedłem budynek i zatrzymałem się u wejścia. Oddychałem ciężko.

Ktoś się tu najwyraźniej rządził bez mojej wiedzy: wejście do obory zagradzała teraz stalowa krata, zabezpieczona solidną kłódką. Przez okratowanie dojrzałem stojącego pod ścianą mężczyznę. Miał na sobie ocieplane buty i kulił się pod okrywającym go grubym narciarskim skafandrem.

– Głuchy pan jak pień – zaczął. – Wołałem pana wiele razy, ale pan nic nie słyszał.

– Radzę zauważyć, że znajduję się na zewnątrz własnego budynku, a pan w środku – skontrowałem. – Na pana miejscu starałbym się za bardzo mnie nie obrażać.

– Tylko tak powiedziałem... To było naprawdę denerwujące.

– W każdym razie teraz już tu jestem. Dlaczego siedzi pan w mojej oborze jak w klatce?

– Bo mnie uwięziono.

– Kim pan właściwie jest?

– Fischer, policjant, oddelegowany do tajnej misji.

– Z tą tajnością chyba się za bardzo nie udało, skoro tu pana zamknięto – zauważyłem.

Westchnął i przestąpił z nogi na nogę. Rozległ się szcęk łańcucha: zobaczyłem, że Fischer jest przykuty do ściany.

– Nie chciałem odciąć ministrowi głowy – wyjaśnił. – Kazali mi to zrobić, a widząc, że się wzdragam, domyślili się, kim jestem.

– Może jednak powinien był pan zapomnieć

o skrupułach. Pan minister – bo jak sędzę, to właśnie on – leży tam w rowie bez głowy. Co zaś do głowy, to znaleziono ją przytwierdzoną do ściany w gabinecie ofiary.

– Skąd pan to wie?

– Od policjanta.

– Od jakiego policjanta?

– Zagląda do mnie taki jeden od czasu, jak przybył pierwszy raz z wiadomością o śmierci mojego księgowego, który zaopatrywał mnie w żywność. Zamordowali biedaka wraz z żoną i dziećmi. Wracając do policjanta, straszny z niego nudziarz. Nieznośny amator kapusty, soczewicy i tym podobnych rarytasów. Zapomniałem, jak się nazywa... Ostrzegł mnie, że jacyś terroryści... No, jak oni się nazywali...

– Matka Natura – podpowiedział.

– O, właśnie. Ostrzegał mnie, że mogą przebywać w tej okolicy. Widzę, że miał rację.

– Przeniknąłem do ich grupy, ale zdradziłem się, kiedy Pan chciał mnie poddać testowi... Bo każdy Strażnik przed przyjęciem do ich grona musi dokonać odpowiedniego aktu okrucieństwa, wymierzonego przeciwko jakiejś istocie ludzkiej.

– Strażnik?

– Strażnicy Matki Natury – tak ich nazywa Pan. On jest ich przywódca. Stanowią bardzo liczną grupę, rozsianą po całym świecie. – Wskazał w kąt pomieszczenia, gdzie na stoliku znajdował się komputer. – Porozumiewają się przez internet – wyjaśnił, chociaż mnie mówiło to tyle, co nic. – Dążą do zniszczenia społeczeństwa w takiej postaci, jaką znamy. A proszę mi powiedzieć, jak wyglądał tamten policjant?

– Wysoki, szczupły, krótkie włosy, dziobata twarz.

– To Pan – wyszeptał Fischer. – Wybrał pańską posiadłość, bo leży na zupełnym pustkowiu. Ma pan telefon?

– Nie, kazałem odłączyć wiele lat temu... Zaraz, chwileczkę! Ależ tak, mam! – Przypomniałem sobie o przenośnym aparacie, który otrzymałem od fałszywego policjanta.

– Niech pan zadzwoni na policję – ponaglił. – Proszę się pośpieszyć. Niech im pan powie, że jest tu sierżant Fischer, niech przyślą jak najszybciej oddział antyterrorystyczny.

– Postaram się to załatwić najszybciej, jak potrafię. Potem do pana przyjdę.

Zszedłem w dół stoku i wróciłem do domu. Odszukawszy telefon, włączyłem zasilanie: zapaliło się czerwone światełko. Wybrałem numer na policję.

– Tak? – usłyszałem w słuchawce.

– Nazywam się Wolff, Hans Joachim Wolff. Chciałem prosić o przyjazd policji. Jest tu u mnie wasz funkcjonariusz, niejaki sierżant Fischer, którego uwięzili terroryści z ugrupowania Matka Natura.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– Słyszysz mnie pan?

– Zapisuję zgłoszenie. Gdzie pan mieszka? Podałem mu adres.

– Policja wkrótce się zjawi – obiecał.

Na dworze panował okropny ziąb. Wyłączyłem telefon wiedząc, że minie sporo czasu, zanim dotrą na moje odludzie. Nastawiłem czajnik i odszukałem stary termos. Kiedy woda się zagotowała, zrobiłem kawę, wziąłem trochę sucharów i wróciłem na górę stoku.

– Policja jest już w drodze – poinformowałem Fischera. –



Przyniosłem gorącą kawę, trochę pana rozgrzeje. Mieszkam z dala od miasta, więc przyjdzie nam pewnie trochę poczekać.

Wlałem kawę do kubka i wsunąłem kubek przez kraty razem z sucharami. Pił z wyraźną przyjemnością, żując suchary.

– Dlaczego mieszka pan z dala od jakichkolwiek ludzkich siedzib? – zapytał.

– Zawsze lubiłem góry. Kiedy cieszyłem się jeszcze łaskami Göringa, postawiłem sobie ten dom z materiałów, które pozostały z budowy jego pałacu myśliwskiego. Po wojnie zatrzymałem go sobie, no i w końcu postanowiłem w nim na dobre zamieszkać.

– Nie ma pan rodziny?

– Miałem, ale w taki czy inny sposób zabił ich nazizm. Kiedy wojna dobiegła końca, przekonałem się, że za późno już, by zaczynać wszystko od nowa. Zająłem się więc wynalazczością.

– I na koniec przybył pan tutaj.

– Nie przepadam za ludźmi, sierżancie. Jestem odludkiem. Postanowiłem więc resztę swoich dni spędzić tutaj.

– Słyszałem od Pana, że spisuje pan wspomnienia. Dlaczego właśnie teraz?

– Sam dobrze nie wiem... – odparłem z namysłem. – Kiedy zjawił się w przebraniu policjanta i powiedział, że mój księgowy i jego rodzina zostali zamordowani, raptem dopadły mnie wspomnienia... Zacząłem sobie przypominać, jak się rodził nazizm, co się wtedy działo... Byłem przecież przy tym, znałem wielu z ludzi, którzy tworzyli tamten system.

Wyciągnął kubek po dolewkę kawy i wyznał:

– Gdy zostałem przydzielony do tej sprawy, myślałem z początku, że członkowie Matki Natury to jedynie (jeśli można tu użyć słowa Jedynie”) banda cudaków zbzikowanych na punkcie ekologii, coś w rodzaju ekstremistycznych wegetarianin walczących o prawa zwierząt. Oczywiście, w ich przypadku tak faktycznie jest, ale to zaledwie część prawdy. I nie dziwię się, że spotkanie z ich przywódcą przywiodło panu na pamięć starych nazistów. Bo Matka Natura to w istocie nowy ruch nazistowski, tyle że dopasowany do realiów końca XX wieku.

– Naziści uważali, że trzeba iść za głosem krwi – podkreśliłem. – Tak to właśnie określali. Byli dumni z tego, że nie kierują się rozumem, gardzili logicznym podchodzeniem do zjawisk. Po co im był rozum, skoro byli pewni, że to oni mają rację?

– Zupełnie jak ci od Matki Natury; ich przywódca Pan, wie, że ludzkość zniszczy świat. A skąd to wie? Po prostu wie i już. I musi się śpieszyć, bo został zesłany na Ziemię, żeby ją uratować.

– Hitler też się śpieszył – przypomniałem. – Był przecież jedynym człowiekiem, który mógł ocalić Niemcy przed *Rassenschande*, nieczystością rasową.

Stałem przy zimnej stalowej kracie, opanowany wspomnieniami.

– Przykro mi, że nie mogę pana uwolnić, ale potrzebny będzie do tego palnik acetylenowo-tlenowy. Policja będzie musiała się o niego postarać.

Ulegając wspomnieniom, ciągnąłem:

– Kiedy wojna się skończyła, wszyscy jakby o tym

zapomnieli. Alianci do tego stopnia skupili całą uwagę na straszliwych owocach nazizmu – takich jak obozy, eksterminacja Żydów, oddziały likwidacyjne – że zapomnieli zadać sobie pytanie, dlaczego tak się stało. Göring na procesie norymberskim dał na to odpowiedź. Przyznając się do odpowiedzialności za mordowanie opozycji, dodał, że było to działanie usprawiedliwione, bo po klęsce monarchii i demokracji tylko naziści mogli uratować niemiecką rasę poprzez zaprowadzenie nowego nacjonalizmu rasowego. Gdyby wygrali, powstałby nowy porządek światowy, w którym Niemcy – wskrzeszeni przez Himmlera Aryjczycy – byłiby jedyną rasą ludzi. Wszystkie inne narody miały stać się *Untemenschen*, gatunkami podludzi, niewolnikami niezdolnymi do stworzenia własnej cywilizacji i kultury.

– Myślę, że Panu marzy się coś podobnego – wtrącił Fischer cicho. – To kompletny szaleniec. Bogu dzięki, że złapiemy go, zanim zdąży zamordować więcej ludzi. Terrorysty z Matki Natury szykowali się do masowych akcji w dużych miastach, takich jak wysadzanie budynków, wpuszczanie do wago nów metra gazów bojowych, zatruwanie instalacji wodociągowych...

– W jakim celu?

– Otóż Pan wierzy, że miasta są wcieleniem ludzkiego zła i chce je zniszczyć. Chce też zburzyć zorganizowane społeczeństwo, bo cała historia społeczeństw sprowadza się do wyniszczania i eksploatacji Ziemi. Jego prze konania to nic innego jak poglądy Pol Pota rozszerzone na całą ludzkość. Ludzie mają stać się dzikusami w świecie, któremu przywrócona zostanie pierwotna postać.

– Włącznie z nim? – spytałem.

Fischer uśmiechnął się blado i pokręcił głową.

– Przecież ktoś musi pilnować obozu koncentracyjnego – zauważył. – Ktoś musi być komendantem.

Zaczynało się ściemniać. Maleńkie okienko w górze obory mignęło niebieskawym blaskiem, który wkrótce przerodził się w stały strumień światła. Fischer westchnął z ulgą.

– Wydostanę się stąd bez cienia żalu – zapewnił. Złożył ręce w trąbkę i przyłożył do ust. – Tu jestem, na górze!

Na śniegu rozległy się ciężkie stąpania: wspinała się ku nam grupka mężczyzn. Idący przodem skręcił w kierunku obory i niebieskawe światło latarki oświetliło jego twarz. Rozpoznałem Pana. Obok niego siedł potężny pies o gęstej sierści i wściekłych żółtych oczach.

Pan trzymał w dłoni jakiś niewielki czarny przedmiot. – Dziękuję za telefon – powiedział cicho i nagle wybuchnął triumfalnym śmiechem, który zaraz podjęli jego towarzysze. – Z tego aparatu można zadzwonić tylko do mnie – cieszył się.

Zapadła już ciemność, śnieżna pokrywą rozświetlał jedynie blask księżyca. Pan sięgnął do kieszeni watomanej kurtki i usłyszałem ciche brzęknięcie.

– Jesteśmy Strażnikami Matki Natury zaczął, patrząc przez kraty na Fischera. – A ty jesteś technologicznym okazem człowieka. Tkwisz tutaj jako esencja skażonego, zdewastowanego zła. Jesteś toksyną, sztucznym produktem chemicznym, który zakłóca czystość świata. Nasiąkłeś krwią zwierząt, które zamordowałeś. W imię Ziemi, musisz umrzeć.

– Zostaw te frazesy dla swoich stukniętych kompanów – przerwał mu pogardliwie Fischer. – Niedobrze mi się już

robi od słuchania tych głupot.

– Umrzesz tak, jak domaga się tego Matka Natura – ciągnął Pan, nie zwracając uwagi na Fischera. – Na jakich podstawach natura oparła swój czysty świat? Na zasadzie przetrwania najsilniejszych. Najsilniejsi przeżywa ją, słabi muszą zginąć.

– I dlatego właśnie światem kierujemy my, ludzie – zaszydził Fischer. – To my jesteśmy najwyższym ogniwem stworzenia.

Oczy Pana nagle zabłyśły.

– Przekonajmy się o tym – powiedział, a w jego głosie pojawiła się w jednej chwili niebezpieczna nuta. – Zrobimy to zgodnie z zamiarami Matki Natury, wszak jesteśmy niczym innym jak jej sługami.

Poruszył dłonią w kieszeni i rozległ się ponownie metaliczny brzęk. Wyjął coś i rzucił mi pod nogi. Nachyliwszy się, macałem po ziemi, aż natrafiłem na dwa klucze. Kiedy podniosłem głowę, Pan, towarzysząca mu bestia i cała reszta zniknęła.

Duży klucz pasował do masywnej kłódki przy stalowej kracie. Kiedy go przekręciłem, drzwi otworzyły się. Za pomocą drugiego uwolniłem Fischera z łańcucha przytwierdzonego do obejm wokół kostki u nogi.

– Potrzebna mi broń – szepnął. – Ma pan coś?

– Gdzie oni wszyscy poszli?

– Czekają, żeby na mnie zapolować. Według teorii Pana, kiedy ludzie zostaną sprowadzeni na nowo do pozycji dzikusów, Strażnicy będą na nich urządzić polowania dla sportu, tak jak ludzie polowali dotąd na zwierzęta. Przyczaili się więc gdzieś i czekają, żeby rozpocząć łowy. To ma pan jakąś broń?

– Pozbyłem się sztucerów – westchnąłem z żalem. – Ale w domu mam noże.

– Przewidzieli pewnie taki wariant... – zasepił się. – Dwóch albo trzech skryje się w ciemności koło domu, żeby tam mnie złapać.

– Zaraz, zaraz... Na dole, w jednym z budynków gospodarczych, gdzie rąbię drewno na opał, jest siekiera.

– Świetnie. Proszę mi teraz powiedzieć, jak stąd najlepiej uciec. Szybko biegam, muszę się tylko wydostać z tego miejsca. Może z biegiem rzeki, która przepływa wzdłuż dróżki prowadzącej do pana domu?

– Tylko nie tamtędy – ostrzegłem. – Płynie parowem, ale w pewnym momencie dochodzi do ściany skalnej i opada wodospadem do stawu w dole. Spadek jest zbyt duży, zabiłby się pan. Jeżeli czuje się pan na siłach, powinien pan wspiąć się wyżej po tamtym stoku, za naszymi plecami. W czasie podchodzenia po lewej dostrzeże pan szereg drzew – tam się proszę kierować. W ten sposób dotrze pan na drugą stronę góry, gdzie ciągnie się droga. Ale ostrzegam, to będzie naprawdę wyczerpujące.

– Nie mam wielkiego wyboru – rzekł ponuro. – W każdym razie spróbuję najpierw zaopatrzyć się w siekiere.

Wyszedł i stał dobrą chwilę w cieniu obory, rozglądając się uważnie dookoła. Teren wydawał się pusty. Księżyc wychylił się zza zbocza i cały stok okrył się bielą, którą przecinały tylko czarne jak smoła cienie załomów.

– No to w drogę postanowił, biorąc głęboki oddech. – Chętnie bym jeszcze z panem pogawędził o starych czasach, ale czas mnie nagli.

– Siekiere znajdzie pan w stodole, w budynku położonym

najbliżej urwistej łąki – wyjaśniłem. – Jest wbita w pień zaraz przy wejściu, drzwi są otwarte...

– Dziękuję.

Pobiegł w dół stoku, mącąc monotonię księżycowego krajobrazu. Śpiesząc się jak mogłem i uważając przy tym, by się nie poślizgnąć, ruszyłem także w dół, kierując się do długiej dróżki, która biegnie górą łąki. Raptem z głębokiego cienia coś wyskoczyło i pomknęło po śniegu jak wilk.

– Uwaga! – krzyknąłem. – Za panem, po lewej!

Dwie ciemne sylwetki zwały się ze sobą i stoczyły po stoku. Rozległ się przenikliwy, gardłowy wrzask. Po chwili jeden z walczących cieni podniósł się i podjął na nowo bieg. Kiedy dotarłem do dróżki, chwyciłem z trudem powietrze: od wielu lat nie narzucałem sobie takiego tempa.

Zalany księżycowym światłem krajobraz zastygł na nowo w bezruchu. Od budynków gospodarczych nadleciał zwierzęcy skowyt, odgłosy przekleństw i krótki, urwany w połowie jęk. Oddychając z trudem, posuwałem się dróżką, wzbijając tumany śniegu. Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem Fischera biegnącego od strony budynków. Wtem ktoś rzucił się na niego. Dostrzegłem błysk siekiery w ręku Fischera i ciało koziołkujące w powietrzu.

Wbiegłem pod osłonę drzew. Przed sobą słyszałem jednostajny szum rzeki, która spływała z góry małym parowem. Obejrzałem się po raz ostatni:

Podobne wilkom stwory osaczały Fischera, który wymachiwał siekierą na lewo i prawo. Zdawało mi się, że słyszę jego zaciekły krzyk. Podążałem dalej dróżką. Znałem dokładnie tę okolicę: po przejściu wąskiego kamiennego mostu zejść z drogi i po obejściu zbocza góry dotrę do dobrze mi znanej, kamienistej ścieżki: przed laty, kiedy

byłem jeszcze dziarski, miałem zwyczaj wypuszczać się na całodzienne wędrówki po górach. Pan i jego banda nie znają tego szlaku. Wkrótce będę daleko od nich, a zanim wstanie świt, znajdę się w wiosce.

Mimo przytępionego słuchu, wychwytywałem docierające do mnie przez drzewa zaciekle warczenie.

Parłem przed siebie. Przejście nie stwarzało zbytniego problemu, bo drzewa po obu stronach dróżki zatrzymały większość śniegu, który wisiał teraz nade mną jak pokrywa z lukru. Szum rzeki był coraz wyraźniejszy. Obszedłem zakręt drogi i znalazłem się na moście.

Coś go zagradało, połyskując srebrzyście w mroku niczym wielka pajęczyna. Stałem na moście, pod którym rzeka toczyła swój bystry nurt, i starałem się wypatrzeć przejście w przeszkodzie. Skraj mostu zamykała stalowa brama o ostrych, zakrzywionych szponach, gotowych wbić się w śmiałka, który odważyłby się na nią wspiąć. Do balustrady przyspawane były pręty o kłujących jak szpikulce końcach. Serce podeszło mi do gardła: droga była odcięta.

– Ma pan ochotę spróbować? – usłyszałem za sobą szyderczy głos. Odwróciwszy się, zobaczyłem Pana z moją siekierą zarzuconą niedbale na ramię. Olbrzymie psisko przysiadło przy nim na zadzie, wpijając we mnie wrogie ślepie, które nawet w bladej poświacie księżyca błyskały żółcią.

– Wilk – przemówił do psa – poznaj *Hen Wolffa*. Ha! Wilk i *Hen Wilk* – niezłe, co? – Zaśmiał się obłąkańczo. Potężne psisko spojrzało na niego, szczerząc lśniące białe zębiska. – Jak *Hen Wolff* będzie próbował uciekać, możesz go zjeść – zapowiedział i położył rękę na grubym futrze porastającym



kark bestii. Pies odwrócił od niego ślepią i skierował wzrok na mnie – nie miałem wątpliwości, że zrozumiał każde słowo polecenia. – To co, możemy wracać? – zaproponował Pan.

Ruszyłem, przemierzając z mozołem tę samą drogę, którą przyszedłem.

Budynki gospodarcze rozświetlała pomarańczowa poświata. Posuwając się dróżką dostrzegłem ludzi, którzy krzatali się wokół długiego ognistego pasa w ziemnym wykopie, wysypując węgiel drzewny z worków w żar płomieni. Kiedy podeszliśmy bliżej, zobaczyłem naszykowane krzyżaki do wsparcia różna.

W ciemności majaczyły zwalone na kupę trzy, może cztery martwe kształty. Człowiek, który pozbawił je życia, spoczywał teraz bez ruchu obok płonących węgli. Poznałem Fischera. Był nagi i wypatroszony jak dzik. Usunięte wnętrzności leżały na śniegu w jednej zbitej masie, a ludzie Pana nadziewali go na szpikulec różna.

Pan nachylił się, wybrał z kupy wnętrzności nerkę i odrąbał ją siekierą. Nerka parowała w lodowatym powietrzu. Cisnął ją psu. Wilk pożarł ją, kłapiąc paszczką z zadowolenia.

– Wolff lubi ludzkie mięso – odezwał się do mnie Pan. – Zjadł pańskiego księgowego.

Zawiesili rożen z Fischerem na krzyżakowatych podpórkach i zaczęli go opiekać.

Tej nocy zmarli stłoczyli się wokół mnie. Część znałem, inni byli mi obcy. Niektórzy drwili i wyszydali, inni błagali płaczkliwie, a większość krzyczała wniebogłosy. Wypacykowany Göring, z czerwonym lakierem na paznokciach, patrzył z upiornym uśmiechem. Siedziałem

w fotelu, a Himmler przyglądał mi się przez grube szkła okularów, jak na robaka, którego miałby ochotę rozdeptać. Goebbels ze swym lisim uśmiechem podawał mi listę. Trzymałem w rękach ogromny zwój, na którym znajdowały się nazwiska wszystkich tych, których kiedykolwiek znałem. Proszę, śmiało, zachęcał, kto jeszcze ma być zabity? To żaden problem, możemy wpisać każdego, kogo tylko zechcemy.

Widziałem tych, co umarli. Chowali się w cieniu, żeby kaci nie mogli ich dostrzec, a mimo to nadal słyszałem, jak krzyczą w trwodze i męce, gdy odbierano im życie. Przyszła Hilda, a także Kurt. Palili się, ogarnięci płomieniami. Eisenmann, nagi i przerażony, dusił się w straszliwych ciemnościach.

*Führer* przyglądał im się wszystkim wzrokiem bez wyrazu. Smród rozkładających się warzyw i ciastek wydobywał mu się spomiędzy zębów, wydzielał się z porów ciała. Odór owiewał mnie, siedzącego w ciemności w fotelu i, chociaż wykręcałem głowę, nie mogłem się od niego uwolnić. Przy każdym moim ruchu olbrzymie psisko otwierało swoje ślepia, żółte w bladym blasku kominka, i patrzyło na mnie czujnie.

W pokoju byli także żywi: spali wśród resztek piekielnej strawy, jaką sobie przygotowali. Przerażające, upieczone zwłoki Fischera zalegały jadalny drewniany stół, dokładnie poporcjowane przez Pana: w świetle kominka połyskiwały żebra i długie piszczele, lśniły zęby wykrzywione w ostatnim grymasie walki. Zabójcy Fischera spali naokoło, z brzuchami wypełnionymi mięsem swej ofiary. Dla nich miał być pierwszym z wielu.

Nastał świt i zmarli powrócili wreszcie do

zamieszkiwanego przez siebie piekła.

Pan i jego ludzie obudzili się jak na komendę, niczym psy. Siedziałem na swoim miejscu. Wyszli i zaczęli rozmawiać, ale głuchota nie pozwoliła mi dosłyszeć, o czym mówili. Rozległ się warkot silników samochodowych. Nagle owiał mnie zimny prąd powietrza. Zobaczyłem Pana. Stał i przyglądał mi się.

– Wyjeżdżam na trochę – oznajmił. – Ale nie na długo i niezbyt daleko. Jeżeli Wilk poczuje głód, może cię zjeść. Jeśli będziesz próbował uciekać, zje cię na pewno.

Olbrzymie psisko wpatrywało się we mnie. Nie miałem wątpliwości, że to, co do mnie mówiono, jest świętą prawdą. – Za stary jestem, żeby odważyć się na przejście góry po śniegu i lodzie – zauważyłem. – A to jedyna droga, skoro most jest zagrodzony.

– Wiem – kiwnął głową Pan. – W takim razie pozostaje ci mieć nadzieję, że nie zamarudzę zbyttnio, bo Wilk lubi sobie dobrze podjeść przed zachodem słońca.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Usłyszałem, jak zapuszcza silnik swojego samochodu, a potem nastąpiła cisza. Zostałem sam na sam z psem.

Nabrawszy przekonania, że Pan odjechał, wstałem. Pies podniósł się razem ze mną. Przeszedłem powoli do holu, żeby założyć buty i watowaną kurtkę – pies szedł za mną, postukując pazurami o deski podłogi.

– Idziemy – powiedziałem ostro. Spojrzał na mnie zimnym wzrokiem. Nie spodziewałem się, że mnie posłucha – był posłuszny jedynie temu, kto go wytresował – ale chciałem stworzyć wrażenie, że jestem mu co najmniej równy. Wiedziałem, że gdy tylko wyczuje we mnie istotę słabszą od siebie, rzuci się na mnie bez chwili wahania.

Zatopiłem w nim swoje oczy, oczy starego pilota myśliwca. Po chwili odwrócił łeb, jakby zupełnie obojętny.

– Idziemy – powtórzyłem. – Pora na śniadanie.

Wyszliśmy na śnieg. Pies postawił sierść i zrobił się jeszcze większy. Śnieg był poryty koleinami i odciskami po oponach samochodów. Kiedy zszedłem do budynków gospodarczych, węgiel drzewny z ogniska już wystygł i pokrył się szarym popiołem. Podpórki nadal tkwiły w białe po obu końcach wykopu, szpikulec różna leżał porzucony na ziemi. Trupy zostawili w stodole, obok sterty drewna, zwalając je na jedną kupę. Jak Pan powiedział, Matka Natura jest sędzią i tylko najsilniejsi mogą przetrwać. Tych zabił Fischer i leżeli teraz martwi, a zatem zupełnie nieprzydatni. Ci zaś, co przeżyli, zjedli pogromcę swoich pokonanych towarzyszy.

Siekiera tkwiła z powrotem w pieńku. Wyciągnąłem ją i zważyłem w ręce. Z gardła psa wydobył się głęboki pomruk. – Nie zrobię ci krzywdy, głupia bestio – powiedziałem. Nie odważyłbym się spróbować, nawet za swoich młodych lat. Wilk nauczony był walczyć i zabijać za pomocą broni danych mu przez naturę i nie łudziłem się, że gdyby tylko zechciał, mógłby mnie pokonać w otwartym starciu.

Ciała były nagie. Odrąbałem siekierą nogę i rzuciłem ją psu. Obwąchał ją i, wyczuwszy ku swemu zadowoleniu zapach krwi, ułożył się i zabrał do jedzenia. Kiedy nabrałem pewności, że jest w pełni ukontentowany, podszedłem do samolotu. *Me-163*, myśliwiec, na którym przyleciałem przed tak wielu laty, spoczywał na wózku startowym, z nosem zwróconym ku otwartym wrotom, za którymi rozpościerało się urwiste zbocze.

Przezroczysta osłona kabiny była pokryta kurzem. Wyjąłem z kieszeni kurtki chusteczkę i wypucowałem ją do połysku. Brudna osłona zawsze napawała mnie lękiem: człowiek wtedy nie widzi, dokąd leci ani kto go ściga.

Usiadłem na pieńku, czekając, aż Wilk naje się do syta. Podłoga pokryła się kawałkami zakrwawionych kości, strzępami skóry i ścięgnami. Wreszcie podniósł się i oblizal się długim różowym jęzorem. Wstałem również.

– Chodźmy do domu, ogrzejemy się – zaproponowałem. Wziąłem wiadro, które stało w kącie, i wyszedłem przed stodołę. Obok paleniska, gdzie stał przedtem rozeń, leżała kupa ochłapów, które do niedawna składały się na wnętrzności Fischera. Pozbierałem je wszystkie do wiadra i wróciłem do domu. Dołożywszy świeżych polan do ognia na kominku, zabrałem się do pracy.

Wnętrzności, zakrzepłą krew, tłuszcz i poszarpane organy uformowałem w jeden pakunek, zawinięty w cienką plastikową torebkę. Podszedłem do swojego wiekowego łoża, ciężkiego, masywnego mebla pięknie wykonanego z twardej dębiny, w którym poprzedniej nocy spał Pan. Wdrapałem się na drabinę i zawiesiłem pakunek na suficie, na wysokości łoża. Pies obserwował mnie podejrzliwie z dołu. Wiedziałem jednak, że brzuch ma pełny i nie zaatakuje mnie, jeśli tylko nie będę próbował oddalać się od domu.

Reszta przygotowań zajęła mi większość poranka. Kiedy skończyłem, zebrałem wszystko, co było mi potrzebne, do jednego worka. Trochę czasu zeszło mi na ustawianiu zegara nad łóżkiem, na którym spał Pan. Następnie zabrałem wyciągarke mojego pomysłu (na tyle silną, że mogła pociągnąć samochód), upewniwszy się, że ma dosyć

paliwa. Opuściłem dom w towarzystwie człapiącego za mną psa.

Zszedłem ostrożnie po stromym zboczu i w ziemię poniżej stodoły zakopałem ostrze lemiesza, który stanowił część wyciągarki. Potem wspiąłem się w kierunku stodoły, rozwijając po drodze przezroczystą żyłkę łączącą lemiesz z silniczek, sam silniczek zaś ukryłem pod wózkiem startowym. Popracowałem jeszcze trochę w stodole: wchodziłem co jakiś czas po drabinie, układałem z drewnianych szczap zmyślną konstrukcję, dopełniałem przygotowań.

Kiedy skończyłem, zmęczenie dawało mi się mocno we znaki. Wdrapałem się na górę stoku i, otrzepawszy buty ze śniegu, wszedłem do domu. Padałem z nóg. Zjadłem kilka sucharów, popijając je kawą z naparstkiem wódki. Dołożyłem do ognia na kominku, usiadłem w fotelu i zapadłem w sen w towarzystwie psa, który wpatrywał się we mnie swoimi wielkimi żółtymi ślepiami.

Było już ciemno. Przede mną stał Pan. Wilk przysiadł obok niego na tylnych łapach.

– Widzę, że wciąż żyjesz – odezwał się Pan. – Myślałem, że do tej pory Wilk zdążył cię już schrupać.

– Wie, że jestem podobny do ciebie.

– Podobny do mnie? – Pan odchylił głowę i wybuchnął śmiechem. – Jesteś technologicznym głupcem! Co ty możesz wiedzieć o potrzebach i nakazach Matki Natury?

– Właśnie, że się mylisz odrzekłem, spoglądając na niego.

– Nie wiesz, że byłem w SS?

– I co z tego?

– My, członkowie SS, byliśmy tak jak wy Strażnikami Matki Natury. Nienawidziliśmy wszystkich, którzy byli inni

niż my, i wysyłaliśmy ich milionami na tamten świat. Kochaliśmy las, bo tam żyje prawdziwy duch narodu! Także kochaliśmy zioła i pradawne obrzędy. Radziliśmy się gwiazd, badaliśmy teksty runiczne, żeby poznać naszą przeszłość i przyszłość. Byliśmy podobni wam! Ale zwyciężyli nas tamci, słudzy zła, ze swymi maszynami.

Pan przyglądał mi się podejrzliwie spod zmrużonych powiek.

– Pozwólcie mi przyłączyć się do was! – wykrzyknąłem. – Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej, o co chodzi? Jak myślisz, po co mieszkam od tak dawna w tej twierdzy dzikiej przyrody? Po to, żeby być jak najdalej od zepsucia i plugastwa, jakie niesie ze sobą świat stworzony przez tamtych.

– Chcesz się do nas przyłączyć... – powtórzył w zamyśleniu.

– Planujecie na nich uderzyć! – ciągnąłem. – Wiem to od tego martwego policjanta. Weźcie mnie do siebie. Pozornie nieszkodliwy, stary człowiek może wam się naprawdę przydać.

– Kto wie... Jest nas teraz mniej, odkąd policjant zabił tych, którzy okazali się słabsi...

Podszedł szybko do stołu, na którym leżały zmasakrowane szczątki Fischera. Dobył nóż i odciął kawałek mięsa.

– Ale musisz stać się taki, jak my – zapowiedział.

– Policjant mówił, że sprawdzianem jest zabicie jednego z tamtych, sług zła, którzy niszczą ziemię.

Wbił nóż w podłogę.

– Dobrze. Zatem jutro wypuścimy się na łowy i poderzniesz jednemu gardło. Wtedy staniesz się jednym

z nas.

– Możesz mi zdradzić, jakie akcje planujecie podjąć?

Uśmiechnął się. Wyjął z torby flakonik perfum we wzorzystym kartoniku.

– Zwykle perfumy – zapiał. – Można je zabrać na pokład każdego samolotu, żaden system bezpieczeństwa do niczego się nie przyczepi. A kiedy samolot jest już w powietrzu, wystarczy przejść do toalety, otworzyć wlot instalacji wentylacyjnej i odkręcić pierwszą, zewnętrzną nakrętkę flakoniku. Nieźle, co? Spodobałoby ci się, jesteś przecież wynalazcą, lubisz takie zabawki... Wewnątrz jest drugie zabezpieczenie w postaci czopu, który zamyka ujście flakonika. Trzeba wstawić flakonik do wlotu i umocować. Potem wystarczy zamknąć na powrót wlot, umyć ręce i wrócić spokojnie na miejsce. Samolot ląduje szczęśliwie i nasz człowiek wysiada wraz z innymi pasażerami.

Uśmiechnął się chytrze.

– Teraz zaczyna się cała zabawa. Na ziemi, na skutek powrotu do normalnego ciśnienia powietrza, czop podnosi się. Samolot startuje do kolejnego rejsu i nabiera wysokości: chociaż ciśnienie wewnątrz samolotu jest podwyższone, to jest i tak niższe od panującego na ziemi. Na wysokości około dwóch tysięcy metrów czop wyskakuje, uwalniając zawartość flakonika: gaz porażający układ nerwowy! Gaz rozprzestrzenia się szybko przez instalację wentylacyjną po całej maszynie. Pierwszymi, którzy umrą, będą piloci! Wyobrażasz sobie? Istna latająca bomba! Samolot będzie leciał aż do wyczerpania paliwa i zwali się w płomieniach, które ogarną wszystkie służby zła!

Stał w świetle kominka, oddychając gorączkowo, z twarzą błyszczącą od potu.



– Czyż to nie cudowne? – spytał. – A to dopiero początek. Wiele pracy jeszcze przed nami, zanim nasze dzieło dobiegnie końca, zanim plugawe miasta okryją się ciemnością, opustoszeją i szczyzną, a słudzy zła, nadzy i przerażeni, biegać będą po lasach Matki Natury.

Mówił coraz ciszej.

– Tak... – słyszałem jego szept. – To już niedługo, naprawdę niedługo... Odezwał się znajomy ból. Potarłem starą bliznę, odcisniętą na szyi jak sznurek; pies obudził się, podniósł łeb i spojrzał na mnie w świetle kominka. Pan spał, słyszałem jego chrapanie.

Umarli wrócili. Czułem, jak na mnie napierają. Miliony za milionami... Zabił ich Adolf Hitler. A może ja?

Gdyby 20 lipca 1944 roku bomba dosięgła *Führera*, wojna dobiegłaby końca; Rommel lub jakiś inny generał, który cieszył się szacunkiem aliantów, wynegocjowałby zawieszenie broni. Ale zamach się nie udał, Hitler uszedł z niego z życiem, i to jeszcze bardziej szalony niż dotychczas. Jego chęć niszczenia była wprost niezaspokojona – w końcu pożarła jego samego, ale zanim do tego doszło, zginęły kolejne miliony. Większość ofiar została zabita w obozach. Wielu pochłonęły wojenne rzezie na frontach zachodnim i wschodnim, gdy wojna zbliżała się coraz bardziej do Berlina. Miliony trupów...

Wszystko to nie miałoby miejsca, gdyby zamach się powiódł. Ale z próbą zabicia kogoś strzeżonego tak pilnie jak Hitler wiąże się jeden istotny problem: żeby osiągnąć zamierzony cel, zamachowiec sam musi poświęcić swoje życie. W takim przypadku, zakładając naturalnie, że ma swobodny dostęp do osoby, którą planuje zabić, sprawa nie nastrecza wielkich trudności. Wystarczy wtedy zwykły

sztylet do podcięcia gardła. Oczywiście, zamachowiec musi mieć świadomość, że przeżyje swą ofiarę niewiele dłużej.

Mogłem zabić Hitlera. Byłem jednym z tych, którzy mieli sposobność zbliżyć się do niego. Ale zamiast zrobić to sam, dałem bombę Hoepfnerowi i wszystko skończyło się fiaskiem. Zginęły kolejne miliony, zabijanie odbywało się do samego końca. Śmierć siały nie tylko karabiny maszynowe i artyleria – zadawali ją także ludzie, których wysyłano, by wyrównali rachunki, nim nastanie zmierzch bogów.

*Kwiecień 1945 roku*

Rasch przyszedł po mnie.

Bogowie umierali wokół nas. Bombowce lały strumienie ognia i siarki w otchłań piekła, w jakie zamieniły miasto. Na lotnisku biały palec śmierci wyciągnął się ku nam, oznaczającym cele dla dziennych nalotów – rzuciliśmy się do naszych mysich dziur, do jam wykopanych w ziemi, by schronić się przed opadającą na nas lawiną bomb.

*Me-163* tkwiły pod gołym niebem, z nosami zadartymi w górę, gotowe do startu.

Bomby uderzyły. Żółć w gardłach, świst, wybuch i nagły podmuch, drżenie ziemi – i raptem cisza, tylko brzęczenie w uszach, i głuchy rumor opadających gruzów.

Hangar stał w płomieniach. *Komety* jakimś cudem wyszły z nalotu nietknięte, ze zbiornikami wciąż pełnymi paliwa. Zabraliśmy się właśnie do usuwania zniszczeń, kiedy zobaczyłem Rascha: wysiadał z ciężarówki w pełnym umundurowaniu SS, miał pistolet maszynowy i był kompletnie obłąkany.

– *Führer* wymierza ci sprawiedliwość! Giń, oślizgła kanalio! – wrzasnął wściekle esesman. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, gdy posłał mi pierwszą serię. Rzuciłem się

do ucieczki, uskakując za wózki do przewożenia bomb i puste cysterny, chowając się między strzaskanymi magazynami i za wrakami myśliwców. Ludzie rozbiegli się na wszystkie strony, żeby ratować życie – pod koniec wojny jedynym pragnieniem każdego była wola przeżycia.

Przypadłem do ziemi i wczołgałem się pod jedną z ciężarówek. Słyszałem serie z pistoletu maszynowego i głos Rascha, jak wykrzykiwał moje nazwisko.

*Me-163* czekał na skraju pasa startowego, solidny i groźny myśliwiec, z nosem skierowanym prosto przed siebie.

Wycofałem się na czworakach spod kryjówki i pobiegłem do samolotu, sadząc szybkimi, krótkimi susami jak królik.

Odchyliłem osłonę kabiny, po czym zaraz zatrzasnąłem ją nad sobą. Wcisnąłem przełączniki i czerwone światełko zapaliło się. Przez narastający huk silnika przebił się wściekły wrzask.

Rasch wbiegł na pole wzlotów w chwili, kiedy *Komet* ruszył przed siebie. Kątem oka zobaczyłem, jak coś przemyka lotem strzały nad pasem lotniska i nagle świat wokół mnie zmienił się w rozszalały chaos fruujących szczątków. Błyski ognia, wybuchy bomb i rakiet, zgrzyt metalu – amerykańskie *Thunderbolty* leciały z rykiem nad lotniskiem.

Rasch zniknął, pochłonięty przez szalejący żywioł. Siła ciągu rakietowego silnika wcisnęła mnie w oparcie fotela; wystrzeliłem jak z procy i znalazłem się ponad wstrząsanym eksplozjami lotniskiem, mijany z lewej i z prawej przez *Thunderbolty* o potężnych nosach, rozbiegające się niczym rekiny. Ściągnąłem na siebie drążek

i wyprysnąłem niemal pionowo w górę. Pode mną kłębiło się piekło dymu i ognia.

Powietrze było czyste i łagodne. Przed sobą widziałem góry. Silnik zgasł, a ja wzbijałem się coraz wyżej i wyżej, kilometr po kilometrze, aż wreszcie opuściłem nos samolotu i wyrównawszy lot, poszybowałem w kierunku szczytów.

Odnalazłem dolinę i mój przyklejony do stoku wiejski dom. Nadleciawszy nad małą wioskę, wytraciłem wysokość i przemknąłem ponad mostkiem łączącym ścieżkę po obu stronach rzeki, która płynie bystro parowem w dół stoku.

Słońce stało wysoko na niebie, oświetlając łąkę pokrytą dywanem wiosennych kwiatów. Opadłem nad drzewa, bezszelestnie jak jastrząb, zmierzając ku zarośniętej ścieżce. Wypuściłem płożę i, dotknąwszy ziemi, sunąłem z szybkim turkotem. Wyrośnięta trawa i kwiaty pochwyciły mnie: samolot zwolnił i zatrzymał się, przechylony na skrzydło. Odchyliłem na bok osłonę kabiny i do środka wpadł zapach zgniecionej trawy i kwiatów. Bzyczała zaciekawiona pszczoła, obok przefrunął nie wykazujący zainteresowania motyl. Wygramoliłem się na ziemię i poszedłem w górę stoku do domu.

Przez okno sączyło się światło wstającego dnia, odmalowując grube futro zwierzaka w jego prawdziwych barwach. Stary zegar nad kominkiem powiedział mi, że już czas. Pan nadal spał.

Wstałem i wielkie żółte ślepiea momentalnie otworzyły się. Poczłapałem do tylnego wyjścia, naciągając na siebie kurtkę, tak jakbym wybierał się do wychodka. Pies biegł przy mnie.

Było bardzo zimno, wydychane powietrze zamarzało w białe, płynące wolno obłoczki. Szczyty gór zaczynały

błyszcząc w przecierającym się mroku. Śnieg skrzypiał mi pod nogami. Posuwając się ostrożnie po śliskim jak lodowisko gruncie, zmierzałem do stodoły.

Zostawione w niej ciała leżały nadal rzucone niedbale na jedną kupę. Podniosłem kawałek uda, który odrąbałem dzień wcześniej, i cisnąłem Wilkowi. Zabrał się za ogryzanie twardego mięsa, śliniąc się obficie i pomlaskując.

Podszedłem do *Kometa*. Poszycie było lodowato zimne. Majstrowałem chwilę przy zamku kabiny: wyskoczył ze swobodą dobrze spasowanego mechanizmu i uniósł trzymającą się na zawiasach osłonę kabiny. Ciasne, proste wewnątrz stało przede mną otworem – twardy fotel otoczony zbiornikami na *T-stoff*, w przedzie płaska tablica z przyrządami, krótki i masywny drążek sterowy wchodzący między kolana, pedały orczyka z czekającymi rzemykami, podobne do olbrzymich sandałów.

Poczłapałem do przedniej części samolotu i spod wózka startowego wyciągnąłem silniczek. Podczepiłem elektromagnes do stalowej osi wózka i zakręciłem cylindrami: silnik zaskoczył z rykiem, wyrzucając strumień spalin. Wyciągarka zaczęła wirować i naciągać mocną żyłkę na szpulę.

Pies spojrział na mnie; z pyska wystawał mu kawałek męskiego uda. Warknął ostrzegawczo, kiedy wgramoliłem się do kabiny *Me-163*.

Psy to tępe stworzenia. Skoro osłona da się otworzyć, to można ją również zamknąć – czego psy najwyraźniej nie są w stanie pojąć. Jednym płynnym ruchem zatrzasnąłem osłonę kabiny i zaczep mocno chwycił. Psisko rzuciło się jak dzika bestia, próbując mnie dopaść.

Jestem głuchy, bardzo głuchy, a mimo to usłyszałem

krzyk Pana. Był to krzyk człowieka pałającego żądzą mordy; usłyszał wściekle szczekanie psa, który usiłował przebić osłonę i rozerwać mnie na krwawe strzępy.

Pan przedstawiał sobą upiorny widok. Był cały pokryty krwią i bebechami: miał je we włosach, na twarzy, wypluwał krwiste odpadki razem ze śliną. Rzucił się jak oszalały i zaczął walić w osłonę kabiny gołymi pięściami. Pies ponowił wysiłki ze zdwojoną furją. Wszystko nadaremno. Mocna osłona nie dawała im żadnych szans.

Żyłka nawinęła się do końca i naprężyła się. *Komet* drgnął i ruszył do przodu. Wyglądało na to, że Pan zrozumiał, co się za chwilę wydarzy. Rozglądając się jak oszalały, dostrzegł wbitą w pień siekierę. Doskoczył do niej i wyrwał ją jednym szarpnięciem.

Znowu usłyszałem jego krzyk – tym razem jednak krzyczał zdjęty nagłym przerażeniem. Obróciwszy się w fotelu widziałem, jak huśta się zawieszony głową w dół pod powalą stodoły. Kiedy olbrzymi wór drewnianych szczap zwał się na ziemię, ukryta w piasku pętla zacisnęła mu się wokół nóg i poderwała go w górę, niczym rybę schwytaną na wędkę. Miotał się na wszystkie strony i wrzeszczał jak zwiastun śmierci.

Zająłem się z powrotem prowadzeniem samolotu. *Komet* ruszył z szarpnięciem z miejsca. Rozpościerająca się przede mną urwista łąka lśniła w świetle wstającego dnia, gładka i śliska jak narciarska skocznia. Na jej skraju majaczył parów i wstęga rzeki. Samolot z lekkim drżeniem i dygotaniem skrzydeł wytoczył się ze stodoły. Druga linka, którą przymocowałem do wózka startowego, napięła się. Rozległ się trzask, gdy ostrze noża przecięło żyłkę wędkarską, utrzymującą Pana pod powalą stodoły; zwał się

się na ziemię jak worek węgla. Był wciąż przywiązany do wózka. *Komet* zaczął się toczyć, ciągnąc za sobą więźnia. Wrzeszczał przeraźliwie, gdy samolot wywlekł go na śnieg i pociągnął po stoku.

Grunt był pokryty lodem, twardy jak kamień, gładki i śliski. Samolot sunął przed siebie z turkotem.

Widząc, że mu uciekam, olbrzymie psisko próbowało mnie dosięgnąć, kłapiąc budzącą grozę paszczą i pozostawiając na pleksiglasie białą szramę. Wściekłe wycie, zaraz potem głuche walnięcie i trzask pękających kości... Wycie zamarło, ucięte cudownie w połowie, gdy bestia zniknęła pod obracającymi się szaleńczo kołami.

Pędziłem jak na zwariowanych sankach. Zbocze zmieniło się w białą plamę, drążek w mojej dłoni nabierał życia, wskazówka na prędkościomierzu przesuwiała się w prawo. Łomot i turkot, gwizd powietrza uderzającego o osłonę kabiny, opadający nagle stok, w dole parów...

Wyskakując w otwierającą się przede mną otchłań, podniosłem dźwignię zwalniającą stalowy wózek startowy. Samolot zachwiał się, uwolniony od jego ciężaru. Drążek drgał mi w ręku; opuściłem nos maszyny i poszybowałem przed siebie.

Ściany parowu mieniły się szarością, srebrem i brązem. Podo mną płynęła rwącym nurtem lodowata, szaroniebieska rzeka, mknąc chyżo po kamieniach, tworząc wiry na swej drodze. Kładąc maszynę raz na jedno, raz na drugie skrzydło, podążałem za jej biegiem, lecąc nad parowem.

Skrzydła lekko zadrżały. Opuściłem nos samolotu. Zniżał się szybko, tocząc walkę z przesuwającym się w dole stokiem i pragnieniem, by lecieć pod ostrzejszym kątem.



Zadrzał znowu, niemal przeciągając, i zaczął opadać. Zwiększyłem kąt nachylenia. Rzeka tuż-tuż, struga wody chlusnęła w osłonę kabiny, nade mną górujący majestatycznie stok...

Samolot opadł głośno na powierzchnię rzeki i zaraz odbił się od niej, jak kamień rzucony płasko na wodę. Przysiadł znowu na wodzie i poczułem, że nogi oblewa mi dobywająca się skądś lodowata ciecz. Tuż przede mną otwierała się wodna kipiela. Kiedy myśliwiec uniósł się nieco, ściągnąłem drążek i wyskoczyłem na dwa metry w powietrze. Samolot zawisnął w bezruchu i nagle przechylił się nosem w dół. Spadałem jak delfin dający nura w głębinę.

I leciałem dalej. Grzmiący wodospad zniknął pod skrzydłami, powietrze owiewało z gwizdem kabinę. Prędkościomierz wskazywał czterysta kilometrów na godzinę, kiedy przez płytę z kuloodpornego szkła i celownik ujrzałem przybliżający się, porośnięty sosnami stok. Ściągnąłem wolno drążek i poszybowałem nad doliną niczym orzeł.

Za wioską droga biegła prosto wzdłuż rzeki. Wziąłem wiraż, obniżając jednocześnie pułap i na wysokości dwustu metrów ustawiłem *Kometa* dokładnie nad drogą. Wypuściłem płożę do lądowania. Droga była opustoszała, nie poruszał się po niej żaden pojazd.

Mały myśliwiec wylądował z grzmiącym warkotem na ziemi, sunąc na płożie po lądowisku. Wytracał prędkość i, posłuszny ruchom drążka i orczyka, trzymał się prosto drogi. Zatrzymał się i opadł łagodnie na prawe skrzydło, przypominając teraz zmęczonego motyla.

Zwolniłem zapadkę i otworzyłem osłonę. Wznoszące się

wysoko nad doliną wschodzące słońce malowało zbocze góry złotym kolorem. Wydostałem się ostrożnie z kabiny i usiadłem na skrzydle. Poklepawszy się po kieszeniach, wyszukałem fajkę i woreczek z tytoniem. Rzeka toczyła obok bystre wody, szemrząc sama do siebie po swej niedawnej szaleńczej eskapadzie w dół stoku. Cybuch fajki wypełniały złociste pasemka tytoniu. Dołożyłem trochę tytoniu z woreczka i zapaliłem. Aromatyczny dym zaczął się rozchodzić wraz z wiatrem.

Od strony wioski ukazało się małe, niebieskie, błyskające rytmicznie światełko; zbliżało się do mnie na dachu niedużego białego samochodu. Pojazd zatrzymał się na środku drogi. Dalej nie mógł pojechać, bo *Komet* tarasował przejazd. Posadziłem maszynę dokładnie na środkowej linii szosy i, nie ukrywam, byłem z siebie dziwnie zadowolony. Z samochodu wysiadł mężczyzna w mundurze policjanta i stał, wybałuszając oczy.

– I jak? – odezwałem się. – Nieźle jak na pięćdziesiąt lat przerwy, co?

Skierowałem spojrzenie ku rzece. Oddalone jeszcze o jakieś pięćset metrów, coś płynęło w naszym kierunku, kłębiąc się i koziołkując w bystrym nurcie wody. Mogę być głuchy, ale wzrok mam nadal dobry.

– Jak się pan pośpieszy, to zdąży pan wyłowić z rzeki ciało – powiedziałem do policjanta.

Ruszył tak szybko, jak potrafił – nie wydaje mi się, żeby pracując w tej okolicy miał wcześniej wiele okazji do zajmowania się podobnymi przypadkami. Kiedy zwłoki Pana podpłynęły bliżej, wszedł do rzeki i, brodząc w lodowatej wodzie, zdołał je wyciągnąć na gęsto usiany kamieniami brzeg.

Stałem i patrzyłem na Pana. Po pokonaniu górskiej trasy był nieco zmieniony. Żyłka, która wiązała go ze stalowym wózkiem, ucięła mu nogę poniżej kolana, a wędrówka po skałach zmieniła sporą część jego doczesnych szczątków w miazgę. Leżał na okrągłych kamieniach, brocząc resztką pozostałej w nim krwi, i wyglądał jak zgnieciony ślimak.

Policjant w przemoczonych, klejących się do ciała spodniach, stał przy samochodzie i mówił coś wzburzonym, nagłym głosem do radiotelefonu.

Nie słyszałem, co mówi; cóż, słuch mi nie dopisuje. Za to oczy mam wciąż bystre – i nie straciłem powonienia. Kierując się pod wiatr, oddaliłem się od leżącej na brzegu postaci i usiadłem na kamieniu, pykając fajkę.

\* \* \*